



# Yvonne Chauffin Seminarzysty

Przełożył Adam Szymanowski

Instytut Wydawniczy Pax 1977

# Część pierwsza

„Przypomnieli sobie uczniowie Jego,  
że to powiedział.”

(J 2, 22)

## Rozdział I

— Jerzy, co ty tu robisz?

Chłopak odwrócił się gwałtownie. Świetlny snop z latarki elektrycznej padł na jego twarz. Zsiniwały, z czarnym kosmykiem na czole, złym spojrzeniem i zaciśniętymi zębami zgrywał się na nonszalancję, na brawurę:

— Nie spodziewałem się o tej porze spotkać ojca na korytarzu.

Spokojny głos zakonnika wyłonił się ze strefy ciemności przeszytej nieznośnym stożkiem światła, skierowanym na chłopca.

— Każdy robi, co może, mój mały. Przestań szamotać się z tymi drzwiami. Klucz jest od wewnątrz.

— No to co?... Bierze mnie ojciec za nowicjusza?

— Nie, myślę, żeś chwacki junak.

— Myśli ojciec, że idę pohulać?

— Nie udawaj głupiego. Chodź do mnie. Wyjaśnimy sobie wszystko.

— Co to, to nie! Może ojciec wywalić mnie ze szkoły, ale proszę nie brać mnie na słodkie słów-

ka! Mam tego dość, dość, dość! Słyszysz ojciec, mam tego po dziurki w nosie!

— Nie krzycz tak głośno. Z krzyku nic dobrego nie wyniknie.

— Nie wynikło nic dobrego, bo ojciec znalazł się tutaj. Przegrałem, trudno! Tak czy inaczej gwiżdżę na to.

— Ja też!

— To proszę dać mi spokój.

— Nie uważasz, że moglibyśmy przedyskutować to gdzie indziej?

— Niech ojciec robi, co do niego należy. Proszę wziąć mnie za kołnierz, przecież ojciec jest silniejszy.

— Dosyć. Chodź, Jerzy.

Nie czekając na odpowiedź ojciec du Regard zanurzył się w mrok, oświetlając za sobą kamienne stopnie. Jerzy szedł za nim. Obaj unikali zbędnego hałasu. Na pierwszym piętrze ruszyli nie kończącym się korytarzem. Jerzy narzucił na pizamę jedynie tweedową kurtkę. Pantofle włożył na gołe nogi i drżał z zimna.

Ojciec zatrzymał się w końcu, wyjął z kieszeni sutanny pęk kluczy, otworzył drzwi swego pokoju. Przekreślił wyłącznik. Surowy blask padł ze stuwatowej żarówki zawieszanej na drucie. Pokój był zatrważająco biały, ze ścianami pobielonymi wapnem i nieskalaną narzutą na łóżku. Półki uginały się pod ciężarem książek, w większości w papierowych okładkach, z bladożółtymi grzbietami niby twarze chorych. Nad łóżkiem wisiał drewniany krzyż bez postaci Chrystusa. Na stole przybory do pisania i otwarte książki. Przez małe kwadratowe szyby, między paprociami mrozu, można było dostrzec wśród mroku światła miasta.

Było bardzo zimno. Znacznie zimniej niż na korytarzu. Jerzemu ten chłód sprawiał przejmujący

ból. Przenikał go do szpiku kości. Chłopak szcząkał zębami, drżały mu kończyny.

Zakonnik podszedł do niego. Ale Jerzy cofnął się jak ukąszony. Bardzo jak na swój wiek wysoki, wyższy od innych uczniów z klasy matematycznej, sięgał jednak ojcu zaledwie do ramienia. Od zakonnika promieniowała spokojna siła. Sutanna podwyższała go jeszcze i poszerzała. Twarz zwieńczona gęstymi białymi włosami, ostrzyżonymi na jeża, była twarzą człowieka, który nie osiągnął jeszcze pięćdziesiątki. Cera ogorzała, prawie miedziana, wywoływała zdumienie, podobnie jak porcelanowe błękitne oczy i wąski długi nos niby u postaci Rouaulta. Ostre cienie uwypuklały rysy, jak ołów w witrażach. Ojciec mówił bez pośpiechu, głosem poważnym, skandując sylaby:

— Przestań udawać głupiego. Znalazłeś się w dziwnej sytuacji, ale problem leży gdzie indziej. Szczękasz zębami z zimna. Zmykaj do łóżka.

— Na dobroć też nie dam się nabrać.

— Niczego od ciebie nie żądam. Wiem, co mógłbyś mi powiedzieć. Ale spałbyś lepiej, gdybyśmy wszystko omówili. Wyjdźmy z mojego pokoju.

Ojciec otworzył wąskie drzwi, których Jerzy dotychczas nie zauważył, a które znajdowały się po drugiej stronie półek. Zeszli po dwóch stopniach wydrążonych w głębokości muru i prowadzących do gabinetu ojca. Było to naprawdę przejście do innego zupełnie świata. Jerzy zauważył najpierw kanapę przykrytą rypsem koloru owocu granatu, dwa wielkie fotele z płowej skóry stojące przed kominkiem; z rozżarzonego drzewa promieniowało na pokój rozkoszne ciepło. Na jasnoszarych ścianach kolorowy akcent kilku plakatów. Katedra w Rouen otulona w niebieską i złotą mgłę, płomienna czerwień wielkiej rozety w Chartres.

W pobliżu kominka, między dwoma fotelami, na

niskim stoliku leżały gazety, a w starym cynowym talerzu kilka paczek papierosów.

Jerzy robił sobie wyrzuty, że nie oparł się bardziej stanowczo błogiej atmosferze.

Nie czekając na zaproszenie opadł w jeden z foteli. Wielkie zasłony rypsowe, podobnie jak kanapa koloru granatu, maskowały okna i wyjście na korytarz. Jerzy wiedział jednak, że za zasłonami są podwójne, wyściełane drzwi; żaden głos nie zdoła przez nie przeniknąć.

— Poczęstuj się papierosem — powiedział ojciec — i rozgrzej się.

— Ojciec zapomniał poczęstować mnie czymś do jedzenia — odparł zaczepnie Jerzy. — To zmniejsza agresywność.

— Jeśli masz ochotę... Powinienem mieć trochę herbatników.

— To zbyt cenne, proszę ojca, nie godzę się na tę grę. Ale moje gratulacje! Bardzo dobrze ojciec to wszystko wykombinował!

— To prostsze, niż ci się wydaje.

— Nie byłbym tego taki pewny!

— Ponieważ nadarzyła się okazja, rad jestem, że mogłem cię spotkać.

— Ojciec mnie szukał? Tak? I przyłapał mnie? Jest ojciec zadowolony?

— Nie odbiegaj od tematu.

— Uważa ojciec, że to, co ojciec robił, jest rzeczą zupełnie naturalną? To, że ojciec śledził mnie, szpiegował?... No, może ojciec być z siebie dumny! Myślałem, że ojciec jest inny niż tamci.

— Człowiek jest taki sam jak inni i jednocześnie różny. Chciałem ci tylko przeszkodzić w dokonaniu oszustwa.

— Co? Ojciec uważa...

— Niczego nie uważam. Wiem tylko, że chciałeś tej nocy pracować, bo nie masz zielonego po-

jęcia o zadaniach, które będą jutro na klasówce z matematyki.

— No więc? Nie jestem w porządku?

— Nie. Po pierwsze w nocy ogrzewanie nie działa. Przy takim chłdzie nie wytrzymałbyś w sali nawet godziny. Poza tym oświetlone okno byłoby widoczne. Wiesz, zawsze znajdzie się ktoś, kto nie śpi!

— Ale przecież jutro jest pierwszy piątek miesiąca: obowiązkowa msza w wielkiej kaplicy, śpiewy, kazanie i w ogóle. Potem próba chóru. A klasówka zaczyna się o dziesiątej. Jeśli chodzi o mnie, żadnych szans. Z notami, jakie otrzymałem w ubiegłym tygodniu, nie mam po co startować. Czy to właśnie chciał ojciec usłyszeć?

— Niezupenie. Co do noty z zeszłego tygodnia, przyznaj uczciwie: kryłem cię.

— Nie mam najmniejszego zamiaru zapomnieć o sławetnym liście, który ojciec wysłał do mojego ojca! Znam na pamięć każde słowo: „Jerzy skończył już z tą dziecinadą. Przeprowadziliśmy na ten temat poważną rozmowę. Pański syn jest chłopcem lojalnym. To najważniejsze. Z całej historii pozostał jeszcze tylko jeden cień: reakcja rodziny. Właśnie dlatego usilnie proszę pana o puszyczenie w niepamięć tego incydentu, który — powtarzam — nie miał żadnych następstw. Proszę przyjąć wyrazy, itd... itd...” Nie kłamie, proszę ojca, znam ten list doskonale! Wszyscy dali się na to nabrać. Ja też. Ale ja wycofałem się. Nic ojciec nie zdziała ani słodkimi słówkami, ani metodą nękania. Nie należy sądzić, że...

— Przestań pleść głupstwa, Jerzy. Należy tylko sądzić, że jesteś biednym dzieckiem zupełnie wyczerpanym nerwowo. Na razie padasz ze snu. Idź do łóżka. Jutro rano pobudka o piątej. Przyjdiesz pracować do mojego gabinetu. Masz tu klucz.

Przyjdiesz po cichu. Znajdziesz w termosie gorącą kawę. Właśnie ja jutro pilnuję kolejności zajęć. Nie masz więc czego się bać aż do dziesiątej. Możesz odwalić kawał roboty. Zgoda?

— Powiedziałem już, że nic ojciec nie osiągnie. Może ojciec zatrzymać swój klucz. Dobranoc.

— Jak chcesz. Gdybyś jednak zmienił zdanie, od piątej drzwi mojego gabinetu będą otwarte.

Książd wstał. Jerzy bez słowa zniknął w ciemnościach korytarza.

## Rozdział 2

Wydając odgłosy rozdzieranego jedwabiu pociąg wjechał na dworzec Montparnasse. W korytarzu wagonu stali stłoczeni podróżni. Jerzy czuł na karku oddech wysokiej dziewczyny o jasnych, prostych włosach spadających na ramiona. Przyjrzał się jej do syta, kiedy siedziała obok niego w przedziale! Nie lubił tego nordyckiego typu urody. Ale małe, twarde piersi rysujące się krągło pod czarną dżersejową bluzką i obcisłe spodnie podkreślające rysunek mięśni poruszyły go. Dziewczyna śmiała się głośno, widać było, że szuka przygody. Jerzemu wydawało się, że podróż w zatłoczonym przedziale nigdy się nie skończy.

Na peronie ludzie odnajdywali się, wypytywali, padali sobie w ramiona. Jerzy czuł się straszliwie samotny. Wydostał się z rozgardiaszu i stojąc na uboczu czekał, kiedy przeredzi się tłum, żeby zejść nieskończenie długimi schodami. Na placu de Rennes było jeszcze ciemno. Ogarnął go dojmujący chłód. Podniósł kołnierz płaszcza, zawahał się

przez chwilę, a potem wszedł do kawiarni i zamówił do stolika dużą kawę ze śmietanką i rogaliki.

Wczoraj o tej porze odrabiał w gabinecie ojca du Regard zadania z matematyki. Ośmieszył się, stracił twarz. Chociaż w nocy odmówił wzięcia klucza do gabinetu, wczesnym rankiem jak głupiec wstał ukradkiem i jakby wbrew sobie znalazł się pod drzwiami ojca du Regard. Miał do siebie pretensję za tę nie przynoszącą mu chwały kapitulację. Przed drzwiami wahał się. Przez kilka sekund miał nawet nadzieję, że w zamku nie będzie klucza. Niestety był! W dodatku to przyjemne ciepło, które ogarnęło go po wejściu! Krata, na którą podrzuciono niedawno opał. Na stole na małym niebieskim talerzyku dwa przyrumienione ciasteczka, książka do matematyki i słowa powitania: „Odwagi...” Jerzy poczuł, że został schwytany w sidła. Wszystko zostało tak zręcznie ułożone. Jakże łatwo dał się nabrać. Napił się z rozkoszą gorącej, dobrze osłodzonej kawy z termosu, zjadł ciastka nie zostawiając ani okruszynki, a potem przez cztery godziny przeglądał całą matematykę i palił papierosy jeden za drugim. Fakt, że ojciec robił, co do niego należało, a Jerzy, w pewnym stopniu, co do niego, to normalne. Pragnął jedynie uzyskać najlepszy stopień z matematyki. Potem zobaczymy! Zawahał się przez chwilę. Czy zostawić na stole kilka słów? Napisałby jedynie „dziękuję”. Ale nie uległ pokusie.

Skąd ojciec wiedział, że Jerzy nie ma książki do matematyki? Pomyślał o tym, poszedł do sali do nauki, wyjął książkę z teczki Jerzego i położył ją na stole niby pułapkę. Ale sprawy potoczyły się inaczej.

Temat klasówki został podany. Jerzy nie denerwując się pracował nad rozwiązaniem zadań, które poprzednio uważnie przejrzał. Zaczął właśnie prze-



pisywać na czysto, kiedy wszedł jeden z nauczycieli i wśród ogólnej ciszy wywołał nazwisko Jerzego. Ojciec prefekt wzywa go do swojego gabinetu.

Jerzy nie lubił ojca prefekta. Ten człowiek kanciasty, z ustami jak szrama, haczykowatym nosem i małymi, przenikliwymi oczami pod krzakami brwi, nie wzbudzał sympatii. Nazywano go „Cienka Gicz” z powodu wychudłych łydek wystających spod zbyt krótkiej sutanny i wetkniętych w szerokie sandały przypominające traperskie rakiety śnieżne.

Cienka Gicz miał głos bezosobowy, drażniący, odpowiedni do formułowania zakazów i wymierzania kar. Jerzy wyobraził sobie, że dostrzeżono jego nieobecność w sypialni przed pobudką. Ojciec du Regard nie krył go więc, jak obiecał.

Ale ojciec prefekt powitał Jerzego wymuszonym uśmiechem, który nie mógł zapowiadać burzy.

— Moje dziecko — powiedział. — Właśnie telefonowała do mnie twoja matka. Pragnie, byś razem z nią udał się do Paryża. Twój dziadek jest poważnie chory. Musisz więc przerwać klasówkę. Pani Santenac czeka na ciebie. Za pół godziny odjeżdża autobus do Kerdouarec'h. Odwagi, drogie dziecko, i śpiesz się. Lepiej nie spóźnić się na autobus. Twojej matce zależy tak na twoim przyjeździe do Paryża, gdyż kapitan Santenac został właśnie odwołany z urlopu. Jutro zaokrętuje się w Breście i popłynie na wyspy Kerguelena.

Jerzy nie pospieszył się. Spóźnił się kilka sekund na autobus. Musiał więc pojechać autostopem trzykrotnie zmieniając pojazd, zanim dotarł do Kerdouarec'h. Stara niańka matki zalewała się łzami.

— Pani pojechała sama. Jaka była zmartwiona, że w drodze nie będzie cię miała przy sobie! Zadzwoiła do szkoły i powiedziano jej, że wyszedłeś. Ona, tak łatwo zazwyczaj tracąca spokój, tym

razem myślała tylko o starszym panu, który jest umierający. Jaka była roztrzęsiona! Tak, roztrzęsiona. Nie można tego inaczej nazwać. Ale zostawiła dla ciebie pieniądze na pociąg. O tej porze będziesz musiał pojechać na dworzec rowerem.

Jerzy skończył dużą ze śmietanką i wyszedł. Chłód był ciągle tak samo dojmujący, ale już światło. Chłopak zawahał się przez chwilę przechodząc obok postoju taksówek, ale w końcu postanowił pójść pieszo na ulicę de Grenelle. Lubił chodzić, a marsz robi mu dobrze po nocnej jeździe pociągiem, z której zachował okropne wspomnienia. Blondynka zasnęła w przedziale oparta na jego ramieniu. Niebieskie światło przygaszonej lampy oświetlało słabo drobną twarz z baśni Andersena. Przezroczysty pot perlił się na skroniach i na nozdrzach. Od czasu do czasu machinalnie odgarniała włosy i próbowała wyciągnąć się. To ciepłe ciało, przytulające się do niego, burzyło w nim krew. Miał do siebie pretensję za tę słabość. Miał pretensję do dziewczyny, że wzbudziła w nim tak silny pociąg, tyle niepokoju, a chwilami odruch obrzydzenia. Przedział był zatłoczony, ale spośród pasażerów zapamiętał tylko dwie zakonnice siedzące jedna przy drugiej, skulone jak stare ptaki na gałęzi, i w spódnicach układających się w grube fałdy, w których przetrwały wyziewy kadzidła i naftaliny. Woskowe dłonie splecione były na różańcu o czarnych ziarnkach. Można by powiedzieć dwie zmarłe zastygłe po wsze czasy w tej śmiesznej pozie.

Jerzy dochodził już do skrzyżowania z ulicą de la Croix-Rouge. Te dwadzieścia minut marszu poprawiły mu samopoczucie. Chętnie szedłby tak aż do Sekwany, ulicą des Saints-Pères, a potem wzdłuż rzeki, zatrzymałby się w ogrodzie Saint-Julien-Pauvre, ale nade wszystko chciałby być

w Paryżu z innego powodu niż ten, dla którego tu przyjechał. Na opustoszałych ulicach dozorczy wystawiali przy skraju trotuarów pojemniki ze śmieciami. Wpadł na jeden z nich. Dostrzegł długą, nitkową sylwetkę duchownego, który szedł w jego stronę wielkimi krokami. Natomiast Jerzy zwalniał właśnie kroku, w miarę jak się zbliżał. Rozpознаwał po kolei domy. Jeszcze cztery, jeszcze trzy. W końcu pałac de Bérulle o murach koloru bladej ochry i opuszczonych o tej porze żaluzjach księgarni. Wahał się jeszcze przez chwilę, żywiąc niepewną nadzieję, że zdarzy się coś, co wszystko radykalnie odmieni. Poprzedniego dnia o tej porze, równie zakłopotany jak teraz, znajdował się w gabinecie ojca du Regard.

Rozpoznał arabski liści akantu na czerwonym dywanie wyściełającym schody i lśniące mosiężne poręcze. Ciasna winda przypominała pionową trumnę. Na trzecim piętrze, w momencie kiedy miał już zamiar zadzwonić, zobaczył, że drzwi wejściowe są uchylone. Korytarz, z którego dochodził ściszony odgłos kroków, był nie oświetlony. Kierując się po omacku do pokoju dziadka, Jerzy miał wrażenie, że wchodzi do groźnego świata, w którym nie rozpoznaje przedmiotów ani ludzi. Wąskie łóżko nie stało jak zwykle przy ścianie, lecz prostopadle do niej, a dziadek stał się bezwładnym kształtem leżącym w pościeli w tej nienormalnej pozycji. Gorąco wzmagało mdłe zapachy eukaliptusa, eteru i uryny. Na przykrytym białym obrusem stole stały rzędem wszelkiego rodzaju fiolki oraz dziwna, mała porcelanowa sosjerka z dzióbkiem, która służyła pewnie do podawania umiarkującemu napojów.

Twarz dziadka jawiła mu się niby twarz nieznanego. Na twarz ludzką należy patrzeć z przodu, a nie z ukosa, przez co ulega skróceniu. Ta ni-

kła powłoka, koloru kości słoniowej, pokrywająca sterczące kości, nie była twarzą, ale czymś przerażającym, nierealnym, makabryczną monochromią, w której nie ma już nic ludzkiego. Zamknięte oczy zapadnięte w cień, nozdrza zaciśnięte, ostry profil i głębokie fałdy po obydwu stronach ust, niby nakreślone węglem nawiasy — nigdy niczego podobnego nie widział. Białe włosy przykleił do czoła pot agonii. Z wycięcia piżamy sterczała szyja, o ściętych zwężlonych jak liny konopne, i gęstwa siwych włosów. Piers unosiła się w hałaśliwym i urywanym rytmie. Wychudłe dłonie uporczywie obsesyjnym gestem usiłowały naciągnąć prześcieradło na twarz.

Jerzy nie mógł oderwać wzroku od tego niesamowitego kształtu oświetlonego przez lampkę nocną. W tym świetle przedsonka śmierci wszystko wydawało mu się obce, wszystko zbijało go z tropu. Z trudem odróżniał nieruchome sylwetki stojące w strefie cienia pokrywającego resztę pokoju. W końcu czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Była to matka, która pociągnęła go w kierunku jadalni.

— To już ostatnie godziny — powiedziała cicho.  
— Jaka to dla mnie pociecha, żeś przyjechał na czas.

Wydawało się, że twarz matki Jerzego uległa mumifikacji. Z trudem rozpoznawał te zaczerwienione oczy, te rysy, które postarzyła noc bez snu. Pani Santenac ubrana była na czarno. Już teraz!

Jerzy nie wiedział, co powinien powiedzieć. Nie zdając sobie z tego sprawy, użył słownika, z którego wszyscy czerpać będą bez przerwy w ciągu następnych dni, jakby wypracowali rodzaj kodu. Jerzy szepnął:

— Zmienia się.

Pomyślał, że nie ucałował jeszcze matki. Uczył to niezręcznie i bez czułości.

— Zjesz śniadanie, mój biedny chłopcze.

Jerzy odpowiedział, że zjadł już rogaliki i wypił kawę w dworcowym bufecie. Było to niezupełnie zgodne z prawdą. Zjadł śniadanie w pobliżu postojów taksówek, żeby odwlec moment przybycia na ulicę de Grenelle. Zawsze mówiono „ulica de Grenelle”, mając na myśli mieszkanie dziadków. Przyjeżdżało się na „ulicę de Grenelle”. To lub tamto było dopuszczalne na „ulicy de Grenelle”. Tego lub tamtego nie lubiano na „ulicy de Grenelle”. Jerzy był w szkole u ojców dlatego, że „ulica de Grenelle” nie wyobrażała sobie innego rozwiązania. W rodzinie wszystko miało jakieś odniesienie do „ulicy de Grenelle”.

— Naprawdę — pytała matka Jerzego — nie chcesz zjeść nic ciepłego? Powinieneś odpocząć kilka godzin. Twój dziadek dociągnie teraz do południa. Zakonnica twierdzi, a ma w tych sprawach doświadczenie, że umiera się jedynie o świcie, w południe lub o zmierzchu. Dziadek nie cierpi zbyt-  
nio. Jeśli uskarża się, to jedynie nieświadomie. Wiesz, że mózg w ostatnich godzinach życia słabo reaguje na bodźce. Ale umierający mają bardzo wyczulony słuch. Wczoraj niechcący przewróciłam laskę, którą dziadek sam jeszcze dwa tygodnie temu postawił przy bibliotece. Gdybyś widział, jak podskoczył i otworzył szeroko pełne trwogi oczy. Od czterdziestu ośmiu godzin jest w stanie agonalnym. Charczy, zauważyłeś to.

Jerzy zwrócił rzeczywiście uwagę na ten bardzo szczególny oddech umierającego. Charczenie, agonia, śpiączka, słowa, do których nie był przyzwyczajony, a które nabrzmiewały straszliwą treścią.

Matka ciągnęła:

— Wróciłam do Kerdouarec'h jedynie z powodu

nagromadzenia spraw materialnych, które należało na miejscu doprowadzić do porządku. Nie mogłam napisać ci o tym do szkoły. Wyjechałam stąd, bo lekarz zapewnił, że chociaż dziadek stracił przytomność, serce jeszcze się trzyma i że mam trzy dni czasu. Sądziłam, że zawiadomią cię na czas i że zdążysz na południowy autobus do Kerdouarec'h. Taki termin sobie ustaliłam. Czekałam na dworcu autobusowym, a ponieważ nie doczekałam się, pojechałam. Jechałam niecałe siedem godzin.

Jerzy nie słuchał. Słowa matki docierały do niego jak przez mgłę. Ogarniał go dziwny przestach na myśl, że dziadek niedługo umrze. Ale sam czuł się bezpieczny, gdyż stanie się to w pokoju, w którym jego, Jerzego, nie będzie.

Pani Santenac mówiła ciągle, jakby w tym potoku słów znalazła jakąś formę wytchnienia, jakby w ten sposób wstrzymywała włączony już mechanizm.

Powiedziała jeszcze Jerzemu, że ojciec pojechał do Brestu, skąd popłynąć ma na wyspy Kerguelena. Ten kolejny rejs potrwa dwa lata. Ale rozmowa powróciła wkrótce do spraw „ulicy de Grenelle”.

— Twoja biedna babka jest bardzo przejęta. Nie zapomniała jednak, nawet dzisiaj rano, zażyć jak zwykle wszystkich pigulek. W niedzielę, kiedy odmawialiśmy razem z siostrą zakonną modlitwy za konających, babka opuściła nas, bo nadeszła święta godzina jej zastrzyku. Jakiś bez znaczenia zastrzyk w rodzaju „aqua simplex”, niczemu nie służący, ale według babki niezbędny. Przez całe życie zmuszała do pielęgnowania swojej osoby własnego małżonka, który był wielkim panem, a którego w końcu ośmieszyła czyniąc z niego siostrę miłosierdzia. To najgorszego rodzaju chora

z urojenia. W tej chwili cierpi na myśl, że straci męża, którego kocha, ale także dlatego, że zostanie pozbawiona opieki, jaką dziadek otaczał ją tak wspaniałomyślnie.

Jerzy rozumiał, że powinien coś powiedzieć. Miał uczucie, że jest nie na swoim miejscu. Rozglądał się wokoło, patrzył na znane sobie przedmioty, na kufry z masywnego dębu, na „warte fortunę” piękne talerze z chińskiej porcelany, zawieszzone na pokrywającej ściany czerwonej lustrynie, jak to było w modzie pół wieku temu, kiedy dziadek był młodym podporucznikiem, na obite skórą krzesła o wysokim oparciu — podrobione średniowiecze. Nagle wszystko wydało mu się śmieszne.

— Na co właściwie umiera dziadek? — zapytał.

Matka, która widząc, że Jerzy nie słucha, przerwała jednostajny potok słów, odpowiedziała:

— Czy można wiedzieć, na co się umiera? Umiera, ponieważ nadeszła jego godzina. Lekarz powiada, że wystąpiła uremia na skutek wylewu krwi do mózgu. Gdyby nie ta komplikacja, nic by już mu nie groziło.

Zakonnica, z której obecności w pokoju dziadka Jerzy ledwie zdawał sobie sprawę, zbliżyła się do pani Santenac, żeby powiedzieć jej szeptem kilka słów. Pani Santenac podniosła się z trudem, opierając się o blat stołu. Przez chwilę stała nieruchomo z zamkniętymi oczami, jakby raptem zakręciło jej się w głowie. Jerzy mógł raz jeszcze stwierdzić, jak bardzo matka jest wyczerpana. Irytowało go, że jest w aż tak żalosnym stanie. Poszła korytarzem za siostrą zakonną kontynuując półgłosem rozmowę. Jerzy wyjął zapalniczkę i paczkę papierosów, chociaż palenie wydało mu się czymś bardzo w tych okolicznościach niestosow-

nym. Drzwi uchyliły się znowu. Weszła siostra. Pod białym kornetem miała pożółkłą twarz osoby cierpiącej na wątrobę, lśniącą skórę na policzkach i masę drobnych zmarszczek wokół szarych oczu koloru ostrygi. Uśmiechnęła się odsłaniając mocne białe zęby, zaskakujące w tej zwiędłej twarzy.

— Pańska matka prosi o pomoc — powiedziała. — Dzisiaj dozorca jest zajęty. Zazwyczaj pomaga nam przy toalecie pańskiego dziadka. Dzisiaj pan będzie musiał go zastąpić.

Jerzy ze złością wepchnął do kieszeni papierosy i zapalniczkę. Bez pośpiechu poszedł za siostrą.

Matka, ubrana w biały fartuch pielęgniarki, rozsuwała zasłony i złowrogi odbłask dnia wtargnął do pokoju. Bładość umierającego przeszła w szarość i na zwiędłych policzkach ukazał się labirynt niebieskich żyłek. Zakonnica przyniosła wielką miednicę napełnioną parującą wodą oraz gąbkę i ustawiła wszystko na stole przy łóżku. Wydarzenia, które nastąpiły, głęboko zraniły Jerzego. Złowrogi strój śmierci zdesakralizował się. Nagość starca nie nadaje się do oglądania.

Pani Santenac i zakonnica nie przejmowały się tym, co Jerzy może czuć. Wymagano od niego określonych gestów. Miał unieść bezwładne ciało, zmienić lniane prześcieradło. Odleżyny były głębokie i bardzo rozległe. Jerzy nie rozumiał potrzeby tych okrutnych zabiegów. Wolałby, żeby pozwolono dziadkowi umrzeć w spokoju. Matka i zakonnica krzątały się jak mrówki wokół zwłok owada. Miały ruchy zgrane, nie musiały się porozumiewać. Chwilami umierającemu wyrывał się jęk. Wtedy Jerzy widział, jak ściąga się twarz matki. Ale dalej usuwała kompresy, które ropa i krew z odleżyn przyklepiły do żywego ciała. Skóra na udach i poniżej nerek łuszczyła się płatami jak skórka brzoskwini. Jerzy obrócił dziadka na bok,



a w tym czasie zakonnica nacierała wazeliną umęczoną powierzchnię ciała. Świszczący oddech umierającego nagle ustał. Wielkie łzy napęłniły oczy pani Santenac. Zakonnica wzięła do ręki strzykawkę i wbiła igłę w wychudłe udo. Płyn nie rozchodził się. Tworzył kulisty pęcherz, który zakonnica przez chwilę masowała czubkiem palca.

— Już nie wchłania — powiedziała.

Wpatrując się we wskazówkę sekundnika, zmierzyła puls umierającego. Jej niewzruszona twarz niczego nie zdradzała. Mijały nie kończące się sekundy. W końcu dał się słyszeć spokojny głos:

— W porządku, serce zaczęło znowu bić. Ale musimy dać mu odpocząć. Na szczęście już skończyliśmy.

Podciągnęła prześcieradło, żeby przykryć ramiona umierającego. Pani Santenac otarła ligniną pot spływający strumyczkami po woskowej twarzy. Lekko przyczesła stargane białe włosy i cofnęła się, aby ocenić efekt swoich zabiegów.

Jerzy zdał sobie sprawę, że twarz dziadka dlatego jest tak bardzo zmieniona, bo od tygodnia nie był golony. Wyjęto mu sztuczną szczękę, a to skróciło dół twarzy. Zakonnica pozbierała brudne opatrunki rozrzucone wokół łóżka i zaniósła je do łazienki razem ze wszystkim, co służyło przy tej makabrycznej toalecie. Wróciła i lekko uchyliła okno.

### Rozdział 3

Jerzemu dzień włókł się bez końca. Czuł niejasną pretensję do matki i zakonnicy za nieludzkie zabiegi, jakie zaaplikowały umierającemu. Jesz-

cze większą pretensję miał o to, że zmusiły go do uczestnictwa. Niepotrzebna mu była wiedza — a przede wszystkim wiedza osiągnięta w ten sposób — o tym, do jakiej nędzy i upadku może dojść człowiek. Miał również pretensję do dziadka, że zwlekał z umieraniem. I do siebie, że tak cierpi przy wezglowiu chorego. Przecież nie kocham go aż tak bardzo — mówił sobie. — Niechże wreszcie umrze! Niechże pozwoli zapomnieć o tych wszystkich okropnościach i wrócić do życia!

Przez okno w zimnym świetle tych pochmurnych pierwszych dni lutego widział gałęzie platanu robiące wrażenie martwych, ale soki wzdymały już ich koniuszki w kształt pąków.

Z kuchni dochodził brzęk rondli i talerzy, zapachy pieczonego mięsa i kompotu z jabłek. A w pokoju z fałd zasłon i pościeli chorego dobywały się odpychające wyziewy.

Chrapliwy oddech umierającego wzmógł się. Pierś unosiła się, a potem opadała nagle i czasem coś w rodzaju ostrego świstu rozdzierało powietrze. Wtedy oddech jakby na moment ustawał, ale po chwili wracał boleśnie.

Za każdym razem Jerzy myślał, że to już koniec. Patrzył na twarz siostry zakonnej, na twarz, której niewzruszoność niepokoiła. Wydawało się, że rozszyfrowuje ona tajemne oznaki tego końca bez końca. Momentami wstawiała, zbliżała się do chorego, mierzyła mu puls. Jerzy spostrzegł, że nie ujmowała wówczas dziadka za nadgarstek, ale kładła dłoń na zgięciu ramienia, potem w miejscu, gdzie pulsuje tętnica szyjna. Następnie wracała i bez słowa siadała znowu przy Jerzym. W pokoju rozstawiono kilka foteli, dosyć daleko od łóżka, by osoby przychodzące mogły zasiąść jak podczas przedstawienia. Zakonnica pochyliła się w stronę

Jerzego, żeby powiedzieć: „Ogoli się go potem”. Jerzy przestraszył się tego „potem”. Ten tragiczny eufemizm oznaczał dla niego powrót do normalnego życia. Pić, jeść i spać spokojnie. Żyć w końcu wśród osób, których przeznaczeniem nie jest bliska śmierć. Wśród ludzi, w których nie trzeba się wpatrywać, by sprawdzić, czy jeszcze oddychają. „Potem” to świat młodych, świat tych, którzy nie mają jeszcze zwiotczących mięśni. Pomyślał o prysznicu w szkole i zdziwił się, że tak mały podziw budziły u niego nagie torsy kolegów. Przypomniawszy sobie własną nagość, spływającą strumieniami pod biczami zimnej wody, i żywotne siły, których rośnięcie wyczuwał czasem w sobie, a których wigor tak bardzo przerażał i podniecał.

Pokój dziadka wydawał mu się pustynią, bezludnym miejscem, które musi przebyć, ale gdzie nie powinien się błąkać. Jerzy czuł się zagubionym dzieckiem pozbawionym możliwości porozumiewania się. Nie widział jeszcze umierania. Ale trzeba nauczyć się, jak to przebiega.

Czemu siostra zakonna powiedziała: „Ogoli się go potem”? Kiedy to stare, żalosne ciało będzie martwe? Przecież ciało stworzone jest po to, by żyć, by mieć swoją barwę! Chłopak przypomniał sobie sierpień na plaży w Carnac. Obrazy, jakie mu się nasunęły, nie przedstawiały już młodych chłopców, lecz dziewczęta skąpo ubrane, jakże nieświadome niczego, jakże agresywne! Ich bursztynowe, jędrne ciała lśniły w wypełnionych światłem fontannach wody. Te szalone głowy, z których opadały, niby algi, długie, zmoczone włosy i inne szalone głowy pokryte puklami jak głowy greckich pasterzy... Ta wizja upajała go. Widział znowu szerokie biodra, wybudujące piersi i szczupłe ciała efebów, tak niepokojące, z piersiami małymi jak

cebulki hiacynta, zaledwie uwypuklającymi staniczki.

Jerzy patrzył na zakonnice i zadawał sobie pytanie, czy była ona kiedykolwiek młoda. Czy pod grubą warstwą spódnic kryje się ciało? Włosy pod tym sztywnym czepkiem? Coś odcięło go nagle od świata, w którym żył dotychczas. Szkoła stała się lodową górą. Ujrzał ogromny budynek, kaplicę, ogrody. Koledzy oddalali się od niego zanurzeni w niepewnym świetle. Przez chwilę pomyślał o ojcu du Regard, potem o młodej blondynce, która w pociągu zasnęła na jego ramieniu.

Stara Heloiza, od dawna już służąca rodzinie, uchylila drzwi i dała mu znak, żeby przyszedł na obiad. Podniósł się jak automat. W jadalni siedząca już przy stole babka pocałowała go z roztargnieniem. A przecież jeszcze się z nim nie widziała, gdyż „zajęta była całkowicie swoimi modłami, zmartwieniami, chorobami”. Właśnie zakonnica streściła w ten sposób to życie sprawiedliwie podzielone.

Heloiza przyniosła pieczeń wołową. Od czasu kiedy generał był na emeryturze i jedyną służbę stanowiła ta oddana rodzinie kobieta, obiady miały skromniejszą oprawę.

Jerzy patrzył na matkę. Uczesała się starannie, umalowała lekko usta pomarańczową szminką pasującą doskonale do mahoniowych refleksów w jej włosach. Miała na sobie w dalszym ciągu suknię z czarnego dżerseju, która rano zwróciła uwagę Jerzego, ale przystroila się w długi naszyjnik z nerytów. Jerzy nie poznawał podstarzałej przed chwilą i zbolalej kobiety, która mówiła mu o wszystkim i o niczym, byleby tylko zapelnic nieznośną ciszę. Staranne przygotowanie toalety stanowiło świadectwo niezmiennej troski o konwenanse.

Jerzy zaskoczył ją w stanie skrajnej depresji, ale teraz wszystko wracało na swoje miejsce.

— Nie chcesz już pieczeni? — pytała babka. — W twoim wieku trzeba jeść, nawet gdy ma się rozdarte serce.

Starsza pani otarła oczy zbyt białą chusteczką z rodzaju tych, jakie widzieć można u osób w żałobie.

Jerzy wyczuwał, że cierpienie, które przeżywają, jest nieco przytłumione. Nabierano rozpędu, gdyż najgorsze było jeszcze przed nimi. Każdy litował się nad sobą i nad innymi. Ale jesteśmy wszak w gronie ludzi światowych...

Heloiza przygotowała nakrycie Jerzego naprzeciwko nakrycia babki. Prezydował przy posiłku mając po prawej stronie matkę. Powstawał już nowy rytuał.

## Rozdział 4

— To gorsze niż wesele — powiedziała Heloiza, która od trzech dni nie rozstawała się z odkurzaczem, nie przestawała pastować podłóg, pucować mosiądzów i mebli. Zarządziła, że „wszystko zrobi się gruntownie, winniśmy to biednemu panu”. Zmobilizowała do pomocy swoją bratanicę Żanetę. Trzydziestoletnia dziewczyna — same kości, olbrzymi konik polny o szarej cerze i podpuchniętych oczach. Ubrana w zieloną spódnicę i czerwony sweter Żaneta nosiła wysokie do kolan botki z brązowej skóry. Kiedy wspinała się na taboret, żeby umyć okna, Jerzy widział pod spódnicą gołe uda, co budziło u niego uczucie zażenowania, którego nie potrafił przezwyciężyć. Dziewczyna przy-

glądała mu się z uśmiechem drwiącym i zarazem pełnym politowania. Musiał to znosić, jak wszystko inne. Posunięto się jednak trochę za daleko. Cierpienie, które uważał za swoją powinność, było niczym wobec tego „na co dzień ze śmiercią”, którego istnienia poprzednio nawet nie podejrzewał. Żeby życie wróciło w końcu do swego normalnego łożyska, żeby znalazł się znowu w szkole! Ten niezwykły świat, w którym miotał się od kilku dni, utkany był ze sprzeczności. Odczuwał z tego powodu samotność, która była bolesna aż do łez. Była ona tym większa, że wokół niego kręciło się zbyt wiele osób. A nikt nie dawał mu tego, na co czekał.

Po pierwsze ta bratanica Heloizy. W chwilach irytacji zawsze powracał do niej myślą. Gdyż dziewczyna „szukała go”. Ocierała się o niego pod lada pretekstem. Przy każdej okazji przybierała pozy zuchwałe, a zarazem niezręczne. Jerzy myślał tyle o tej dziewczynie, gdyż czuł, że w gruncie rzeczy fakt ten nie ma takiego znaczenia. Ta szczególna gra pozwalała mu umknąć własnym trwogom.

Był sam w gabinecie dziadka przekształconym na kapliczkę żałobną. Msza pogrzebowa odbędzie się za dwie godziny, ale już wkrótce pomieszczenie wypełni się ludźmi o twarzach zastygłych w tym samym u wszystkich wyrazie. Jakby mieli maski. Wśród osób, które przedefilowały w ciągu dwóch ostatnich dni przez „ulicę de Grenelle”, bez wątpienia kilka przeżyło śmierć generała de Kerdou-arec'h jak jakieś pęknięcie, rozdarcie. Byli to starzy przyjaciele, koledzy z tego rocznika Saint-Cyr, który w czternastym przysiągł umrzeć z pióropuszem z piór kazuara i w białych rękawiczkach. Ale czy ci obwieszeni medalami starey oplakiwali

naprawdę swego kolegę czy też własną utraconą młodość?

Ciężką próbą był dla niego widok wszystkich tych ludzi stających twarzą w twarz z własną śmiercią przy okazji (i tylko przy tej okazji) śmierci generała. Każdy opłakiwał samego siebie. Na krótką chwilę przypominali sobie, że muszą umrzeć, a nikt tego nie chciał. W tłumie nadętych przyjaciół dziadka Jerzy widział jedynie stado zwierząt prowadzonych na ubój. Słyszał dobywający się z ich wnętrzości ten sam okrzyk. Jeszcze minutkę, panie kacie!” Wszystkim pisana jest śmierć, ale zazwyczaj ci ludzie nie chcieli w to uwierzyć, poza tymi kilkoma sekundami, kiedy opadała im z twarzy maska. Jerzy mimo woli rejestrował moment włączenia się u każdego z nich tego mechanizmu... Ludzie przybierali odpowiedni wyraz twarzy, postawę, ale wszyscy przeszli przez ten błysk stalowego ostrza wśród mroków. Każdy otrzymał należny mu cios sztyletu i radził sobie z tym, jak potrafił. Machinalnie kreślono znak krzyża — rezultat pewnego systemu edukacji. Nawet u tych, którzy przestali wierzyć, ten gest sięgał korzeniami otchłani wieków niby jakiś magiczny znak, pewnego rodzaju obrona, której używali, ponieważ w chwili paniki nie znajdowali niczego innego. Jak gdyby chcieli powiedzieć samym sobie, że jeszcze nie wszystko się kończy, że znak krzyża jest symbolem odkupienia, gdyż pokonał śmierć, i że istnieje jakiś inny świat. Czepiano się jakiegoś zdania, by odnaleźć grunt pod nogami. Ale to zdanie, raz wypowiedziane, traciło cały swój sens.

Po kilku minutach zadumy — zaduma była czymś bardzo na miejscu, nikomu nie brakowało towarzyskiego obycia — mówiono: „Jaka piękna śmierć!... Jaki jest teraz spokojny!” Te słowa Jerzy słyszał najczęściej. Ale jakżeż dziadek mógłby

nie być spokojny teraz, kiedy nie żyje? Może zdarzają się zmarli, którzy mają twarze konwulsyjnie wykrzywione, umęczone? Jerzy nie wyobrażał sobie jednak takich zmarłych. I prawdę mówiąc nie wyobrażał sobie żadnego zmarłego, bo dziadek był pierwszym, jakiego widział.

Ludzie powiadali także, chcąc nadać inny odcień swojej ocenie: „Miał piękny koniec!” Co to oznacza „piękny koniec”? Zgasnąć jak świeca? Jerzy wiedział, że dziadek nie zgasł jak świeca i że zgasnąć jak świeca nie oznacza pięknej śmierci. Zresztą „piękna śmierć” jest niemożliwa. To brzmi jak czarny humor w złym gatunku!... Śmierć równa się zawsze klęsce. Jerzy wiedział o tym. Wystarczyło spojrzeć na dziadka. Starość jest klęską gorszą jeszcze niż śmierć. A długie życie oznacza w sposób nieunikniony życie starcze. Jerzy wchodził więc coraz głębiej w labirynt, w którym gubił się, bo najzwyczajniej w świecie umierał ze zmęczenia. To normalne, że był zmęczony. W ostatnich dniach nikt nie troszczył się o to, żeby mu czegokolwiek oszczędzić.

Na wyciągi wszyscy powtarzali: „Jerzy, jesteś teraz mężczyzną”, jakby przez śmierć dziadka osiągnął pewien rodzaj autonomii, podczas gdy nigdy jeszcze nie wiedział tak dokładnie, że istnieje jedynie jako funkcja tego, czego od niego oczekują. Myślał o tym, że ojciec ma dużo szczęścia, gdyż znajduje się w tej chwili na wyspach Kerguelena. Kiedy stamtąd wróci, śmierć dziadka przejdzie już do historii. Nie będzie się już o niej mówić, albo bardzo mało. Tematem dnia będzie przyszłość Jerzego. Ponieważ „nie był w stanie skończyć szkoły morskiej, pójdzie do Saint-Cyr”. To całkiem proste. Po gimnazjum matematyczno-przyrodniczym przygotowanie do szkoły wojskowej. Rodzina wahała się między La Flèche a Gi-



nette. Ojciec wolałby La Flèche, ale „ulica de Grenelle” była za Ginette. Jerzy gwizdał na to. Nie miał ochoty „robić Saint-Cyr”, zwłaszcza od kilku dni, zwłaszcza teraz, kiedy znajdował się sam w gabinecie dziadka ze wszystkimi tymi reprodukcjami „wielkich malarzy batalistów”, do których podziwiania zmuszano go już od tak dawna. Mdlili go. „Cesarz Napoleon III pod Solferino” Meissonniera, „Kirasjerzy spod Morsbronn” Edouarda Detaille i w końcu „Cmentarz w Saint-Privat” i „Ostatnie naboje” Alphonse’a Neuville. Dziadek zmuszał go do podziwiania szczegółów umundurowania, część po części, żeby Jerzy niczego nie zapomniał. Dotychczas czuł do tego wstręt jak do chlebowej zupy, którą musiał przełykać, a nie darowywano mu ani łyżeczki. Ściany zakrywały również stojaki na broń, a gablotki wypełnione były kolekcją ołowianych żołnierzyków. „Piękniejsza niż kolekcja muzeum w Compiègne” — powiedział dziadek, dodając skromnie: „Ale mniej liczna”.

Babka, która chwilami odrywała się „od swych zmartwień, lekarstw i modlitw” i przychodziła kontemplować „swojego nieboszczyka”, oświadczyła wskazując „relikwie”:

— Wszystko to będzie twoje, Jerzy. Ponieważ jesteś, wszystko ma jeszcze sens.

Takie rzeczy można było mówić pięćdziesiąt lat temu. Babka Jerzego słuchała tego w młodości; ale Jerzy słuchał obecnie i musiał rozplywać się w podziękowaniach! Miał ochotę zapalić... Niestety w tym pokoju, przy trumnie, było to niemożliwe! Nikt nie zmuszał go do pozostawiania tutaj, ale gotów był na wszystko, byleby nie przebywać razem z rodziną. W pokoju babki kobiety krzątały się przy żalobnych toaletach. Tak, zebrał się cały ród kobiety! Matka, babka, dwie siostry: Agniesz-

ka i Laurence, które przyjechały wczoraj. Agnieszka z wielkim brzuchem kobiety ciężarnej, sterczącym niby monstrialne jajo pod suknią ze sklepu dla przyszłych matek, Agnieszka, na której widok wszyscy wpadali w ekstazę!... Bóg wie jednak, że dla Jerzego wygląda obrzydliwie. Cofa ramiona, wygina krzyże, żeby utrzymać równowagę. Irytował chłopaka ten kaczy chód, to kołysanie biodrami, któremu „tamci” przyglądali się z rozczuleniem. Miał już dosyć tego kobiecego świata i wszystkich oklepanych frazesów zmieniających łyżę w uśmiech!... Licytowanie się głupotą. „Jak bardzo by się cieszył! Ale teraz widzi to dziecko z nieba. I błogosławi je. Zobaczysz, Agnieszko, urodzisz chłopaka.”

Kolejna aluzja do pękniętego ogniwa łańcucha, który te uparte kobiety chciały zespawać!... Jerzy skończy Saint-Cyr, a Agnieszka będzie miała syna. Zmarły może spokojnie spoczywać w grobie.

Dawniej Jerzy lubił siostry, w ogóle lubił zresztą ludzi. To właśnie był owoc dobrego wychowania. Nagle przy tej trumnie poczuł do wszystkich pretensję, że akceptowano go nie takiego, jakim był naprawdę, i nie za tę zawrotną wiedzę, którą odkrywał. Wszystko wymykało mu się. Nawet Laurence, słodka Laurence o oczach antylopy, ta Laurence, dla której miał czasem — czynił sobie z tego powodu wyrzuty — zbyt wiele czułości. I właśnie ona miała jakąś tajemnicę. Nie słyszał już, jak to było niegdyś, bicia jej serca tu przy swoim. Wczoraj, kiedy tylko przybyła, wyczuł odmienność rytmu. Lekarze chcąc określić szczególny odgłos wydawany przez serce pewnych chorych, mówią, że mają oni „szmery w sercu”. W przypadku Laurence sprawa była poważniejsza. Jerzy zrozumiał od razu, że coś uległo na zawsze zniszczeniu.

Lubił także Agnieszkę. Ale jej małżeństwo nie dla niego nie zmieniło, nie naruszyło jego bezpieczeństwa. Od dawna nosiła Benedykta w głowie i w sercu. Jak powiadała Heloiza: „wbiła sobie do głowy, że za niego wyjdzie”. W ciągu całych miesięcy Laurence i Jerzy śledzili przebieg operacji. Oboje mogli odsunąć się na pewien dystans, żeby lepiej obserwować, jak Agnieszka przygotowuje sieci i chwytą w nie swego wybrańca. Co za podrywaczka! Jak doskonale umiała pozbywać się wszystkich nieinteresujących ryb, wrzucając je z powrotem do morza, a pozostawiając tylko osławionego absolwenta politechniki w okularach! Wysoki, przystojny, bogaty i utytułowany. Wkrótce pokieruje poważną fabryką należącą do jego rodziny. Dla Laurence i Jerzego Agnieszka była tylko słabym odbiciem ich samych, wcześniej niż oni zaczynającym życie. Szła w obłoku tiulu, w naszyjniku z pereł, przy dźwiękach marsza weselnego Mendelssohna, poprzedzana orszakiem małych dziewczynek niby ruchomą wiązką pachnącego groszku. Podczas tego ślubu Jerzy i Laurence używali sobie do syta. Nie czuli się bezpośrednio zaangażowani. Śledzili jedynie rozwój wypadków. Agnieszka dokonywała przed nimi, i dla nich, próby skoku z dzieciństwa w wiek dojrzały. Wiedzieli, że to, co dotyczy ich, przyjdzie we właściwym czasie; bez wątpienia pod inną postacią.

Teraz, już po śmierci dziadka, Jerzy czuł, że to wydarzenie dotyczy go bardziej niż ślub Agnieszki! Ten „skok w życie”, wyrażenie, jakiego używał w rozmowach z Laurence, wydał mu się teraz czymś śmiechu wartym. Prawdziwą przygodą jest dopiero śmierć. Każdy odczuwa ją inaczej, to zrozumiałe. Jerzy jednak wiedział, i to wiedział na pewno, że dzisiaj jedynie on przeżywa, czym jest naprawdę śmierć dziadka. Jak bardzo czekał na Laurence!

Ale Laurence nie jest już tą dawną Laurence. Zdawało się, że sama nie dostrzega tego odseparowania się od brata. Jerzy natomiast czuł, że jego rana jest głęboka i krwawi. Nie ma już dłoni, w którą mógłby włożyć swoją dłoń, kontemplantując zapadanie się własnego dzieciństwa w otchłań.

Obie siostry przybyły poprzedniego dnia późnym popołudniem. Ileż trzeba było telefonów, żeby wszystko uzgodnić! Mąż Agnieszki brał udział w kongresie odbywającym się w Sztokholmie i długo wahano się, czy należy sprowadzać jego żonę. „Sam rozumiesz, w jej stanie!” Miało się doprawdy wrażenie, że nosi w brzuchu losy świata. Laurence studiowała na uniwersytecie katolickim w Angers. Trzeba było czekać na porę posiłku, żeby zastać ją w domu studenckim. Pani Santenac zastanawiała się nawet, czy nie poprosić Laurence, żeby pojechała okreśną drogą przez Rouen; lepiej niech Agnieszka nie podróżuje sama! Wszystko to było tak śmieszne, że chciało się płakać. Jerzy wtrącił się.

— Albo Agnieszka jest w stanie podróżować — powiedział — wtedy przyjedzie bezpośrednim pociągiem Rouen — Paryż, albo powinna zostać w domu.

Matka i babka ośmieszały się. Łatwiej im przychodziło wziąć na siebie ciężar obowiązków związanych ze śmiercią starego generała niż ciężar wyimaginowanego ryzyka, na jakie narażały ten oślizgły płód rozpychający brzuch Agnieszki. Już rozmawiając z Laurence przez telefon Jerzy wy czuł, że siostra nie jest tą samą osobą i że ich wzajemne stosunki ulegną zmianie. Osiągnął jednak swoje i siostry przyjechały osobno. Heloiza zakleiała dzwonek plastrem, żeby nie „szarpał nerwów”. Zasłoniła także wszystkie lustra. Wielkie — prześcieradłami, mniejsze białymi ręcznikami. Zda-

je się, że taki jest zwyczaj, a w tych okolicznościach wszyscy doceniali siłę zwyczaju.

Po dokonaniu toalety zmarłego siostra miłosierdzia zniknęła. Przybyły natomiast dwie inne, „na modły”. Babka wyraźnie zażądała obecności tych najważniejszych na szachownicy śmierci figur. Siedziały na krzesłach jedna obok drugiej, stare mniszki z zamierzchłej epoki. Grube fałdy ich spódnic zlewały się ze sobą i można by przypuszczać, że są dwiema siostrami syjamskimi zrosniętymi biodrami. To wrażenie pozostawało, kiedy podnosiły się tym samym ruchem, tuż obok siebie. Babka zażądała ich obecności, bo chciała uczcić zmarłego, podobnie jak ludzie Wschodu żądają obecności zawodowych płaczek.

Okropność sytuacji polegała na tym, że Jerzy był jedynym mężczyzną wśród ogłupionych przez tradycję i wychowanie kobiet. Dano mu to dokładnie do zrozumienia. Zaraz pierwszego dnia, kiedy babka kazała postawić jego nakrycie naprzeciwko siebie, była to jakby ceremonia inwestury i teraz zawsze już prezydował przy posiłkach. Daleko zaszedł mały chłopiec, który na początku tygodnia opuścił szkołę.

Dziadek umarł dopiero nazajutrz po jego przyjeździe, ale sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Nie dbano już o pozory, ponieważ śmierć nie stawiała się na umówione spotkanie. Należało liczyć się z koniecznością czuwania przez kolejną noc. Siostra miłosierdzia, do której pod koniec dnia Jerzy zdołał się jednak przyzwyczaić, zastąpiona została przez inną, zupełnie młodziutką, ni-ziutką, o okrągłej twarzy pełnej dołeczków, o policzkach rumianych i lśniących jak jabłko. Była energiczna, dyskretna i pocieszycielska. Stanowczo wysłała wszystkich do łóżek, przysięgając, że obudzi, „jeśli sprawa ulegnie przyspieszeniu”. I Jerzy

spał jak kłoda na kanapie w salonie aż do chwili, kiedy Heloiza nazajutrz rano przyniosła mu cudowną, parującą kawę z mlekiem i kanapki z masłem. Dziadek nie umarł bynajmniej jak gaśnie świeca. Miotał się gwałtownie. Wymachiwał bezładnie rękami. Uroczą, młodziutką siostrą poszła sobie o świecie i Jerzy już jej nie zobaczył. Inna, pełniąca dyżur dzienny, ta z żółtą twarzą, kiedy dziadek miotał się zanadto, podchodziła do łóżka, poprawiała przykrycie, modliła się, robiła zastrzyk, zmieniała lniane prześcieradło. Jerzy chciał uciec od tych smutnych widoków. Matka wysłała go po zakupy. Miał kupić sobie garnitur. Babka chciała, żeby był czarny, matka wołała marengo. Obie panie zgodne były co do tego, że ma to być garnitur „odświętny i z kamizelką”.

Z tego okropnego dnia Jerzy zachował jednak wspomnienie chwil jasnych. Żeby dojść na piechotę do sklepu przy placu de la Madeleine, gdzie rodzina zazwyczaj dokonywała zakupów przy ważnych okazjach, szybkim krokiem poszedł bulwarem Saint-Germain w kierunku Sekwany. Chłodne powietrze wypełniało mu płuca. Czuł jakby upojenie. Mijani przechodnie szli załatwiać jakieś swoje sprawy i nie żyli, jak mieszkańcy „ulicy de Grenelle”, w oczekiwaniu na przyjście śmierci. Kiedy wychodząc całował matkę, było mu obojętne, jaki kupi garnitur. Ale sprawa wydała mu się śmiechu warta, kiedy sprzedawca zapytał, czego żąda. Odpowiedział, że chce kupić szary garnitur „odświętny z kamizelką”. Sprzedawca był gadatliwy, zbyt uprzejmy, irytujący.

— Wybiera się pan na zabawę, prawda? — powiedział porozumiewawczo.

Jerzy wykrztusił zmieszany:

— Potrzebny mi jest na pewną uroczystość.

Okazało się, że niezbędne są poprawki. Spodnie

były w pasie za obszerne w stosunku do długości nogawek. Sprzedawca obiecał, że „ze względu na wyjątkowe okoliczności” garnitur dostarczony zostanie jeszcze dziś wieczór przed osiemnastą.

Chociaż Jerzy czuł się zmęczony, nie chciał wracać metrem. Usiadł w kawiarni przy ulicy Royale i kazał sobie podać piwo oraz sandwicza z szynką, jadł go bez pośpiechu. Skórka świeżej bułki chrupała w zębach, balsamiczny miąższ macerował mu się w ustach z masłem i szynką w smakowity krem. Małymi łykami popijał ciemne piwo. Zapalił papierosa. Radość sprawiały mu najprostsze nawet gesty: dotknięcie szklanką ust, płomień zapalniczki. Kupił gitany. Przysięgł sobie, że nie zapali już papierosa ze szlachetniejszego tytoniu, do którego się przyzwyczał. Dokładnie w tym właśnie momencie uzmysłowił sobie jasno, że nie będzie studiował w Saint-Cyr. Otrząsał pył z sandałów. Był zachwycony, bo pozostawił sprzedawcę w przekonaniu, iż kupił garnitur na zabawę. Żałował jedynie, że nie zareagował wcześniej i że poszedł pokornie do sklepu wskazanego przez „ulicę de Grenelle”. Miał kupić jeszcze czarne półbuty. Rodzina wierna była tej samej firmie obuwniczej. Jerzy postanowił dokonać zakupu w pierwszym lepszym sklepie. Matka nie mówiła nic o płaszczu. Bez wątpienia przyszyje mu czarną opaskę do klapy sportowego, szarego płaszcza, dosyć nędznego. Ale każe mu założyć czarne rękawiczki.

Musiał wracać. Najpiękniejsze chwile mają swój kres. Jerzy spóźnił się bardzo na obiad, ale czekano na niego. Matka miała twarz zalaną łzami, a babka wzrok twardy. Heloiza zadowoliliła się podaniem kiszki z purée. Jerzy nie był już głodny. Natomiast babka, przeciwnie, jadła z apetytem. Kilka razy pytała, czy nie należałoby wezwać księ-

dza, który udzieliłby ostatniego namaszczenia. Pani Santenac zirytowana wykrzyknęła:

— Czyż nie damy mu umrzeć spokojnie?

Popołudnie ciągnęło się bez końca. Wszyscy kolejno dyżurowali przy umierającym, który odzyskał ostatek sił i mocował się ze zjawami. Zrzucał koldrę. Zdawało się, że chce wstać, opuścić łóżko. Potem, wyczerpany do ostatka, opadał na poduszki. Chwilami mamrotał niezrozumiałe słowa. Mimo to Jerzy wielokrotnie dosłyszał „Montevideo, Montevideo”. Kiedy już po wszystkim porządkowano szczegóły tej śmierci niby zasuszone kwiaty w zielniku, babka wyjaśniła, że w tym momencie generał wyrażał zadowolenie, gdyż otrzymał, jak należało, ostatnie sakramenty. To znaczy wyrażał zadowolenie, że stolik przy łóżku nakryto koronkowym obrusem, który prapradziad, admirał Kerdouarec'h, przywiózł jako plon postoju w urugwajskim porcie. Wszyscy Kerdouarec'howie, którzy umarli we własnym łóżku — niektórym z nich jednak to się przytrafiło — żądali, by „święte oleje” stawiano na obrusie z Montevideo.

W końcu jednak generał zmarł. Jerzy odczuł niekłamaną ulgę. W tym momencie dyżurował samotnie przy chorym. Zakonnica wygotowywała w kuchni strzykawkę. Chłopiec zbliżył się do łóżka przyciągnięty osobliwą zmianą oddechu dziadka. I nagle charczenie ustało. Oddech zamarł w gardle starca jak nożem uciał. Otwarte szeroko oczy wpatrywały się w jakiś punkt na ścianie. Jerzy stał przez chwilę nieruchomo, prawie sparaliżowany tym, co właśnie się dokonało. Potem weszła matka. Tracąc wszelką powściągliwość, rzuciła się z łkaniem na ciało. Przyszła zakonnica, a na końcu wdowa. Jerzy zdziwił się, że tak szybko przyszło mu do głowy słowo „wdowa”. Zachowywała się bardzo godnie. Ofuknęła córkę:



— Trochę godności!... No, no, trochę godności! — powiedziała głosem twardym. Zakonnica, która trzymała w ręku mały ronderek z zanurzoną strzykawką, postawiła spokojnie naczynie na nocnym stoliku. Kierowana poczuciem zawodowego obowiązku, zmierzyła na tętnicy szyjnej puls zmarłego, ale nie trwało to długo.

— Trzeba zamknąć mu powieki — powiedziała do wdowy. — To pani obowiązek.

Jerzy zobaczył wówczas, jak stara dama, bardzo blada, nachyla się nad zmarłym, przybliża twarz do jego twarzy i patrzy nieruchomo, ona także, na ścianę przed łóżkiem. Zawołała Jerzego.

— Widzisz — powiedziała — dokładnie przed sobą masz to, na co patrzył. Ta gablotka ze wszystkimi starymi odznaczeniami rodziny.

Rzeczywiście na ścianie wisiała gablotka z medalami świętej Heleny i krzyżami świętego Ludwika. Ale zmarły już nie dawał się na to nabrać. Jerzy wiedział o tym, kiedy spoglądał w oczy dziadka.

Babka wyprostowała się, sztywna, położyła końce swoich starych, artretycznych palców na pomarszczonych powiekach i długo ich nie zdejmowała. Zdawało się, że jest przyzwyczajona do tej postugi. Kiedy zdejmowała palce, powieki unosiły się. W końcu zmarły ustąpił i wszyscy uklękli.

Heloiza poszła po dozorcę. Ten oddany człowiek, herkulesowej postury, o dobrej, dziecinnej twarzy zdjął marynarkę i ułożył ją starannie na oparciu krzesła, potem zabrał się do pracy. Zakonnica wyprosiła z pokoju matkę Jerzego, babkę i Heloizę. Trzy kobiety łkały w korytarzu. Stara służąca chciała wprawdzie zostać, bo „przyda się jeszcze jedna para rąk”, ale zakonnica, która kierowała całą akcją, była nieugięta:

— Proszę zająć się paniami — powiedziała przekraczając klucz w zamku. Nie zapytała Jerzego, czy

zechce pozostać. Dysponowała nim w sposób nie znoszący sprzeciwu. Cała ta historia, którą kazano mu przeżyć, była niesłychana, rozdzierająca, jak zwariowana krzywa temperatury: modlitwy, strzykawki, lewatywy, zastrzyki, duchowa podniosłość. Kiedy tylko babka uporwała się z zamykaniem oczu zmarłego, wszyscy odmówili chórem „Ojcie nasz”. Następnie matka Jerzego wyjęła z komody mszał, naszpikowany świętymi obrazkami, i zaczęła głosem przerywanym spazmami:

— Przyjmij, Panie, służbę Twego na miejsce zbawienia obiecań mu z łaski Twojej. Wybaw, Panie, duszę sługi swego jakoś wybawił Enocha i Eliasza od śmierci wspólnej wszystkim ludziom.

Zakonnica, wyprostowana jak litera „I”, mówiła po każdej suplikacji „amen”. Ale jej postawa świadczyła o tym, że według niej wszystko się należy przeciąga.

— Teraz, kiedy skończyła już pani „Suscipe” — powiedziała do matki Jerzego — proszę, żeby pani wyszła razem z panią de Kerdouarec’h...

Starsza pani robiła wrażenie, jakby zależało jej jedynie na dwóch czy trzech ważnych sprawach, które musi załatwić. Poprawiła wiszącą krzywo gablotkę z dawnymi odznaczeniami, zbliżyła się do kominka i zatrzymała wahadło zegara, a następnie cofnęła o pięć minut największą ze wskazówek. To wszystko wydawało się Jerzemu równie osobliwe, jak dziwaczne było „Suscipe” matki z powoływaniem się na Enocha i Eliasza.

Chociaż twarz zakonnicy zdradzała pewne zniecierpliwienie, wyrażała również litość, której obiektem nie były zmartwienia dam.

Kiedy znaleźli się w końcu sami, dozorca manewrował generałem niby bezwładnym pajacem. Martwe ramiona były powietrze jak cepy. Zakonnica wydawała Jerzemu polecenia:

— Proszę przynieść ciepłej wody z łazienki... Tak, oczywiście w niebieskiej misce. Stoi obok wanny... Prosiłam przecież o duże opakowanie waty... Teraz ręcznik frotowy. Tak, brzytwę.

O Boże, co za fachowiec z tej kobiety, jak szybko pracuje! Mydliła policzki zmarłego, goliła je z niewiarygodną szybkością, ujmowała w dwa palce nos nieboszczyka, żeby wygolić dokładnie górną wargę.

Jerzy zachowywał się jak ministrant uczestniczący w strasznym obrządku.

— Poproszę teraz sztuczną szczękę. Jest w szklance na umywalce... Niechże się pan pośpieszy. Niech pan nie śpi. Nie pora na to. Poproszę czystą koszulę i prześcieradła. Tak, są na krześle.

Pomyślała o wszystkim i wszystko przygotowała. Natomiast dozorca milczał. Jego mięśnie boksera wypychały obcisłą kamizelkę, kiedy unosił zwłoki, by podłożyć nowe prześcieradło i zmienić całą pościel. Po tych wszystkich zabiegach dziadek odzyskał ludzki wygląd.

Heloiza zastukała do drzwi. Zakonnica otworzyła niechętnie, by powiedzieć:

— Co tam znowu?

— Panie proszą, żeby ułożyć starszego pana w gabinecie.

Zakonnica spojrzała na zegarek i wzruszyła ramionami.

— To nie potrwa długo — stwierdził dozorca. — Zrobimy to we dwóch, panie Jerzy.

Minęło zaledwie pół godziny od chwili „końca”. Dziadek spoczywał na wąskim łóżku polowym, z twarzą woskową, ale odprężoną, wygoloną, uczesany. Odzyskał regularność i szlachetność rysów. Wydawało się, że zakonnica wymodelowała je na nowo, odtworzyła. Jerzemu przeszkadzało tylko, że podtrzymywała mu podbródek przy pomocy białe-

go ręcznika zawiązanego wokół głowy. Dawało to pozbawionej krwi twarzy wygląd wielkanocnego jajka, co było zupełnie nie na miejscu. Zakonnica stwierdziła, że zdejmie się przepaskę jutro rano, kiedy mięśnie zeszywnieją. Ręce były splecione na czarnym różańcu, a na piersi nieboszczyka położono mały krucyfiks. Właśnie dozorca mówił teraz „nieboszczyk” i sam przeniósł go, owiniętego w całun niby egipską mumię. Na niskim stoliku stojącym obok łóżka zapalono małą lampę o słabej żarówce, która wypełniała gabinet łagodnym, uspokajającym światłem. I Jerzy poczuł, że w końcu wypełnia go wielki, wewnętrzny spokój. Matka kilkakrotnie zjawiała się nie mówiąc słowa. Wygładziła fałdę na prześcieradle, ustawiła gdzie indziej krzesło, poprawiła firanki, zakręciła kaloryfer. Potem poszła po wdowę.

I wtedy wybuchła bomba:

— Jak to? Nie ubraliście go w mundur! — wykrzyknęła pani de Kerdouarec'h. — Ależ to nie do wiary!... Nie powinnam była zostawiać was samych. Na nikogo nie można już liczyć. To oszustwo! Skandal! Hańba!

— Ależ mamó — powiedziała matka Jerzego. — Nic mama nie mówiła!

— Ponieważ było to jasne jak słońce. Jeszcze żaden z Kerdouarec'hów nie został pochowany bez munduru. Czy musiałam ci o tym mówić? Wszystkiego muszę sama przypilnować? Mam zapomnieć o mojej rozpaczycy? Gdzie jest dozorca? Proszę natychmiast sprowadzić mi dozorcę. Wszystko trzeba zacząć od nowa. No, zabierajcie się do ubierania mojego męża.

Dozorca, który popijał wino w kuchni, zdawał się nie słyszeć hałasu. Zakonnicy i pani Santenac nie udawało się uspokoić wdowy, która krzyczała jak oszalała:

— Ja tu rządzę! Spełnię mój obowiązek. Żądam, żeby ubrano go na nowo.

Nikt nie miał ochoty ustąpić. Siostra nie ulękła się. Ponieważ nie wydano jej żadnych szczególnych poleceń, działała zgodnie z ogólnie przyjętymi obyczajami. Wykonała swoją pracę sumiennie i nie ma zamiaru zaczynać wszystkiego od początku. Zbyt szanowała zmarłych, by niepokoić jeszcze raz tego tu, którego należało zostawić już w spokoju.

— Mamo, mamó — powtarzała pani Santenac. — Staraj się zrozumieć! To niczego nie zmienia. Zostaw biednego tatusia w spokoju. Nie przyszło mi do głowy, że będziesz chciała ubrać go w mundur. Tego już się nie robi.

— Nie interesuje mnie, co się teraz robi. Jesteś złą córką. A więc sama przebiorę mojego biednego męża, oddam mu ostatnie honory, skoro dla innych to sprawa bez znaczenia! No, Jerzy, dajmy spokój tym osobom, które niczego nie rozumieją, chodź, pomóż mi.

— O nie, babciu. Nigdy!

— A to dlaczego?

— Bo to nie ma sensu.

Wtedy wdowa zaczęła krzyżeć, zwracać się do zmarłego, brać go na świadka tego, co oboje muszą znieść. Zakonnica i pani Santenac wzięły rozwścieczoną starszą damę pod ramiona i zaprowadziły do jej pokoju.

Jerzy czuł się bardzo zmęczony. Gdyby ojciec nie znajdował się w tej chwili na wyspach Kerguelena, wszystkie te przeżycia zostałyby mu zaoszczędzone. Myślał o szkole, o kolegach z klasy, a przede wszystkim o Jakubie Lefort, sąsiedzie z sypialni, który w ukryciu czytywał sprośne powieści i opowiadał mu o swoich pierwszych doświadczeniach.

Drzwi otworzyły się łagodnie i ukazała się poczciwa twarz Heloizy.

— Chodź na obiad, Jerzy. Niech inni tracą rozum.

## Rozdział 5

Jerzy chciał przestać nareszcie myśleć o dziadku i czuł się wyłączony z rodzinnego świata, który stał się dla niego piekłem. Nie mógł już znieść ani matki, ani Heloizy. Winny był jednak tej ostatniej wdzięczność za dbałość o jego żołądek. Przygotowała mu w kuchni smaczną przekąskę.

— Panie nie wezmą niczego do ust — powiedziała. — Twoja babka zupełnie oszalała! Nieszczęście wytrąciło ją całkowicie z równowagi. Siostra zrobiła jej zastrzyk. Będzie teraz spać prawie trzy dni. Pewnie, to najlepsze wyjście! W końcu da nam spokój. A twoja matka strasznie się umordowała! Przed chwilą podałam jej herbatę. Niech przetrawi w spokoju swój ból. Jednak ty, Jerzy, musisz jeść. Trzeba podsycać płomień! To najlepsze, co wynaleziono, żeby jakoś się trzymać. Zresztą takie rzeczy nie są dla ciebie, jesteś za młody. Powinni byli zostawić cię w szkole, ale nie chcieli mnie słuchać. Masz tu befsztyk. Specjalnie dla ciebie mało go wysmażyłam, a tu masz frytki, kawał camemberta i placek ze śliwkami. Prawdziwe, małe przyjęcie, tyle tylko że w niezbyt radosnym momencie. Otworzyłam dla dozorczy butelkę dobrego, starego wina. Należy się człowiekowi, a jeszcze po tym przedstawieniu, jakie dała twoja babka. Czy ty myślisz, że może mu zależeć, nieboszczykowi, na tym, jak go ubiorą, skoro wie już, że wszy-

stko odbędzie się przyzwoicie? Ale, do licha, wojsko to w tej rodzinie wszystko! W końcu nie powinienes się tak zamartwiać, że ludzie umierają. Takie jest życie i już!

Jerzy „nie zamartwiał się”, mówiąc słowami Heloizy. Czuł, że serce ma wyschnięte jak drewno. Nie cierpiał z powodu dziadka. Widział, jak bardzo rozpacza matka, ale nawet ta rozpacz już go nie wzruszała. Był sam. Być może zawsze był sam, ale nigdy nie uświadomił sobie tego z taką jasnością. Dotychczas przystosowywał się do rytmu życia innych. Na ogół zgadzał się z nimi. I nagle ta zgoda została zerwana. Odkrywał teraz świat, który uległ wstrząsowi. Czemu przyszedł mu na myśl park z przystrzyżoną murawą, z masywem kwiatów, drzew o przystrzyżonych w rozmaite formy koronach? Na to wrażenie nakładał się obraz wnętrza gleby podminowanego przez podziemne buldożery, które obcinały wszystkie korzenie. Nie sięgały już wilgotnych warstw ziemi i mogły zapewnić roślinom jedynie wegetację równie nędzną jak nędzna była warstewka, która pokrywała je jeszcze i podtrzymywała w stanie niepewnej równowagi.

Z pięknego, tajemniczego ogrodu Jerzego pozostał już tylko zdewastowany teren. W nagłym błysku, niby cięcie toporem w szyję, dzięki swoim bliskim uświadomił sobie, czym jest życie.

O daleki i nieosiągalny ojcze, którego zaufania i szacunku tak bardzo pragnął, a który obdarzał go jedynie współczującą tkliwością! Słowa „ponieważ nie jesteś w stanie skończyć szkoły morskiej” tego wieczoru nie rozbrzmiewały już w sercu Jerzego jak słowa potępienia. Raz chociaż świat rodzinny roztrzaskał się z hukiem. Z tej wewnętrznej porażki wyszedł krwawiący, rozdarty. Z trudem

oddychał pod tymi szczątkami, pod stertą gruzu. Ale śmierć dziadka w rzeczywistości zrujnowała jedynie tekturową dekorację.

Chciał zapalić papierosa. Było to w tej chwili niemożliwe. Znajdował się przy zmarłym. Patrzył na matkę siedzącą z opuszczonym wzrokiem, ze splecionymi dłońmi. Odzyskała już „swoją prezencję”. Czy potrafimy komunikować się z innymi ludźmi inaczej niż za pośrednictwem zmysłów? Rozmyślał o tym, że istnieje jakiś wymiar wewnętrzny, przez który ludzie odnajdują się nawzajem. Ta światowa kobieta, która troszczyła się o doprowadzenie do porządku włosów, o zdjęcie naszyjnika z nefrytów, o przemeblowanie pokoju, by stworzyć w nim nową harmonię, ta kobieta stawała mu się obca. Ale cierpiała, Jerzy zdawał sobie z tego sprawę. Jeszcze wyraźniej dostrzegał, że matka konstruowała już sobie jakiś świat wiążąc ze sobą zerwane końce nici. Świat nie pozostający w żadnym związku z tym, co się wydarzyło. Świat, w którym chciała czuć się równie swobodnie jak dawniej. Myślała o mężu, pragnęła płakać w jego ramionach łzami, które byłyby dla niej łzami pełnymi słodyczy. Chętnie oparłaby głowę na szerokiej męskiej piersi. Na piersi, która unosiłaby się w rytmie regularnym i mocnym. Bo życie jest rytmem! Ból sprawiała Jerzemu właśnie nieruchomość dziadka. Nieruchoma pierś. Nie pragnął bynajmniej, żeby ta pierś unosiła się w górę, w dół. Nie żądał niemożliwego, nie, jedynie oddechu ledwie dostrzegalnego dla kogoś, kto przygląda się z najwyższą uwagą, oddechu jak leciutkie tchnienie duszy, a nie tej nieruchomości zastygłej, niedobrej, agresywnej...

Nie spuszczał wzroku z ciała. Po kilku minutach zaczął mieć przywidzenia. Wydawało mu się, że dziadek oddycha. Stawało się to rodzajem maka-



brycznej gry, obsesją, w której znajdował schronienie przed samym sobą.

Podeszła matka. Wstał i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wziął ją w ramiona. Przycisnął bardzo mocno do siebie i pocałował w czoło. Potem odepchnął gwałtownie:

— Idź odpocząć, mamó — powiedział. — Będę czuwał.

— Nie bądź dzieckiem, Jerzy. Połóż się, zbyt wiele dzisiaj od ciebie wymagałam.

Zapewniła go, że także pójdzie odpocząć i że siostra zrobiła zastrzyk pani de Kerdouarec'h:

— Będzie spała czternaście godzin, mamy szmat czasu — dorzuciła z porozumiewawczym uśmiechem.

Ten „szmat czasu”, to chodziło o to, że nie będzie się rozmawiać o odznaczeniach, o szarżach kawaleryjskich, o galowym mundurze generalskim.

I Jerzy spał dobrze. Fala czułości, która podpłynęła mu do serca, a która związana była z matką, szybko rozproszyła się. Następnego dnia pozostał we wspomnieniach chłopaka jak ostatnia, uspokajająca stronica szkolnego zeszytu w kratkę.

Mógłby był, wewnątrznie się przełamując, wrócić do dawnej postaci małego chłopca, posłusznego, starającego się robić wszystko, by spełnić oczekiwania najbliższych.

Pani de Kerdouarec'h drzemiała przez cały dzień. Pojawiła się na krótką chwilę przy swoim zmarłym, któremu zdjęto przepaskę. Twarz z wypolerowanej kości słoniowej lśniła w półmroku. Krawat kapitański niby zakole krwawej rzeki otaczał kołnierzyk białej koszuli. Właśnie matka Jerzego przypomniawszy sobie o tym ostatnim należnym generałowi hołdzie. Rysy zmarłego stwardniały, czubki palców stały się fioletowe pod paznokciami. Jerzy przypomniawszy sobie pewne zdanie z Flauberta

w związku ze śmiercią pani Bovary i wywnioskował, że przegapił ten określony ściśle moment, „kiedy mówi się o zwłokach, że zmieniają się”.

Tak więc cały dzień licealista sprawował rolę mężczyzny, jak to lubiła później powtarzać matka. Ale on wiedział, co o tym myśleć.

Zatelefonował do zakładu pogrzebowego, zawiadomił wszystkie stowarzyszenia patriotyczne, którym przydawał dziadek, zredagował niezliczoną ilość depesz. Z wikarym od Świętego Tomasza z Akwinu ustalił szczegóły ceremonii, zamówił msze i wieńce.

Pozostawiono zmarłemu obrączkę. Wdowa obstawała przy tym stanowczo. Ale zsunięto z zeszywniałego już palca stary sygnet, którego grawerunek z trudem dawało się odczytać. Babka dała go wnukowi.

Jerzy ubrał się w swój garnitur marengo „z kamizelką” i włożył czarny krawat. Morda jak u tych nadętych, znanych mi smarkaczy — powiedział sobie. — Brakuje tylko, żebym sprzedawał gazetki przed wejściem do kościoła.

Heloiza i jej siostrzenica zabrały się na całego do roboty, „froterować, polerować”.

Zaczęły się wizyty, pani Santenac przyjmowała kondolencje. Dziękując znajdowała dla każdego właściwe słowo. Nazajutrz wraz z przyjazdem sióstr Jerzego atmosfera zmieniła się całkowicie. Agnieszka z brzuchem królowała niby w podbitym kraju. Zawiązała się kobieca rozmowa. Nawet Heloiza stała się usłużna. Kobiety paplały bez chwili przerwy. Laurence bujała w obłokach. Od pierwszej chwili Jerzy poczuł, że nic dla siebie już nie znaczą, lub mówiąc ściślej, że on nie znaczy nic dla Laurence. Błahostki, ale dorzucane jedne do drugich, wbijały mu w serce to przekonanie niby uderzenia młota.

Laurence była bardzo piękna. Jej uroda budziła czasem u Jerzego niepokój. Siostra była dla niego kobietą, a jednocześnie jakby ekranem, zabezpieczeniem przeciwpożarowym chroniącym go przed innymi kobietami. Faktura skóry, trzepotanie rękami, wilgotny błysk oczu, zarys bioder... Wszystko było w niej dla niego czystością i wszystko niepokojem.

Najbardziej irytowała Jerzego, kiedy ujrzał znowu Laurence, jakaś swoboda widoczna w całym jej zachowaniu. Pozostawała miarą, harmonią, ale odrywała się od świata rodziny. Nabierała dystansu. Jedynie on to zauważył. Innym wydawało się, że mają koło siebie istotę żywą, a mieli nie wypełnione ubranie.

Rolę salonu pełnił pokój pani de Kerdouarec'h. Starsza dama leżała w łóżku. Brała cukierki z małej bombonierki z błękitnej sewrskiej porcelany stojącej na nocnym stoliku wśród fiolek i tubek z lekarstwami. Ssała je z radością, która rozświetlała jej twarz. Oczy jej błyszczały, nozdrza drgały i wysuwała ogromne, zwiędłe, podobne do rozdeptanych śliwek wargi. Agnieszka, siedząc w fotelu, robiła na drutach coś z białej wełny dla oczekiwanego dziecka. Chwilami płakała, osuszała oczy, dyskretnie wycierała nos. Gwarzono o tym i owym, dosyć często o generale.

Heloiza przyniosła na tacy grzanki do herbaty. Wspominano wielkie czyny zmarłego. Pani Santenac odczytała dyplomy odznaczeń. Atmosfera rozładowała się. Rozpacz wygasła. Przeżywano stan jakiejś rezygnacji, nie pozbawionej uroku. Liczba wieńców ciągle się powiększała, nie wiadomo już było, gdzie je składać. Znajdowały się w loggii, w salonie, a nawet w łazience.

Laurence, która podziękowała za herbatę, wzięła na siebie zakupy związane z toaletami matki i sio-

stry. Złożenie zwłok do trumny miało miejsce o szóstej po południu. Jerzy asystował samotnie z matką tylko, która lękała się narażać Agnieszkę na takie wzruszenia. Nie zbudzono wdowy, która drzemała sobie. Wspomnienie, jakie Jerzy zachował z tego momentu, było okropne.

Heloiza raz jeszcze wykazała swoje oddanie poprzez staranność, z jaką przygotowała „porządną przekąskę”. Powtarzała:

— Oczywiście to nie pomaga na zmartwienie, ale trzeba jeść, nawet jeśli człowiek nie ma na to ochoty.

Postanowiono, że Laurence będzie nocować w Auteuil, u znajomych. Pojedzie tam zaraz po uroczystościach pogrzebowych. Kiedy wstała od stołu, Jerzy zaproponował, że ją odprowadzi.

— No właśnie — powiedziała pani Santenac. — Spacer po świeżym powietrzu dobrze ci zrobi.

Laurence przerwała:

— Ależ mam, niech mama spojrzy na niego. Pozwólcie mu pójść wcześniej spać. Całuję wszystkich i znikam.

Końcami palców posłała całusa zebrany. Wzięła torbę podróżną i wyszła uważając, żeby nie trzasnąć drzwiami.

Jerzy zdał sobie wówczas sprawę, że z przyjemnością odprowadziłby siostrę i spędził resztę wieczoru w jej towarzystwie. „Przegryźliby” coś w kawiarni „Flore”. Dawniej bardzo lubili tam chodzić. Często zabawiali się rozpoznawaniem siedzących przy stolikach pisarzy i artystów. Starali się dopasować nazwisko do twarzy, podsłuchać rozmowę. Śmiali się szaleńczo, kiedy wracali na „ulicę de Grenelle” mając na wargach smak zakazanego owocu. Przysięgli sobie, że nie wstąpią w związki małżeńskie i że będą mieszkać razem. Jerzy będzie pisać powieści, a Laurence malować

abstrakcyjne obrazy. Życ będą wśród wystaw i seansów rozdawania autografów, gdzie tłoczyć się będzie cały Paryż.

Ten wyimaginowany świat stanowił przedłużenie świata dzieciństwa. Jerzy przypomniał sobie, że pragnęli męczeństwa. Modlili się nawet o to pewnego dnia, kiedy podarowano im wielki album przedstawiający życie ojca de Foucauld w obrazach. Jerzy miał wtedy osiem lat, Laurence dziewięć, a Agnieszka dwanaście. Było to podczas letnich wakacji. Pani Santenac pojechała do męża do Tulonu, gdzie jego statek miał postój przed rejsem na Antyle. Jerzy bał się spać sam w pokoju. Heloiza uległa błaganiom chłopca i wstawiła jego łóżko do pokoju sióstr. Jerzy mówił, że płacze, bo się boi, ale nikt nie wiedział czego. Nigdy dotąd nie był rozdzielony z matką. Myślał, że wyjechała w podróż, z której nie wróci. A jeśli kiedykolwiek wróci, nie będzie już go kochała. Ojciec marynarz może pozostawić syna nie porzucając go na zawsze, ale matka, która odjeżdża, przestaje kochać syna, i Jerzy głęboko w to wierzył.

Słyszając, że brat tak długo wieczorem płacze, Agnieszka irytowała się, traktowała go jak tchórze, jak głupka. Ale Laurence pocieszała go. Prawdę mówiąc, po kilku dniach Jerzy nie cierpiał już z powodu nieobecności matki, ale w dalszym ciągu płakał dużo, bo łakomy był na pieszczoty siostry. Stały się dla niego słodkim przyzwyczajeniem. Agnieszka krzyczała:

— Jerzy, ty nigdy nie będziesz mężczyzną, jesteś tchórzem!

Laurence bardzo mocno przytulała wtedy Jerzego i szeptała mu do ucha:

— Nie słuchaj, ona jest zła, to zazdrośnica. Przestań się smucić, mama pewnego dnia powróci. Nie jesteś tchórzem. Kiedy będziesz duży, pój-

dziesz jak ojciec de Foucauld na Saharę, żeby zabijać lwy i umrzeć jak męczennik.

Jerzy wiedział doskonale, że ojciec de Foucauld pojechał na Saharę nie po to, żeby zabijać lwy. Laurence mówiła tak, ponieważ przyzwyczaiła się organizować świat według własnego upodobania, żeby „było piękniej”. Rozumiał, że umrzeć jak męczennik to rzecz ze wszystkich możliwych najcudowniejsza. A także najkorzystniejsza. Człowiek idzie prosto do nieba. Aniołowie, ubrani w obszerne, białe szaty, witają cię dmąc w srebrne trąby. W niebie nigdy się nie płacze. Nie można więc życzyć sobie niczego szczęśliwszego ani piękniejszego od męczeńskiej śmierci.

Kiedy po kilkutygodniowej nieobecności pani Santenac wróciła do dzieci, syn nabrał już zwyczaju płakania i zasypiania obsypywany pieśczołkami Laurence. Wywołało to skandal. Postanowiono, że chłopiec nie powinien wychowywać się razem z dziewczynkami, że trzeba coś zrobić, żeby wyrósł na mężczyznę i że począwszy od nowego roku szkolnego, od października, wysłany zostanie do księży.

W ten właśnie sposób trafił do internatu przed ukończeniem dziesiątego roku życia. Przyjęty został do siódmej klasy i pracował zadowolająco. Często wieczorem płakał w łóżku jak dawniej. Chował głowę pod kołdrę, by nie słychać było jego łkań. Nie było już Agnieszki, która wyzywała-by go od „śmierdzących tchórzów”, ale zasypiał marząc o czułości Laurence. Żył w oczekiwaniu wakacji, kiedy znowu ją odzyska. Kiedy padało, bawili się w pokoju Jerzego. Heloiza dawała im stare prześcieradło, którym nakrywali stół. Stawał się w ten sposób galionem, karawelą, a oni sami żeglarzami, którzy wyruszyli na poszukiwanie nieznanych lądów. W miarę jak dorastali, ich zaba-

wy zmieniały się. Chodziło już nie tylko o odkrywanie wyimaginowanych łądów, ale także o nawracanie ich mieszkańców, o studiowanie obyczajów i religii. Na strychach Kerdouarec'h znaleźć można było stosy czasopism misyjnych, które dzieci pochłaniały. Upodobanie do męczeństwa pozostało im aż do wieku młodzieńczego. Potem podróże nie odbywały się już wokół kontynentów. Brat i siostra razem odkrywali te same książki, te same płyty, te same dzieła sztuki. Agnieszka i Laurence pobierały nauki w „Przytułku” w Breście, a potem w Lorient. Jeździły również z rodzicami do Tuluonu i Cherbourga. Jerzy nie opuszczał liceum. Zesłaniem był dla niego nie internat, lecz życie bez Laurence. Kiedy spotkali się w Paryżu u dziadków, lubili spacerować bulwarem Saint-Germain w kierunku bulwaru Saint-Michel trzymając się pod ręce jak zakochani. Ten zwyczaj pojawił się u nich, kiedy Agnieszka zaręczyła się z absolwentem politechniki w okularach. Z początku była to zabawa, z której się śmiali, ale która sprawiała im wielką przyjemność. Na ulicy Jerzy trzymał Laurence za rękę i od czasu do czasu obdarzał ją ukradkowym całusem. Tylko po to, by wszyscy widzieli, że nie jest już dzieckiem. Laurence spostrzegła pewnie sama, bez pomocy brata, że stała się już młodą kobietą. Jerzy poświęcił dla siostry większość swoich zamiłowań. Natomiast jeżeli chodzi o Laurence, wybierała w swoim sposobie bycia i postępowania to wszystko, co mogło nie podobać się bratu. Jak podczas katastrofy statku bijemy wiosłami po dłoniach tych, którzy czepiają się szalupy. Musiało to sięgać czasów sprzed dwóch lat, kiedy to Laurence zdawała małą maturę.

— Doskonale widać, że przestaliście być papużkami nierozłączkami! — powiedziała wtedy He-loiza.

Tak, na pewno, Laurence wyswobodziła się. Napierając na wiosła całym ciężarem ciała, oddalała się w kierunku pełnego morza. I zawsze biła wiosłem po dłoniach Jerzego, który czepiał się jej burty.

Ale łagodnie. Perfidna Laurence działała zawsze łagodnie. Drwiła z Péguy, Psichariego, Gide'a, których lubił ojciec i których także, z poczucia wierności, lubił Jerzy. W dziedzinie muzyki zapoznała go z Bachem, Mozartem, Vivaldim. Miała adapter, całe godziny spędzali leżąc na brzuchach w jej pokoju. Z kieszonkowego kupowała ciągle nowe płyty. Odkrywała z Jerzym Prokofiewa, Dariusza Milhauda, Honnegera, Francisa Poulenc. Prowadziła go na wystawy malarstwa i przypinała pineskami do ścian pokoju brata reprodukcje Rouaulta, Braque'a, Buffeta, Chagalla, Matisse'a. Nigdy nie liczyła się z jego zdaniem. Szczególnie w czasach narzeczeństwa Agnieszki para Jerzy-Laurence była najmocniej związana. Wystarczali sobie.

Tego wieczoru, po jakże zgrabnym wyjściu siostry, ostatnie łuski opadły z oczu Jerzego. Nie był już potrzebny. Zawsze był dla niej jedynie czymś w rodzaju kolonii, z której czerpie się wszystko, co potrzebne, kolonii, którą ona cywilizowała protekcjonalnie. Zachowywała przy tym pozory. Dawała mu poczucie, że razem z nim odkrywa świat. Ale nie było to prawdą. Pozostała małą dziewczynką, która swoimi pieszczotami pożerała małego chłopca tonącego w łzach nie po to, żeby go pocieszyć, lecz, żeby samej znajdować w tym przyjemność. Zamienić łzy w radość — to był jej tryumf. Laurence żyła jedynie dla tryumfów. Jerzy był zawsze tylko łupem przytroczonym do jej wozu. Teraz znalazła zapewne łup przynoszący większą chwałę.

— No, idź spać, Jerzy — powiedziała pani San-



tenac. — Miałaś ciężki dzień. Jutro potrzeba ci będzie dużo sił.

— Tobie także, mamó.

— Naturalnie. Ale ty jesteś tylko dzieckiem i boję się, że za wiele od ciebie wymagałam, mój biedaku. Laurence jest rozsądna. Jestem pewna, że w tej chwili już śpi. Agnieszka śpi w moim pokoju. Heloiza przygotowała ci łóżko w salonie. Już prawie jedenasta. Idź, odpoczywaj.

— Nie mógłbym zasnąć, mamó. Krótki spacer dobrze mi robi. I proszę, nie czekaj czasem na mnie.

Wiedział, że matka nie zmruży oka, dopóki nie usłyszy, jak wraca. Ale dzisiejszego wieczoru ma, nie tylko w swoim pokoju, ale nawet w swoim łóżku, Agnieszkę o beczennym brzuchu. Wdowa po generale spała jak kłoda. A sam generał spoczywał spokojnie w trumnie, otoczony wieńcami, których uporczywa woń sprawiała, że Jerzemu zbierało się na wymioty. Na czarnej ałtuszowej poduszce, dostarczonej przez zakład pogrzebowy, przypięto liczne odznaczenia zmarłego, na trumnie złożono kepi z dębowymi liśćmi, szpadę i dolman. Słowo „dolman” doprowadzało zawsze Jerzego do rozpacz. Wolałby, żeby matka i babka mówiły jak wszyscy: „bluza mundurowa”. I ta potrzeba wystawiania szpady, kepi! Czemu nie koń wojskowy i laweta? A przecież matka była obecna przy składaniu ciała do trumny! Niczego więc nie rozumiała, niczego nie odkryła?

Na bulwarze Saint-Germain panował dojmujący chłód. Jerzy szedł szybkim krokiem z podniesionym kołnierzem. Przechodnie spieszyli się i nie zważali na czerwone światła. Wszystkie samotności ulicy połączyły się w tym lodowatym powietrzu nocnym i utworzyły olbrzymiego, ludzkiego węża, który ocierał się o ścianę dymiących motorów,

groźnych niby potwory ze swymi żółtymi ślepiami reflektorów.

Postanowił nie myśleć już ani o dziadku, ani o Laurence. Godził się na samotność. To znaczy na uwolnienie się od bliskich. Nie godził się już na siebie jako na strzęp krwawiącego mięsa, wyrwany z ciała, które o niego nie dba. Zerwanie z siostrą było nieuniknione, wiedział o tym. Ale czy nie mogła poczekać? Robiła wrażenie zbyt obojętnej na wszystko, co przecierpiał. Nie z powodu śmierci dziadka, ale z powodu tego, co mu ta śmierć uświadomiła. Laurence nie troszczyła się o odkrywanie czegokolwiek w duszy innych. Odkrycia dotyczyły tylko jej. Od dawna dokonywała ich bez pomocy Jerzego.

Instynktownie poszedł w kierunku „Flore”. Nastąpiła jednak reakcja. Nie chciał przeżywać na nowo swojej intymności z Laurence. Zauważył wysoką dziewczynę, dobrze zbudowaną, o szerokich ramionach i długich nogach, która szła przed nim pięknym, sprężystym krokiem. Miała na sobie szary, sukienny płaszcz i rodzaj kaptura z zielonej wełny. Weszła przed Jerzym do „Royal Saint-Germain” i przytrzymała drzwi, żeby go nie uderzyły. Przez tę krótką chwilę widział jej twarz obramowaną wełnianym nakryciem, jak twarz mniszki obramowana jest kornetem z płótna. Uśmiechnęła się i było to dla Jerzego olśnienie. Pragnął podziękować jej za tyle wdzięku, tyle czystości. Ta dziewczyna była czysta, tak jak o wodzie mówi się, że jest czysta, bez domieszek, niezmacona. Zielony kaptur podkreślał regularność rysów, wielkie oczy z czarnego aksamitu, gęste frędzle rzęs. Delikatny profil, ładny zarys nozdrzy, duże usta, które burzyły harmonię twarzy, ale nadawały jej wyraz ożywienia, górna warga, trochę za krótka, odkrywała szerokie zęby — solidna kość słoniowa. Przez

chwile Jerzy odczuwał pragnienie zmiążdżenia tych warg swoimi ustami. Ta piękna dziewczyna reprezentowała dla niego płomienne życie, życie, jakie pragnął pić. Przestraszył się gwałtowności tego pragnienia. Nigdy jeszcze nie całował dziewczyny. Coś zdrowego, mocnego, fizycznego i zmysłowego zaczęło wypełniać go niby płomienny świat. Wiedział, że nie musi się z tego powodu rumienić, chociaż wykraczało to poza świat „ulicy de Grenelle”.

Dziewczyna (Jerzy wiedział, że jest to dziewczyna, dziewczyna nieskończenie bardziej bezcenna i bardziej bezbronna niż Laurence) szła między stolikami z wyciągniętą szyją, szukając wzrokiem kogoś, kto na nią czekał. Jerzy szedł za nią, jakby przykuty. Przeszedłszy przez całą salę, dziewczyna zatrzymała się, zawróciła i usiadła przy wolnym stoliku. Santenac, zbity z tropu, wahał się, potem wybrał miejsce tuż za nią. Nie widziała go. Zresztą zdawała się mało przejmować jego obecnością, on natomiast nie tracił z oczu najmniejszego jej gestu. Kiedy zdjęła płaszcz, okazało się, że jest szczupła, ale ma piękne ramiona pływaczki. Zdjęła kaptur, potrząsnęła głową jak pies wychodzący z wody i przesunęła dłonią po krótko obciętych, czarnych lokach, żeby doprowadzić je do porządku. Przy neonowym oświetleniu wydawało się, że głowa dziewczyny pokryta jest błękitnymi wiórami stali. Jerzy przyglądał się widzianemu w skrócie profilowi, długiej, jakże kruchej szyi, linii ramion rysującej się pod sweterkiem. Dziewczyna zamówiła grog, który piła trzymając szklanekę w obu dłoniach, żeby się rozgrzać. Jerzy nie spuszczał z niej wzroku. Kelner dwukrotnie musiał powtórzyć pytanie, co mu podać, zanim wyrwał go z tej kontemplacji. Zamówił szkocką, wiedząc przecież dobrze, jak bardzo nie podobałoby się to mat-

ce, i wypił jednym haustem, potem zapalił papierosa. Ogarniało go łagodne, przyjemne ciepło. Zamówił jeszcze jedną szkocką. Dziewczyna otworzyła książkę, ale przewracała strony nie patrząc. Często podnosiła wzrok, żeby spojrzeć w kierunku drzwi. Jerzy wyobrażał sobie, że czeka na niego i że oboje padli ofiarą nieudanego wyjścia na plan. Nie poznali się. Należało więc wyciąć kilka metrów taśmy i nakręcić tę sekwencję od nowa. Pierwszy powinien przyjść Jerzy, to on powinien na nią czekać. Powinien niepokoić się. Pewnie nie umiałby zachować cudownej śmiałości tej dziewczyny ani jej ogromnego, spokojnego szczęścia, kiedy tak oczekiwała. Nie przedłużałaby jednak oczekiwania poza te cudowne minuty trwogi, które potęgują przyjemność. Zanimby weszła, już by to widział. Ich spojrzenia skrzyżowałyby się od pierwszej chwili. Zaoszczędziłby jej tego wyciągania szyi ruchem tak pełnym uroku, nie musiałyby szukać go na sali. Wzięłyby ją w ramiona przy wszystkich. Poczulby na swoich ustach jej wilgotne wargi. Pomógłby jej zdjąć płaszcz, kaptur z zielonej wełny. Własnymi palcami poprawiłby jej włosy. Widział tę scenę nakładającą się na widziany w skrócie profil dziewczyny; ten rodzaj zdublowania podniecał go i sprawiał ból. W najwyższym napięciu, jakie w tej chwili odczuwał, chciał do niej przemówić. Wystarczyło przejść kilka kroków i poprosić o ogień. Powiedzieć, że musieli się już spotkać. Przypomniawszy sobie pewne rozmowy z kolegami z liceum, przede wszystkim z Jakubem Lefort, tak siebie pewnym i z taką przyjemnością opisującym szczegóły swoich przygód. Jerzy wiedział, że chwila wymaga jakichś czynów nieodwracalnych, rzuć się w ubraniu do wody, ale słyszał bicie serca dziewczyny. Przenikała ją jakaś pieśń. Była to radość, która wydobywała się na zewnątrz, pokry-

wając wszystko, co ją otacza, jak morze pokrywa plażę podczas przypływu.

W tym właśnie momencie Jerzy rozpoznał chłopca, którego nigdy przedtem nie widział, ale który był samym obliczem miłości. Nie chodzi tu o rysy twarzy. Wysoki, kulturalny chłopak, typ dobrze zbudowanego intelektualisty, sama siła, harmonia. Jego postać nabierała sensu dopiero w bliskości tej dziewczyny. Kiedy tylko spostrzegła go, wstała. Bez gwałtowności, bez pośpiechu, z jakąś spokojną pewnością i Jerzy zwątpił teraz w trwogę, którą, wydawało mu się, w niej widział. Chłopak nie wziął dziewczyny w ramiona. Nie zmiażdżył jej ust swoimi. To, co Jerzy w swojej wyobraźni byłby uczynił grając tę rolę, wydało mu się sprawą drugorzędną. Chłopak i dziewczyna stali twarzą w twarz, trzymając się za ręce. Byli światem doskonale zamkniętym. A jednak Santenac nie poczuł rozczarowania. Ważny był fakt, że miłość istnieje, a tych dwoje świadczyło o tym w sposób nieodparty. Usiedli obok siebie na ławeczce pokrytej moleskinem. Ramię przy ramieniu. Jerzy widział już tylko jasną głowę chłopaka, włosy ostrzyżone na jeża.

Po drugiej szkockiej wpadł w fizyczny błogostan. Nie czuł smutku. Nie chciał myśleć o dziadku ani o Laurence, a jedynie o szczęściu tych dwojga nieznanym, o szczęściu, które przenikało go do szpiku kości. W sposób brutalny objawił mu się fakt, że miłość to coś, co dotyczy go bezpośrednio. Zresztą miłość jest jedna. Gra luster dawała mu jedynie mnogie jej obrazy. Kochał miłość jak łup, który będzie trzeba zagarnąć. Rozumiał rozgorzałym sercem, że rzeczywistość ważniejsza jest sama w sobie niż sposób jej postrzegania. Jeśli idzie o niego, nie zadowolą go pozory.

# Część druga

## Rozdział 1

Kerdouarec'h zbudowane zostało w połowie XVII wieku przez niejakiego Le Moinga, który wzbogacił się sprzedając płótno żaglowe statkom Kompanii Indyjskiej. Cała Dolna Bretania bogaciła się wówczas. „Żelazne miecze” — ta biedna jak mysz szlachta zapomniała o dzikich wojnach i rewoltach. Obrastali w tłuszcz uprawiając handel korzeniami, artykułami kolonialnymi. Zrujnowane dwory ustąpiły miejsca zbyt kosztownym rezydencjom, a strzechy — dachówkom grubym jak bochny chleba, które błękitniały od deszczów. Lubili rzędy okien o regularnych kształtach i sadzawki pośrodku trawników. Kiedy markiza de Sévigné udała się do Lorient, wystąpili z festynami, o których mówi się po dzień dzisiejszy. Składali wizyty pani de la Sablière, która podejmowała pocziwego pana de la Fontaine nad Odetem. Nowe miasta wyrastały jak grzyby po deszczu. Ludzie żyli z Zachodnich Indii. Noszono peruki i brokatowe fraki. Kupowano Murzynów ubranych w czerwone i żółte jedwabie oraz egzotyczne ptaki z wysp. Wszędzie wyczuwało się atmosferkę Wersalu. Próbując swych sił w wytwornym języku, po bretońsku rozmawiano już tylko ze służbą.

Jan Maria Le Moing nabył ziemię od pana Kervivian zrujnowanego przez rewoltę przeciwko opłatom stemplowym. Na wrzosowisku Kerdouarec'h, panującym nad zakolem Laity, Jan Maria Le Mo-

ing polecił wybudować podłużny budynek o murach grubych na pięć stóp, z kwadratową wieżą w południowym rogu. Obawiał się nowej harmonii klasycznych fasad i ogrodów w stylu francuskim. Kazał przebić wąskie okna na starą modłę, zasadzić hektary dębów i buków, które służyć będą do budowy statków. Aczkolwiek nękała go obawa śmieszności, dorzucił do nazwiska nazwę ziem, a testament podpisał „Jan Maria Le Moing de Kerdouarec'h”. Czuł się jednak nędznikiem w obliczu śmierci roku pańskiego 1686 i jęczał redagując swoją ostatnią wolę: „Jestem tak słaby i wyczerpany, że z trudem wielkim pisać mogę. Minęło siedem miesięcy, od kiedy spocząłem w łożu boleści”. Żądał, by jego ciało pochowane zostało w kaplicy Lothéa „bez żadnych obrządków pogrzebowych”. Prosił syna, Piotra, by „nie wdawał się w procesy ni swary z sąsiadami”. I rozkazał mu spędzić „sześć miesięcy u Świętego Łazarza w Paryżu, by poznał służbę Bożą”, a Franciszkowi i Wilhelmowi, i René, trzem pozostałym synom, „odbyć dwa lata retoryki” i zalecił „miejcie nabożeństwo dla Najświętszej Panny i czujcie zawsze bojaźń Bożą”.

Zaledwie ostygły zwłoki tego zacnego człowieka, dzieci zaczęły pieniaczyć się o spadek. Pisarz „trybunału okręgowego w Quimperlé” dokonał inwentarza „dóbr ruchomych i substancji”, wciągnął do dokumentów, które po dziś dzień przechowywano w Kerdouarec'h. Jerzy nasłuchał się opowieści o „łózkach czworokątnych”, o fotelach i krzesłach wyściełanych „szarszą caeneńską”, stołach z wysuwanymi blatami, obiciach, kompletach pościeli z zielonej tafty, obrazie „z wizerunkiem Magdaleny”, strojach z żółtego płótna przybranych złotymi nitkami i tresami, lnianych koszulach z kołnierza-  
mi i mankietami z koronki, muszkietach, strzel-

bach, srebrnej zastawie i sosjerkach „wycenionych dwadzieścia cztery funty od sztuki”.

Kerdouarec'howie używali nazwiska Le Moing już tylko w aktach notarialnych, a powyższy inventarz sporządzony niemal trzy wieki temu zastępował im patent szlachecki. Nikt nie wiedział, skąd wykombinowali sobie tarczę herbową, ale była ona wyrzeźbiona na nadprożu głównego wejścia do ich rezydencji. Od czasów sądowej likwidacji, która nastąpiła po śmierci Jana Marii Le Moing, nie sprzedano już ani jednego mebla. Ale niewiasty wpadały czasem na pomysł przystosowania sprzętów do współczesnych sobie gustów. Za Napoleona III kazały pomalować na czarno i obić wiśniowym jedwabiem fotele w stylu Ludwika XVI. Po wojnie 1914 roku babka Jerzego zainstalowała telefon w lektyce, którą zniesiono ze strychu, by tak bez chwały dopełnił się jej los. Brak smaku i cudaczne pomysły określały osobliwy styl Kerdouarec'h.

Zapewniwszy dzięki zmysłowi handlowemu stronę materialną, mężczyźni z rodu Kerdouarec'hów nabrali zamiłowań militarnych. Nie zabrakło ich pod Steinkerke, Valmy, Austerlitz i Waterloo. Z rabunku Cesarskiego Pałacu Letniego przypadły im delikatnie barwione „Mingi” i sztylety inkrurowane szmaragdami. Byli dzielnymi ludźmi. Robili, co mogli, by wznieść trochę wyżej piedestał... Niestety, ostatni z Kerdouarec'hów, w stopniu generała, miał jedynie córkę, która z miłości została małżonką Mateusza Santenaca. „Tak, po prostu Santenaca, ale komandora.”

Ten ostatni nie przepadał za rodziną żony. Doceniał natomiast w pełni rzekę, opływającą ogromny trawnik, który rozpościera się przed domem. Wychwytywała światło z mgieł brzasku dnia. Po przeciwnej stronie zakola zatrzymywała długo



wieczorami ostatnie promienie słońca. „Geniusz Kerdouarec'hów — powiadał Santenac — polega na tym, że wybrali sobie doskonałe miejsce na rezydencję.”

Często pływał z Jerzym łódką w dół rzeki, aż do Pouldu. Na zmianę napierali ze wszystkich sił na wiosła. Santenac odzywał się rzadko. Powiadał: „Mewy muskają powierzchnię wody, zaraz będzie burza”, lub też: „Trudno będzie przepłynąć ujście rzeki, a na pełnym morzu fala dochodzić będzie do trzech metrów. Miałbyś mimo to ochotę popłynąć na Groix?”

Pewnego dnia, chcąc uczcić piętnaste urodziny Jerzego, wsiedli w Bas-Pouldu do łodzi i wzięli kurs na wyspę zakotwiczoną wśród morskich mgieł niby statek-zjawa. Brzeg rozmazywał się. Jerzy dostrzegał w pianistej kurzawie dzwonnice w Larmor, białą linię plaży w Toulars, mury obronne w Port-Louis... Były to godziny pełne słodyczy dla chłopaka, który lękał się, by jakieś niezręczne zdanie nie zniweczyło czaru. Morze było wzburzone, a Jerzy sterował. Kapitan Santenac zmniejszał powierzchnię ożaglowania, wykonywał zwrot przez rufę, by nabrać w żagle wiatru. „Błyskawica” nurkowała, bukszpryt przebijał fale niczym rozeń. Santenac postanowił, że ze względu na pogodę spędzą noc na wyspie, bo „matka niepokoiłaby się, a tak zadzwonisz, jak tylko przycumujemy”, ale uśmiechał się jednocześnie i chłopiec uwierzył, że łączy ich pragnienie pozostania sam na sam daleko od Kerdouarec'h.

Jerzy często chciał, żeby ojciec mówił więcej o sobie, żeby opowiadał, co robił podczas okupacji. Wiedział, że był jednym z kierowników siatki Alliance w regionie Brive, Limoges, Cahors, że był aresztowany i torturowany przez gestapo i że zbiegł z konwoju w drodze do Compiègne.

Po telefonie do Kerdouarec'h Jerzy wrócił na pokład, do nadbudówki. Zaczynało padać. Sante-nac zamknął za synem drzwi kabiny.

— Powinieneś być wziąć przeciwdeszczową kurtkę, mój chłopcze — powiedział. — Przez niespełną minutę strasznie zmokłeś.

Jerzy usiadł na ławeczce, łokcie oparł na stole, a swoją małą, wąską twarz podparł dłońmi. Powiedział trochę tak, jakby rzucał się do morza:

— Czy nie mógłbyś opowiedzieć mi o Ruchu Oporu?

Kapitan wkładał właśnie sweter. Kiedy jego twarz wyłoniła się z golfu koloru wody morskiej, Jerzy był zaskoczony, do jakiego stopnia stwardniała, ściągnęła się — miał przed sobą tragiczną wersję twarzy tak dobrze znajomej. Pionowa zmarszczka przekreślała czoło, grzbiet nosa wydał się ostrzejszy. Gorzka fałda sprawiła, że opadły kąciki ust. Jerzy nie zdawał sobie dotychczas sprawy, jak bardzo zbielewały włosy ojca. Spojrzenie błękitnych oczu stało się odległe, zagubione wśród fal. Minęło kilka minut, zanim kapitan odpowiedział:

— Są to już bardzo dawne wspomnienia, na szczęście zapomniane. Robiłem to, co inni, mniej niż inni, którzy nie wyszli z tego z życiem. Dzisiaj liczy się tylko jedno: wgryzać się wszystkimi zębami w chwilę obecną... No, do roboty! Wypatroszymy makrele. Na szczęście zdążyliśmy złowić ich trochę, zanim morze się wzburzyło. Na dzisiaj nie będą nam potrzebne konserwy. Oczywiście, otwórz puszkę z konfiturami.

Zapadał zmierzch. Lampa rzucała na środek stołu żółte światło. Kapitan zapalił fajkę. Słodki zapach holenderskiego tytoniu wypełniłabinę, Jerzemu zaczęło zbierać się na wymioty. Miał uczucie, jakby sprowokował początek jakiegoś procesu.

Nie wiedział zbyt dobrze, czy dotyczy to jego. Ale dotyczyło go wszystko, co miało związek z ojcem. I ten deszcz, który zacina teraz gwałtownymi falami!... Nie da się ani na chwilę otworzyć drzwi, żeby zaczerpnąć powietrza!

— Rozłóż na stole gazety — powiedział Sante-nac. — Rybę trzymasz w jednym ręku, nóż w drugim i robisz tak.

Patroszyli makrele. Oliwa grzała się na kuchence i jej zapach mieszał się z zapachem tytoniu wzmagając mdłości Jerzego. Czuł się straszliwie upokorzony. Przepadła cała radość popołudnia. Umknęła niby chmury pędzone wiatrem. Automatycznymi ruchami wyrzucał przez iluminator wnętrza ryb, zmywał i nakrywał stół. Oddzielając na talerzu przypieczoną skórę od jędrnego mięsa makreli, mówił sobie: Jeszcze raz okazał mi swoją pogardę. Naprawi to za chwilę demonstrując chytre sztuczki podczas partyjki szachów. Tak, odda mi oczywiście ster „Błyskawicy”, kiedy morze będzie spokojne, albo będzie dawał mi lekcje matematyki. Nie mogę oczekiwać od niego niczego więcej.

Potem Jerzy zadawał sobie pytanie, czy nie wyolbrzymił tego incydentu. Co kryło się w rzeczywistości w tej chorej twarzy, jaką ujrzał przez moment? Może jego pytanie nie miało tu nic do rzeczy. Ta myśl go męczyła, złagodziła urazę. Tylko kobiety zwierzają się — powtarzał sobie. Ale podejrzenie, że ojciec lekceważy go, zapadło w niego głęboko. Jeszcze mocniej zacisnął intymne więzy łączące go z Laurence.

Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, że nie lubi morza. Unikał spotkań sam na sam z ojcem. W gruncie rzeczy — mówił sobie — jestem dur-niem. To człowiek z innego niż ja kruszcu.

I ten ojciec popłynął teraz na dwa lata na wys-

py Kerguelena! Dla Jerzego przestało to już mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ponawianym kilkakrotnie przez kapitana próbom zbliżenia przeciwstawił zacięty opór. Pewnego dnia, w salonie w Kerdou-arec'h, ojciec, nie zdając sobie sprawy, że może być słyszany, powiedział jednemu z przyjaciół: „Jerzy przechodzi teraz kryzys. Taka jest kolej rzeczy, ale jego kryzys nie ma klasycznego dla jego wieku przebiegu. Za każdym razem, kiedy próbuję zbliżyć się do niego z jakimś problemem zasadniczym, wyslizguje mi się z rąk niby węgorz. Ale to minie”.

Jerzemu nie było niemiłe, w pewnej przynajmniej mierze, że ojciec nawet z jego oporu czerpał jakąś satysfakcję. Czyż odmowa nawiązania kontaktu nie jest właśnie świadectwem, że mężczyźni rozumieją się? Przywoływanie wspomnień ma sens jedynie w przypadku starców, którym życie nie przynosi już nic nowego. Ojciec go nie lekceważy. To Jerzy jest wiecznym dzieckiem, które żąda, by opowiadano mu historyjki, a zasypiając lubi trzymać czyjąś dłoń w swojej. Zawsze zresztą tak właśnie patrzyło na niego najbliższe otoczenie. Miało to swoje dobre strony. Włączał się w zespołowe oszustwo. Nade wszystko chodziło tu o oszustwo ze strony ojca, który nie wykonywał obowiązków przypadających mu z urzędu. Ojciec powinien być człowiekiem, do którego syn może się zbliżyć, z którym maszerować może noga w nogę. Drzazgą tkwiącą w ciele Jerzego była niemożność ukończenia szkoły morskiej. Nie miał zdolności matematycznych. A jednak, nawet mając piętnaście lat, wiedział, że można temu złu zaradzić. Czyż jednak sam nie zbudował sobie świata, w którym to wszystko, co pragnął osiągnąć, zostawało poza jego zasięgiem? Czy zaakceptowałby ogród, w którym mógłby łatwo zbierać owoce? Szkoła morska

to były wyschłe figi i spleśniałe winogrona. Chciał zagłębić zęby w miąższ tak soczysty, by sok spływał mu po brodzie. Wejść na terytorium nowe, gdzie nigdy dotychczas żaden Santenac ani żaden Kerdouarec'h nie postawił stopy. Szkoła morska, nie, Ruch Oporu, bohaterstwo. Wszystko to jedynie słowa, pod którymi nie kryje się nic poza „meblami i sprzętami zużyтыми”, jak pozycje inwentarza z 1686 roku.

## Rozdział 2

Nigdy jeszcze sierpień nie był tak upalny. Słońce paliło trawnik w Kerdouarec'h. Wśród dzikiej mięty obrastającej brzegi rzeki szlam popękany był jak ceramika. Z ziemi dobywał się palący zaduch, którego nie łagodził nawet przypływ morza. Pod niebem błękitnym jak farbka do prania, wśród grania świerszczy, słychać było pęknięcie strąków janowca. Jerzy przycumował łódź do korzeni starożytnego dębu, które gwałtowność Laity wydobyła spod gruntu podczas burz okresu zrównania dnia z nocą i które zwieszały się nad brzegiem tworząc skomplikowany relief.

— Przyjdę o trzeciej — powiedział ojciec du Regard. — Poczytam trochę brewiarz i będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Jakąś cząstką siebie samego Jerzy nie godził się na tę rozmowę, oczekiwał jej jednak z niecierpliwością. Przybycie ojca du Regard do Kerdouarec'h wydawało mu się podstępem wymyślonym przez matkę i babkę. Jednoczyły się we wspólnym froncie, jakby groziło im jakieś niebezpieczeństwo. W niepamięć poszły odwieczne sprzeczki. Nie była

to bynajmniej pierwsza podjęta przez niego próba. Już podczas wakacji na Zielone Świątki, kiedy chodziło o chrzest syna Agnieszki, planowały, że ceremonii dokona ojciec du Regard. Ale Antoni, ojciec dziecka, miał kuzyna księdza i miał również pewne swoje prawa, więc sprawy potoczyły się innym torem. Zmobilizowano wtedy Laurence. Uczciwie zrobiła, co uważała za słuszne. Jakby zawarty został jakiś pakt, który gwarantował jej wygraną pod warunkiem, że prowadzić będzie własną grę. Laurence zawsze zresztą grała jedynie na swój rachunek. Nie uciekła się do pomocy Malraux, Camusa i *Eine kleine Nachtmusik*, żeby ująć brata. Ale dała mu do czytania Jeana Genet, Borisa Vian. Puściła płyty z Monteverdim, Bachem, z kompozytorami rosyjskimi.

Wkrótce wśród gałęzi panującego nad Laitą dębu, Jerzy dostrzegł księdza w ubraniu clergymana. Szedł w jego stronę bez pośpiechu po wypalonej trawie, z odkrytą głową, ze wzrokiem utkwionym w brewiarzu. W miarę jak się zbliżał, Jerzy coraz dokładniej widział każdy rys ogorzalej twarzy zwieńczonej kępą białych włosów. Nie modlił się końcami warg, lecz jakby przeżuwał wymawiane słowa, co powodowało ruch szczęk.

Dwóch mężczyzn dzieliło teraz zaledwie kilka metrów. Jerzy nie był już pewny, czy spojrzenie księdza utkwione było w brewiarzu, czy też książka trzymana w dłoniach służyła jedynie za pretekst. Czy to coś, na co spoglądał opuszczonym wzrokiem, nie znajduje się w nim samym? Ojciec podniósł powieki. Przypominał pływaka wynurzającego się z głębin. Mgła okrywała źrenice jego oczu. Uśmiechnął się do Jerzego jakimś szczególnym uśmiechem, wyrażającym coś w rodzaju współnictwa a jednocześnie bezsily. Nie zatrzymał się, lecz szedł dalej wzdłuż rzeki między kępami

szaleju i leszczyny. W miarę jak się oddalał, Jerzy także wycofywał się. Przewycięzał uczucie skrępowania wywołane jakby widokiem czyjejs nagości lub podsłuchiwaniami rozmowy, która nie była przeznaczona dla jego uszu. Odruchowo pociągnął za cumę i pozwolił łodzi wypłynąć na środek rzeki. Była pora przypływu. Woda pokrywała teraz piaszczystą łacę i w tym miejscu zabarwiła się złotą jasnością. Gdzie indziej była zielona i ruchliwa, jedynie miejsca tuż przy brzegach osaczała czarnym cieniem.

Jerzy wychodząc zamknął sukę, ale wyrwała się i jak oszalała pędziła stromym brzegiem, zadyszana, z wywieszonym wielkim, różowym jęczorem. Rzuciła się do wody i pływała wokół łodzi kreśląc na wodzie świetlny ślad. Zwierzę czuło się winne i szczekało żałościwie. Na znak Jerzego, jednym sussem znalazła się przy nim. Prychała ociekając wodą, potem posłusznie położyła się przy nogach swego pana. Był to piękny seter białej maści nakrapiany czarnymi cętkami.

Ojciec du Regard zawrócił w stronę Jerzego z brewiarzem pod pachą. Miał teraz normalny wyraz twarzy. Wskoczył do łodzi, rozstawił szeroko nogi, żeby łatwiej zachować równowagę, i zdjął marynarkę, czarny półkoszulek i koloratkę. Jerzy nie bez pewnego zażenowania patrzył przez rozchyloną koszulę na tors i muskularne, włochate ramiona.

— No więc, chłopcze, popłyniemy w dół rzeki do Saint-Maurice.

— Podczas przypływu, kiedy prąd zmienił kierunek? Wie ojciec przecież, że nie po to spotkałiśmy się, by napocić się przy wiosłach.

— To znaczy?

— Proszę nie brać mnie za głupszego, niż jestem w rzeczywistości. Chciałbym z ojcem porozmawiać.

Matka i babka też tego pragną. Dały ojcu odpowiednie zalecenia. Prawda?

— Proszę, mów dalej.

— Dobrze. Ojciec dokonuje ad hoc zabiegu zmywania mi głowy, a następnie doprowadza punktualnie na kolację małego, posłusznego chłopczyka, zdecydowanego przygotowywać się do Saint-Cyr w La Flèche. Tak, ojciec wie dobrze, że koniec z Ginette. Za wielu jezuitów. Rodzina chce się nimi posługiwać, ale nie chce, żeby służyli sobie. Wybiera się więc mniejsze zło. Wola, żebym do Saint-Cyr przygotowywał się raczej w La Flèche niż w Ginette, gdzie mógłbym wybrać jeszcze inny kierunek.

— Skoro dzisiaj nie popłyniemy w dół rzeki, o której musimy przyjść jutro rano, żeby kierunek prądu był właściwy?

— Niech ojciec nie żartuje, proszę ojca. Przysięgam, że to sprawa poważna.

— Ta, o której mamy rozmawiać?... No myślę! Twoja matka miała doskonały pomysł zapraszając mnie tutaj.

— Wie ojciec dobrze, że to nie pierwszy raz. Dawniej zapraszała przez grzeczność. Ojciec uważał, że lepiej będzie wymówić się. Teraz rodzina wpadła w popłoch.

— Słuchaj, Jerzy, o co właściwie chodzi? Co chcesz zrobić?

— Nie chcę iść do Saint-Cyr. I w końcu w Kerdouarec'h zaczęto mimo wszystko zdawać sobie z tego sprawę.

— A twój ojciec?

— Z ojcem to co innego.

— Tak przypuszczam. Ale skąd ta niechęć do Saint-Cyr?

— Niczego więc ojciec nie zrozumiał?

— Zrozumiałem wiele. Zrozumiałem i lepiej,



i gorzej niż ty. Ponieważ chodzi o twoją sprawę osobistą, opowiesz mi o wszystkim. Siadaj. Zostaw w spokoju tę cumę. Już ją wystarczająco skróciłeś. Jesteśmy w cieniu. No, zaczynaj, słucham.

— Więc tak, proszę ojca. Miałem zamiar napisać do ojca, i to od wielu już tygodni. Potem zacząłem się bać. Nie ojca i nie siebie. Ale tego, co zacznie istnieć, bo zostanie ujęte w słowa. Jakby te sprawy, żeby istnieć, potrzebowały słów, które byłyby ich nośnikami. Proszę się nie śmiać, proszę ojca. To, co noszę w sercu, jest nie na moją miarę. Nie da się tego streścić, skodyfikować, wycenić w obiegowej walucie. Robię z siebie durnia, który ma jedynie bryłkę złota, a musi kupić bilet autobusowy. Można oszaleć.

— Uspokój się. Od tego człowiek nie szaleje.

— Oczywiście, przecież potrafię o tym mówić. Mój skarb musi żyć. To nie bryłka złota — mineralne oszustwo. Jak mam nieść ten skarb, by nie przyspieszał bicia mego serca, by za jego przyczyną nie płynęła w moich żyłach krew żywsza i czerwiejsza? Jestem jak zajęć schwytyany w światło samochodowych reflektorów. Zostanę rozjechany, ponieważ moje oczy nie widzą niczego poza tym światłem, które mnie oślepia, zamiast oświetlać drogę. Nie, niezupełnie to chciałem powiedzieć... Światło jest światłem i nic nie można na to poradzić. Tak tchórzliwie pragnę łatwiejszego życia i możliwości korzystania ze zwykłego oświetlenia, w którym widziałbym przedmioty i istoty dobrze mi znajome. Proszę mi wierzyć, że jak wszyscy mógłbym pragnąć samochodu wyścigowego, jachtu, a nawet dziewczyny. Przysięgam, moje pragnienie skręca mi czasem wnętrzności. Widzi ojciec, że nie szachruję, wykładam karty na stół. Z jednej strony mam rozmaite zachcianki, to oczywiste. A Bóg zwrócił się do mojego innego „ja”,

które jeszcze nie istnieje i które rodząc się sprawia, że płaczę, spływam potem, krwawię. Ale oto, czy chcę tego, czy nie, od kiedy Bóg przemówił do mnie, zrozumiałem, że powinienem zostać kapłanem, ponieważ innego rozwiązania nie ma. Nie mogłem powiedzieć „tak” jedynie połowicznie. Niech ojciec się nie śmieje. Nie do śmiechu ojcu i słusznie. Nie to powinienem był powiedzieć. Ale jakże ojciec mógłby mnie pojąć? Musiałbym zacząć od samego początku. Zresztą ojciec nie słucha, co mówię.

— Ależ tak, Jerzy, słucham. Mów dalej. Powiedz wszystko, co możesz.

— Od czego zacząć? Zaczęło się od śmierci mojego dziadka.

— Kochałeś go bardzo?

— Ani trochę. To właśnie jest najdziwniejsze. Kiedy byłem mały, dziadek budził we mnie nieprzewyciężony lęk. Nie pamiętam głupstwa, które musiałem popełnić, pamiętam jedynie, że potrząsając laską powiedział: „Smarkaczu, połamię ci ręce i nogi!” Wydaje mi się, że potem dosyć mu się podobałem. Dawał mi do zabawy ołowiane żołnierzyki, chodził ze mną do muzeum wojska. Zaznajomił mnie szczegółowo z mundurami Cesarstwa. Dawał mi piękne książki i potrafię odróżnić szablę szasera od szabli huzara. Pragnął nawet pozyskać moją sympatię. Uważano go za bardzo dobrego człowieka, ale dla mnie pozostał zawsze tym, który „miał połamać mi ręce i nogi”, to znaczy zrobić ze mnie kalekę, niezdolnego do życia, jakie prowadzą inni. I udało mu się, poprzez swoją śmierć. Zresztą, tak też jest dobrze.

— Wyjaśnij.

— Bóg nieznużenie wzywa nas, rozmieszcza na naszej drodze znaki swojej obecności. My nic z te-

go nie rozumiemy, niczego nie widzimy aż do chwili, kiedy On postanowi zerwać opaskę z naszych oczu. Dziecko w sposób naturalny wierzy w to, co słyszy, dopóki przy jakiejś okazji nie spostrzeże, iż każe mu się żyć wśród kłamstwa. Widzi, że się je oszukuje, lekceważy, i wtedy przestaje być dzieckiem. A wszystkie te kobiety kłamały, kłamały potwornie.

— O kim mówisz?

— Ależ o babce, o matce, o siostrach, które opłakiwały dziadka. W końcu śmierć weszła do tego domu, tak czy nie?

— Wszystko zaczęło się więc od śmierci twojego dziadka?

— Wszystko zaczęło się w chwili, kiedy powinno było się zacząć. Śmierć dziadka nadeszła o właściwej godzinie. Nadeszła wtedy, kiedy mogła stać się słowem, które ja usłyszałbym. Wszystko, co zdarzyło się, jest słowem. Ale my zatykamy uszy. Ponad rok temu, podczas wakacji wielkanocnych, powiedziane mi zostało to samo słowo, ale ja nie chciałem słyszeć. A przecież coś oznaczało. Czy pamięta ojciec Piotra Le Du, Jakuba Brazidec, Henryka Tournier? Byliśmy nierozłączni. Zaprosiła nas do siebie rodzina Piotra Le Du. Piotr miał pirata i w czwórkę mieliśmy zeglować na wysokości półwyspu de Rhuys. Chcieliśmy zawijać do małych portów i spać w łodzi. Pomijam zalecenia rodziny na temat mojego zachowania się u tych ludzi nazbyt bogatych, „nuworyszów”, ale nuworyszów, którym zazdroszczono potajemnie ich samochodów i służby. Oglupiono mnie zalecaniem ostrożności, sygnalizowano mi niebezpieczeństwa morza: rafy, burze, konieczność odmawiania różańca, noszenia kamizelki ratunkowej. Ach, zapomniałem o drodze: trzymać się prawej strony, nie zjeżdżać na pobocze.

przy wyprzedzaniu, nie przekraczać sześćdziesiątki... Rozumiem chłopców, którzy raz na zawsze zwijają żagle! „Jerzy, na słońcu zasłaniaj głowę. Jedz cukier, jeśli poczujesz zmęczenie, to doda ci sił. Czy masz gruby sweter, czy masz sztormiak? Wstąp do Świętej Anny pomodlić się.” Wyjeżdżając z Kerdouarec'h wiedziałem, że barometr gwałtownie spada. Jedynie to było ważne. Kiedy mi-  
nałem Hennebont, niebo zaciągnęło się; było po-  
nure, szare, wrogie. Mewy muskały prawie ziemię. Wyciągałem na moim motorze osiemdziesiątkę. Wiatr targał drzewami. Fale deszczu zaczęły siec, kiedy przejeżdżałem przez Vannes. Z najwyższym trudem dotarłem do Saint-Gildas-de-Rhuys. Wiatr stał się tak gwałtowny, że musiałem zejść z mo-  
toru i pchać go. Żałowałem, że wyjechałem z Ker-  
douarec'h. U Le Du zastałem służbę ogarniętą pa-  
niką. Rodzice Piotra w Paryżu, a moi trzej koledzy podnieśli o świcie kotwicę pirata. Wstawiłem mo-  
tor do garażu i pobiegłem na nabrzeże. Z trudem można było ustać, fale deszczu siekły twarz. Do-  
strzegałem na pełnym morzu sylwetkę pirata wy-  
wróconego kilem do góry i w odległości kilku kabli żółty żagiel, który unosił się na wodzie, to się zanurzał, to ukazywał na powierzchni. Nie chciałem pojąć, co ten fakt oznacza. Podbiegłem do grupy rybaków, którzy skrywali przede mną coś straszliwego, coś gorszego niż to, co wydawało mi się, że odkrywam... Henryk i Jakub zostali wy-  
łowieni. Doktor Madec i młody ratownik stosowali im sztuczne oddychanie metodą usta usta. Po raz pierwszy byłem tego świadkiem. Ludzie mówili: „Wyciągną się z tego... szczęście, żeśmy ich zobaczyli... Co za pomysł wypływać w taką burzę! Ta młodzież jest zupełnie szalona!” Krzyczałem: „Piotr, gdzie jest Piotr?” Marynarze, którzy wyłowili Jakuba i Henryka, mówili: „Było ich tylko

dwóch. Widzieliśmy, jak skakali do wody. Nie zdjęli nawet butów... Zanim dopłynęliśmy, znaleźli się już pod wodą... Niełatwo było ich wyłowić". Byłem pewny, że Piotr był razem z nimi. Przecież pirat do niego należał. Błagałem o ratunek dla Piotra. Ratownicy zirytowali się. Twierdzili, że na pokładzie było tylko dwóch chłopców i że gdyby był trzeci, widzieliby go. W końcu Henryk Tournier jęknął. Odzyskiwał przytomność. „Piotr, Piotr — pytał — gdzie jest Piotr? Przywiązał się do masztu, żeby nie wpaść do morza...”

Deszcz wzmógł się, ale ludzie wypłynęli raz jeszcze. Widzieliśmy ich w krótkich chwilach, kiedy łódź zastygała nieruchomo na grzbiecie fali, potem ginęli w czterometrowej otchłani. Nurkowali, znaleźli Piotra. Rzeczywiście przywiązał się do masztu i służył łodzi za kotwicę... To ojciec przecież poszedł na dworzec zawiadomić rodziców. Przez trzy godziny próbowano przywrócić Piotrowi życie. Układano go na brzuchu, żeby zwymiotował wodę morską. Cęgami przytrzymywano mu język podczas sztucznego oddychania, stosowano metodę usta usta. Wokół nas zebrał się tłum. Przypadkiem znalazł się tam kolega mojego ojca i siłą zabrał mnie do Kerdouarec'h. Omdlewałem jak dziewczyna. W samochodzie szczękałem zębami, trawiła mnie gorączka, zaczynało się zapalenie opłucnej. Nie widziałem Piotra martwego, a w każdym razie nie mogłem uwierzyć, że jest martwy, kiedy leżał na dnie łodzi. Myślałem, że przywróca go do życia jak Jakuba i Henryka. Nie widziałem w nim bezwładnych zwłok, zwłok definitywnych, takich jak zwłoki mojego dziadka. Były to zwłoki nasiąknięte wodą, zwłoki, którymi manipulowano, które wymiotowały, których ramionami i nogami poruszano, które przewracano na plecy, potem na brzuch. Jednym słowem zwłoki, których ciągle

jeszcze nie uważano za zwłoki. Potem to, co czułem, odnosiło się jedynie do pustki, jaką pozostawił po sobie Piotr. Opuścił nas. Na zawsze. Mieliśmy jakby puste miejsce w sercu. A braku dziadka nikt nie odczuł. Im bardziej oddawano mu honory, im bardziej go opłakiwano, tym lepiej rozumiałem, że jego śmierć poza mną nie obchodzi nikogo.

— Przestałem rozumieć.

— Trudno to wyjaśnić. Nie od razu zrozumiałem. Nie znajduję właściwych słów, żeby określić siebie w relacji do tego, co odkryłem. Przeżyłem tę śmierć lub raczej to, co oznaczała w świecie kobiet. Kobiety to mrówki, pszczoły, pracowite robotnice, zawsze gotowe naprawiać, przystosowywać, robić zapasy, budować. Bez przerwy naprawiają coś, co nie nadaje się do naprawienia. Wiążą na nowo nici. Cerują. Posługując się tym, co każda ma pod ręką lub w brzuchu. Heloiza osiągała spokój każąc nam przełykać porcje rosbeefu, które zatykały dech w piersi. „Trzeba dolewać oliwy do lampy, Jerzy. Trzeba się trzymać.” Tak, trzymać się!... Do tego właśnie sprowadzał się cały problem. Dziadek wypuścił ster z dłoni i cała załoga musiała ulec przegrupowaniu. Śmierci nie pozostało nic innego jak skulić się jak najbardziej, skryć się w cieniu. W bitwie, jaką stoczono na „ulicy de Grenelle”, śmierć przegrała. Przywrócono życie dziadkowi. A mogłem chyba spodziewać się czegoś więcej po mojej matce. Byłem bardzo z niej dumny. Jest młoda, ładna, inteligentna. Czasem mam do niej o to żal. Wolałbym może, żeby mniej ją zauważano, żeby przechodziła nieodręgiem. Czasem nie wybaczam jej tej rezerwy. W głębi duszy uważam, że nie potrafię ocenić jej sprawiedliwie. Bardzo kochała ojca. Pielęgnowała go z wielkim oddaniem. Ale kiedy umarł,

wszystko sobie ułożyła. Agnieszka urodziła chłopca. Ma oczy o szczególnym, zmiennym błękitcie, który obdarza się tu nazwą „błękitu Kerdouarec'hów”. Żrenice dziadka, kiedy wpadał w gniew, stawały się szare jak glinka i widać w nich było miedziane błyski. No i szuka się już tych lśnień metalicznych w oczach dziecka i wpada się w zachwyty odnajdując to spojrzenie w stylu „połamię ci ręce i nogi”, spojrzenie, którego śmierć nie zdołała osiągnąć. Natomiast Laurence nie za-dała sobie nawet trudu, żeby zająć jakieś stanowisko. Śmierć: pchi! pestka! Nie warto sobie nawet tym zawracać głowy. Panienska ma inne widoki, klapki na oczach, człowiek nie traci czasu na zastanawianie się nad sobą lub nad innymi. Proszę ojca, nie mówmy o Laurence.

— A ty, kim ty się stajesz w tej sytuacji?

— Ja stoję w obliczu rzeczywistości, która ukazuje mi się tym wyrazistsza, że ci, którzy nauczyli mnie patrzeć na świat, odrzucają ją. Być może raz czy drugi myślałem o moim ojcu. Ale nieczęsto dawał mi okazję, żebym mógł oddzielić go od pozostałych. Wie ksiądz, rodzina jest jak monolit. Uwolniłem się jednym szarpnięciem. Nikt nie zauważył, że nie mówimy już tym samym językiem. Głos ojca docierał do mnie z wysp Kerguelena zachrypnięty i jakże konwencjonalny. Głos innych był cudaczny, dziecienniawy. Znane z dzieciństwa opowieści kryły w sobie prawdę, którą można było dostrzec, choć tylko w miniaturze, Przy „ulicy de Grenelle” zmuszano mnie, bym żył wyłącznie fikcją. Kazano mi ssać miodowe pastylki, a ja miałem apetyt na mięso. Wszystkie te kobiety cerowały tkaninę, lecz pozostawiły dziurę, przez którą prześliznąłem się razem z dziadkiem.

Ciągle mówiono o ostatnim spojrzeniu zmarłego!... Przed ostatecznym pogrążeniem wpatrywał

się w ścianę, w gablotkę z odznaczeniami! Brakowało tylko, żeby opisano to na obrazku pośmiertnym! Ale ja pochwyliłem jego ostatnie spojrzenie, widziałem te oczy wykrzykujące przerażenie. Nie zmyśliłem tego! A złożenie do trumny! Asystowałem przy tym razem z matką. Łkała z twarzą w dłoniach. Ale mnie nie umknął ani jeden szczegół. Widziałem, jak facet z zakładu pogrzebowego położył chusteczkę na twarzy dziadka. Z szacunku, z przyzwoitości. Chodzi o to, żeby nie widać było, jak się porusza. Bo umarli ruszają się, kiedy się ich przenosi. Chusteczka spadła na ziemię. To ja położyłem ją na miejsce. Ale zobaczyłem jednak głowę opadającą do tyłu, zobaczyłem zielonkawą i cuchnącą pianę, która wydobywała się z warg i nozdrzy... Myśli ojciec, że w tym momencie nie wiedziałem, co to znaczy trup, która rozpływa się na wszystkie strony? Faceci z zakładu pogrzebowego zaścielali już łóżko gestami prestidigitatorów. A w trumnie, zanim moja matka zdążyła coś zauważyć, rozpostarli na zwłokach całun z białej satyny. I ona nazywa to asystowaniem przy złożeniu do trumny! O nie! Niech już nikt nie opowiada o odznaczeniach, o szpadzie, o dolmanie na trumnie, w której było to, co ja widziałem! Ani o godności!... Matka miała w nadmiarze godności podczas całego obrządku pogrzebowego. Ale w jaki sposób tak dobrze potrafiła się wyizolować i przyjmować to jedynie, co dla niej dogodne!

— Podczas gdy ty, Jerzy?

— Ja? Ja zanurzyłem się w to po uszy. Nie mam zamiaru uprawiać czarnego humoru. Z tej wstrętnej alchemii, której przebieg śledziłem, wydobyło się najpierw małe światełko. A potem, chociaż nie wiedziałem jeszcze w jaki sposób, było to światło piorunujące. Źle się wyraziłem mówiąc,



że byłem oslepiiony. To jest prawda, ale nie zawsze. Posiadłem raczej nowe zrozumienie rzeczy. Spędzam czas ustalając zależności w odniesieniu do odkrytych przeze mnie nowych wymiarów śmierci. Ludzie, z którymi żyję, przez swój sposób bycia, nie chcą akceptować śmierci w jej totalnej rzeczywistości. Ja zająłem stanowisko. I wszystko, co odkrywałem następnie, prowadzi do śmierci. Stałem się stary. Żywa istota osiąga starość, kiedy nie liczy już wieku począwszy od momentu przyjścia na świat, ale lata, które pozostały jej z życia. I codziennie widzę, jak skraca się ten szmat drogi, która prowadzi mnie do końca. Powie ojciec, że to los wspólny nam wszystkim. Mnie natomiast zadziwia, że patrząc na życie innych, ja jeden mam tego świadomość. Czuje, że znajduję się na wyspie, którą wkrótce pokryje woda otaczająca mnie ze wszystkich stron. Czy to katastrofa? Czy ocalenie?... Mam możliwość wyboru. Jeśli mam brać poważnie nauki płynące z Ewangelii, śmierć jest złudą. „Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. A każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki.”

Nauczyłem się tego i powtarzałem dwadzieścia razy, a potem wiedziałem już, że to prawda, że są to słowa miłości i chciałem odpowiedzieć na nie również słowami miłości. To mój sposób powiedzenia śmierci „nie”, a „tak” prawdzie. Odwracam się plecami do śmierci. W gruncie rzeczy zbyt się jej obawiałem. Przeraza mnie świadomość ciała odpadającego od kości, włosów, które pozostają przyklepione do czaszki. Oto obrazy, które przychodzą mi na myśl, kiedy rozmyślam o dziadku. Miesiącami całymi śniłem o tym co noc. Nie chciałem uciekać od tych straszliwych wizji. Uważałem, że powinienem wyczerpać je do

samego dna. Ale wszyscy są dla mnie jedynie istotami przeznaczonymi na zniweczenie. Kiedy patrzę na Laurence, tak piękną z jej jasnymi oczami, z brzoskwińową cerą i na matkę, która w nagłym błysku wypatruje już spustoszeń przyniesionych przez starość, widzę, czym będą za lat dwadzieścia. Okrucieństwo tego faktu wywołuje dreszcz. A moja babka z węzłami żył na wychudłych nadgarstkach, ze zwiotczalymi powiekami!... Nosi gorset i biustonosz, których modele reklamowane są w magazynach przez młode kobiety o cudownych ciałach. Zajmuje się regulowaniem spraw spadkowych po dziadku. Snuje plany, troszczy się o przyszłość. Jest to równie nieuczciwe jak podpisywanie czeków bez pokrycia. Zastanawia się, czy zatrzymać mieszkanie przy ulicy de Grenelle. Czy nie byłoby dla niej lepiej przeprowadzić się. Jestem tym przerażony. Nie mam już siły. Ocenia wartość mebli. Im starsze, tym drożej można sprzedać. Ja liczę generacje trupów, które przed nią miały te meble. O, proszę ojca, Laurence wzywa nas na herbatę. Krzyczy bardzo głośno, żeby nie wyglądało, że chce nas zaskoczyć. Powierzają jej poselstwo, wyobrażają sobie, że ojciec przemówił mi do rozumu. Nic ojciec nie powiedział, a ja nawet jeszcze nie zacząłem.

— Zachowaj miarę, chłopie. Niemało przeszkód już obaliłeś.

Laurence biegła w ich stronę. Vega skoczyła do wody, żeby popędzić na jej spotkanie. Ojciec du Regard założył marynarkę, poprawił kołnierzyk. Jerzy jednym skokiem znalazł się na brzegu i przytrzymał łódź, żeby pomóc księdzu wysiąść.

— No, wreszcie was znalazłam — powiedziała.  
— Herbata już dawno podana i zastanawialiśmy się, co mogło się wam przydarzyć.

Pani de Kerdouarec'h i jej córka łuskały fasolę siedząc na tarasie. Heloiza przyniosła im cały koszyk. Matka Jerzego precyzyjnymi i szybkimi ruchami naciskała kciukiem na pokryte czarnymi żyłkami żółte strąki, które od razu otwierały się, a potem zsuwała bladozielone ziarna do brunatnej fajansowej miski stojącej na jej kolanach. Pani Santenac miała na sobie płócienną, białą, bardzo prostą sukienkę, która ukazywała jej szyję, długą, szczupłą, o uroczej linii. Szybkim ruchem odgarniała od czasu do czasu kosmyk rudych włosów, spadających jej na czoło. Patrzyła na matkę ubraną w surową czerń, matkę, która z dobrą wolą równą niezręczności czyniła wysiłki, żeby być użyteczna.

— Zostaw to, mamó — powiedziała. — Widzisz, że mnie idzie to bardzo szybko, a ty...

— Nie bój się słów, Anno. Powiedz od razu, że do niczego się nie nadaję.

— Wcale nie. Po prostu nie masz wprawy.

— Nie jestem w stanie wykonywać tej pracy?

— Błagam, mamó, nie dramatyzuj!

— O, a teraz dramatyzuję! I chodzi tu o zwykłą fasolę! Dramat polega na czym innym, moja droga, a ty niczego nie chcesz widzieć.

— Znowu zaczynasz?

— Ależ tak. Prowadzisz strusią politykę. Powtarzam ci, że ojciec du Regard na pewno nic nie wskórał.

— Jest tu zaledwie dwa dni. Zresztą to ty go sprowadziłaś.

— Myślałam, że będzie umiał naprowadzić Jerzego z powrotem na prostą drogę. Widuje się wprowadzie z chłopcem. Schlebia mu. Ale ja ci

powiem, czego potrzeba twojemu synowi: porządnego kopniaka w tyłek.

— Przyznaję, Jerzy jest zaabsorbowany, zatroskany. Ale wyrósł już z wieku, kiedy cokolwiek można załatwić kopniakiem w tyłek, jak ty to mówisz. Zdał matematykę. Nie przyjmuje zaproszeń od sąsiadów, ale to zupełnie normalne, widocznie takie spotkania go nudzą.

— Widziałaś, jak wygląda?

— Nie za dobrze.

— Skromnie powiedziane! Jest chudy jak kurczak. Z twarzy zostały mu już tylko oczy. Na wszystkie strony sterczą z niego kości. Ma się ochotę spoliczkować go lub płakać, widząc go w takim stanie... Czy słuchasz mnie, Anno?

— Ależ tak, tak, słucham.

— Nieprawda. Nie chcesz widzieć tego, co oczywiste. Twój syn jest albo chory, albo hula, albo zwariował.

— Błagam, mamo.

— Wprowadziliśmy wilka do owczarni. Ojciec du Regard jest po jego stronie.

— Nie rozumiem, co masz na myśli.

— Najbardziej głuchy jest ten, kto nie chce słyszeć. Jerzy, niestety, nie biega za spódniczkami! Nie patrz na mnie w ten sposób, naprawdę powiedziałam: „niestety”. Chłopak, który hula, nie sprawia wesołego wrażenia. Ryzykuje, że wpadnie w sieci. Ale można się bronić. Człowiek walczy wówczas z czymś, co zdarza się na co dzień. Przeciwnik jest realny. Gdyby twój syn był chory, można by go leczyć. Do diaska, od tego są lekarze! I szpitale.

— I kliniki psychiatryczne, jeśli zwariował. Nie ma więc powodów do niepokoju.

— Nie podchodź do tego w ten sposób, Anno. Czy wiesz, czego się lękam?

— Oczywiście. Ale czy byłoby w tym coś złego?

— Więc pogodziłabyś się z tym, że zostanie księdzem?

— Jeśli taka będzie wola Boga!

Pani de Kerdouarec'h wstała gwałtownie rozsypując w piasek fasolę, którą miała na kolanach. Oparła się na lasce, odetchnęła kilka razy, jakby zabrakło jej tchu. Patrzyła ciężkim wzrokiem na córkę.

— Anno, kłamiesz — powiedziała. — Kpisz sobie z woli Boga. Milcz! Wiem, co mówię. Nie masz zresztą pojęcia, co to jest wola Boga. Zależy ci jedynie na tym, żeby nie było zbyt wielkiego zamieszania. To wszystko. Nie ma tu twojego męża. Starasz się więc zyskać jedynie na czasie. To nie sięga daleko, to, co ty nazywasz wolą Bożą. Trzeba uważać na to, co się mówi. Czy ty jej szukasz, tej woli Bożej? Gwiźdźmy na nią wszyscy! Trzeba widzieć rzeczy takimi, jakimi są. Każdy dźwiga swój ciężar obowiązków. Ja też, jak wszyscy. Ale uwaga, bez bluźnierstw!

— Mamo, błagam, nie irytuj się.

— Nie irytować się, nie irytować!... Dobraś sobie! Pozostawiłam rzeczy swojemu biegowi, a potem wybucham. Są słowa, których lepiej unikać. Kiedy ojciec umarł, powiedzieliśmy, że taka jest wola Boża, i w gruncie rzeczy było to zupełnie naturalne. Był stary, musiał kiedyś umrzeć. Ale nie jestem idiotką. Wiem, że jest na tym świecie pewna ilość rzeczy, które Bóg czyni jedynie za zgodą człowieka. Ponieważ nie jestem ani szalona, ani święta, nie mów mi o woli Bożej. Do nas tylko należy kierowanie naszymi sprawami.

— Jak to naszymi sprawami? Jakimi sprawami?

— No tak, sprawami naszej rodziny! Bóg nie

wymaga od nas niczego innego. Już On potrafi znaleźć sobie księży poza naszą rodziną. Dla wielu zostanie księdzem oznacza karierę. Ten zawód daje wiele satysfakcji. Oczywiście ponosi się pewne ryzyko, ale gdzie go nie ma? Każdy musi podjąć swoje. Jedynie ty nie ośmielasz się nic uczynić, nic powiedzieć przed powrotem Mateusza. To twój sposób przejawiania miłości do męża. Nic się nie liczy, nic nie istnieje, robić można to tylko, co spodoba się twojemu mężowi.

— Po co rozmawiać o tych sprawach i do tego w taki sposób? Tworzysz, mamó, dramat, który w rzeczywistości nie istnieje. Każdy z nas ma inną naturę. Lubię patrzeć na sprawy z dystansu, niczego nie przynaglać. I zadaję sobie pytanie, czy rzeczywiście istnieje jakiś problem w związku z Jerzym.

— Nie rozumiem, co by to mogło zmienić — powiedziała Laurence wybuchając głośnym śmiechem.

Babka odwróciła się do niej i wykrzyknęła przenikliwym głosem:

— Byłaś tu i podsłuchiwałaś!

— Od jakiejś chwili. Heloiza poprosiła mnie o fasolę. Ale jak mogłabym przerwać waszą rozmowę? Byłaś, babciu, tak surowa dla mamy i z takim polotem mówiłaś na temat woli Bożej! Jeśli zaś chodzi o wolę Jerzego...

— Wola Jerzego nie liczy się.

— Lepiej tak nie mówić, babciu.

## Rozdział 4

Jerzy, samotny w poczekalni kliniki, zaczynał się niecierpliwić. Jedne drzwi uchylone były na

korytarz i aż tutaj przenikał przez nie jakby oddech jakiegoś uspiętego świata. Oddech bolesny i bezszelestny, który słyszał jedynie dzięki najwyższej uwadze, jaką na nim skupiał. Wstał i ci-chutko, na czubkach palców przesunął się za stre-fę cienia w kierunku błękitnego światła rozpusz-czonego w zapachu eteru. Korytarz prowadził do bloku operacyjnego. Jerzy usłyszał kroki. Pośpie-sznie wrócił na swoje krzesło. Innymi drzwiami weszła do poczekalni zakonnica, a za nią młoda kobieta, która przestraszona rozglądała się wokół jak ptak schwytyany w sidła. Jerzemu zdawało się, że słyszy bicie serca, mocne, chaotyczne uderze-nia. Siostra zakonna posadziła nieznaną na krze-sła i postawiła przy niej wielką, żółtą walizę z wyprawionej, twardej skóry, o zardzewiałych zamkach. Młoda kobieta, w końcowym okresie ciąży, miała na sobie gabardynowy płaszcz koloru morskiej wody. Obiema rękami usiłowała go przy-trzymać na ogromnym brzuchu, bardzo opuszczo-nym, który zdawał się ściągać w siebie całe życie, mięśnie i krew z pozostałej części ciała. Prawdę mówiąc z tej kobiety pozostały już tylko oczy i ten brzuch. Pot perlił się na zsiniałym czole, na skrzydełkach nosa i sklejał na skroniach ciemne kosmyki włosów. Zakonnica powiedziała jej kilka słów na ucho i wyszła. Jerzy poczuł, że uwolnił się od własnej trwogi, by wnikać w trwogę tej młodej kobiety. Chciałby przemówić do niej, uspo-koić ją. Czuł, że jest śmieszny i bezsilny. Za-strzał w prawym kciuku był bardzo bolesny i przez całą noc nie zmrużył oka. Dysproporcja między niewinnością choroby a cierpieniem, ja-kie sprawiała, była absurdalna. Nie wiedział jesz-cze, czy uspią go całkowicie, czy też chirurg po-przestanie na znieczuleniu miejscowym. Starał się panować nad sobą. Do momentu przybycia młodej

kobiety czuł się jak zagubione dziecko, i to z powodu zwykłego obrzęku kciuka, który owinał chusteczką i skrył w zagłębieniu dłoni. Odkąd ropa zebrała się wokół paznokcia otaczając go wielkim, żółtozielonym wałkiem, cierpiał mniej, ale bał się interwencji lekarza. W obliczu fizycznego bólu i przy tym zachwianiu równowagi wewnętrznej spowodowanym kilkoma bezsennymi nocami i pustym żołądkiem okazał się tchórzem. Ojciec du Regard, który przywiózł go do kliniki citroënem Laurence, odprawiał teraz mszę. Zaraz tu przyjedzie, żeby odwieźć Jerzego do Kerdouarec'h, jeśli zabieg wykonany zostanie przy znieczuleniu miejscowym. Chłopak pragnął tego, a zarazem obawiał się. Bał się całkowitej utraty przytomności — tego wyobrażenia śmierci — i czuł się absolutnie niezdolny do znoszenia dalszych cierpień. Myślał jednak o oficerach cesarstwa, którzy kazali czytać sobie Plutarcha, kiedy na żywo dokonywano im amputacji. Czy było w tym coś wielkiego? Coś godnego podziwu? Co jest wielkie i co godne podziwu, gdy chodzi o ocenę postawy, która koniec końców jest dla nas korzystna? Czyż ci oficerowie nie pragnęli po prostu ułatwić chirurgowi pracy, dając przy okazji świadectwo panowania nad sobą, co zwiększało ich prestiż i autorytet? Ale czy człowiek, któremu brak ręki lub nogi, może jeszcze mówić o prestiżu lub autorytecie? Czy cierpienie jest wartością samą w sobie? Czy jest to wróg, którego należy pokonać? A może sojusznik, którego się wykorzystuje? Jerzy rozmyślał o „modlitwie o dobry użytek z chorób”. Ale uważał, że uciekając się do tej modlitwy, profanowałby siły, które poruszały jego duszę.

Poczuł nagle, że jest śmieszny. Te problemy są żałosne, gdyż stawia je sobie w związku z cier-



pieniem pozbawionym wielkości. Chciał znowu zwrócić myśl ku młodej kobiecie, która siedziała wyprostowana na brzeżku krzesła z dłońmi splecionymi na brzuchu.

Zakonnica wróciła po chwili z formularzami opieki społecznej w rękę. Młoda kobieta odpowiadała z oczyma pustymi, obojętna na wszystko. Jerzy usłyszał, że nazywa się Joanna Thomas i ma dwadzieścia trzy lata. Kiedy siostra wzięła wykoślawioną walizkę, ciężarna wstała z trudem. Kilka sekund stała bez ruchu, jakby chciała zapewnić sobie równowagę, zanim wykona pierwszy krok. Spojrzała błędnym wzrokiem dookoła siebie, potem opierając się na ramieniu zakonnicy przeszła obok Jerzego, nie widząc go, i dotarła do drzwi, które prowadziły do bloku operacyjnego i do wind.

Jerzy znalazł się sam, wszystkie zmysły miał teraz wyczulone. Wkrótce usłyszał odgłos przypominający dźwięk wiertła dentystycznego lub, może jeszcze bardziej, piły mechanicznej. Chciał krzyknąć: Opcinają nogę! Opanował się jednak. Zupełnie zidiociałem — pomyślał. — Gdybym nie miał pustego żołądka, moja wyobraźnia nie błąkałaby się po opłotkach. A jeszcze ta diabelna gorączka! Ta ostatnia myśl pocieszyła go, zapewniała jego cierpieniu pewnego rodzaju autentyczność. Znowu pomyślał o młodej kobiecie i poczuł się trochę nieswojo. Potem wzruszył ramionami. To takie naturalne wydawać na świat dziecko! Nie ma się nawet przy tym gorączki. Jeszcze raz ocenił, że ten sposób chwytania byle czego, byleby tylko uciec od prześladowających go myśli, jest groteskowy. Wziął ze stolika jakieś tygodniki; „Paris Match” i „Le Pélérin” podawały mu, w czerni i w kolorach, okruchy życia, którymi nie był w stanie się zainteresować. Ostry ból prze-

sunął się aż do ramienia. Zrobił niezręczny ruch i uraził się w palec. Zaczął jęczeć. Łzy napłynęły mu do oczu.

Tym razem dźwięk, który Jerzy usłyszał, nie wydawał mu się już dźwiękiem piły mechanicznej. Uchylił drzwi, żeby lepiej słyszeć. Korytarz rozbrzmiał światłem i ukazały się nosze na kółkach, które sanitariusz popychał w kierunku windy. Pod szarym kocem rozróżnić można było w pierwszym momencie jedynie dwie stopy, z których jedna, owinięta ogromnym opatrunkiem, robiła wrażenie krótszej. Następnie w polu widzenia Jerzego znalazła się odchylona do tyłu głowa mężczyzny. Cienie, pozbawiając ją wszelkiego indywidualnego wyrazu, sprawiały, że wyglądała jak zastygła w jakimś świętym oszołomieniu, prawie nie do zniesienia. Kiedy Jerzy usłyszał, że zamykają się drzwi windy, poczuł żywe rozczarowanie. Chciałby pójść za tym mężczyzną aż do jego pokoju, być przy jego przebudzeniu. Czy rzeczywiście amputowano mu nogę? Chirurg, w białej bluzie, w czapeczce i trzewikach, skierował się do innych drzwi.

Jerzy pospiesznie wrócił na krzesło. Upłynęła jakaś chwila, potem pielęgniarka z uśmiechem stewardesy na twarzy skinęła, żeby szedł za nią. Znalazł się w małej sali operacyjnej, która — zrozumiał to na pierwszy rzut oka — służyć mogła jedynie do wykonywania najbardziej bagatelnych zabiegów.

Kazano pacjentowi usiąść przy stole operacyjnym. Przyszedł lekarz. Jerzy wolałby pozycję leżącą. Chirurg nie sprawiał wrażenia wielkiego kapłana. Zdjął trzewiki, a czapeczkę zsunął na tył głowy, co nadawało jego delikatnym i regularnym rysom jakąś dobrotliwość. Jerzy dostrzegł w nim pewne podobieństwo do byłego króla Belgów Leo-

polda, którego fotografię widział przed chwilą w jednym z tygodników leżących w poczekalni.

Chirurg, który asystował przy urodzeniu się Jerzego, mówił do niego po imieniu:

— Niestety będę musiał cię uspić, chociaż to takie głupstwo — powiedział. — W takich przypadkach znieczulenie miejscowe nie daje praktycznie żadnego rezultatu. Środek znieczulający rozpuszcza się w ropie. Ale cięcie lancetem to sprawa jednej chwili! Zaledwie się spostrzeżesz. Decyduj sam.

— Nie warto mnie usypiać — odparł Jerzy głosem, który nie był tak stanowczy, jak pragnąłby.

— Doskonale — powiedział chirurg. I zwracając się do asystującej siostry: — Proszę polecić, żeby przygotowano salę do cesarskiego cięcia.

Jerzy znowu zobaczył młodą kobietę o spojrzeniu osaczonego zwierzątka. Miał jedynie bardzo niejasne pojęcie o zabiegu, jakiemu będzie musiała się poddać. Ale wkrótce w jego duszy powstały konkretne obrazy: otwarte wnętrze brzucha, rozlana wszędzie krew i kruche życie, które wyłoni się zaraz z tego obrazu zniszczenia.

— No, Jerzy, startujemy? — zapytał lekarz.

Piorunujący ból podpełzł aż do ramienia, przeniknął serce, głowę, sprawił, że chłopak ścisnął kolana. Poczul, że zaraz zwymiotuje.

— No jak tam?... Widzisz, już po wszystkim. Nielicho musiało cię to boleć, zanim zebrała się cała ropa. Siostro, proszę pomóc mu się położyć. Chyba nie masz zamiaru zemdleć teraz, kiedy już po wszystkim? Proszę podać mu kawy. Za pięć minut poczujesz się dobrze.

Rozpacz, w której utonął Jerzy, odpływała jak woda z wanny. Przy pomocy siostry położył się na stole operacyjnym. Przedmioty wokół niego prze-

stały wirować, ale było mu zimno i szczeptał zębami. I ciągle te mdłości, których nie potrafił opanować. Zapach gorącej kawy mieszał się z wyziewami, które wypełniały pomieszczenie. Jerzego ogarniało stopniowo dziwne zmęczenie, którego słodyczą był zaskoczony. Wydawało mu się, że zaraz zaśnie. Dobiegały ledwo słyszalne głosy, którym towarzyszył szczepek stalowych instrumentów, które pielęgniarka układała w sterylizatorze.

— No, no, odrobinę odwagi! — usłyszał szorstki kontrakt zakonnicy. — Nie pora na tracenie przytomności.

Podtrzymała mu kark, podając kawę. Ciepło napoju przenikało ciało Jerzego podobnie jak przed chwilą ból, ale uczucie powracało obfitymi, przyjemnymi falami. Otworzył oczy i zobaczył naprzeciwko, na pomalowanej bladoniebieską olejną farbą ścianie odpustowy krucyfiks z imitacji masy perłowej i imitacji brązu, nędzny i pretensjonalny. Usiadł gwałtownie.

— W porządku — powiedział. — Dziękuję, siostrze.

Był zrozpaczony. Wszystko wydało mu się paradą tandety. Poczuł wstyd. Ogromny, nieproporcjonalnie wielki opatrunek, ramię na temblaku, to wszystko bynajmniej nie dodawało mu odwagi. Ale ból, zupełnie realny, od czasu do czasu rwący, omal nie wyrwał mu z ust jęku.

Przymknął oczy i wyciągnął się czekając w tej pozycji na przyście ojca du Regard.

— Nie bolało za bardzo?

— Nie. Ale chciałbym już wrócić.

Ojciec prowadził samochód z widoczną radością. Nierówności szosy, hamowanie, rzadkie słowa kierowcy, wszystko to docierało do Jerzego z trudnością poprzez ogromny, śnieżnobiały opatrunek, który okrywał niby kaptur jego rękę.

## Rozdział 5

Herbatę podano pod wielką lipą rosnącą przed Kerdouarec'h. Skwar tego późnego popołudnia był prawie nie do zniesienia. Najmniejszy powiew nie poruszał liśćmi. Vega spała pod wózkiem małego Arnolda, wielki różowy ozór wywaliła z pyska. Pani de Kerdouarec'h wachlowała się numerem „Le Figaro”, a jej stara twarz spływając potem traciła szlachetność. Agnieszka drzemała w zakątku trawnika. Jej jaskrawoczerwona sukienka okrywała ją jak ogromny pęk maku, który spadł z nieba. Laurence zapytała ojca du Regard:

— Mleka czy cytryny?

— Dziękuję, poproszę o cytrynę i bez cukru.

— A ty, babciu?

— Poproszę bardzo mocną herbatę — wykrzyknęła generałowa głosem nazbyt ostrym. — Ponieważ tak czy owak nie mogę w nocy zmrudzić oka, nie wiem, czemu miałabym rezygnować z tego, co lubią. Chyba ojciec się ze mną zgodzi?

— Pyta mnie pani o zdanie, ale w związku z czym? Przepraszam panią najmocniej, ale nie wiem w związku z czym?

— Oczywiście mówię o herbacie, ale myślę o Jerzym.

— Nie widzę żadnego związku — powiedziała Laurence.

— Ojciec rozumie doskonale. Chciałabym, żeby powiedział nam, czy słusznie niepokoiimy się twoim bratem.

— Zupełnie niepotrzebnie, proszę pani. Teraz, kiedy zastrzał został przecięty, prawie nie cierpi. Tej nocy będzie już dobrze spał. To sprawa kilku dni.

— Proszę cię, mamó, nie zwracaj ojcu du Regard głowy — powiedziała Anna.

— Nie zwracam mu głowy. Chcę jedynie postawić kropkę nad i. Akurat chodzi o tę kukiełkę, którą Jerzy ma na palcu! Jesteśmy dobrymi chrześcijanami i uważamy, że syn ksiądz, to wielki honor dla rodziny, ale na taki luksus można sobie pozwolić jedynie mając licznych synów. W naszym przypadku tak nie jest, wiesz o tym. Jerzy jest dzieckiem posłusznym, zrobi to, co mu się każe. Mój mąż już by go przywołał do porządku. Zięć jest na antypodach i nie można o niczym mu pisać, gdyż w gruncie rzeczy nie ma o czym. Wszystko zdecyduje się tutaj. Córka pozostawiłaby chętnie sprawy swojemu biegowi. Chce przede wszystkim zyskać na czasie, mydlić oczy. Proszę jedynie ojca, żeby nie przechodził ojciec na stronę wroga. Powiedziałam, co miałam do powiedzenia. Pójdę teraz załatwić korespondencję.

Starsza dama podniosła się, zabrała gazety i ciężkim krokiem poszła w kierunku domu.

— Widzi ojciec co to za rodzina! — powiedziała Laurence. — To usprawiedliwia podwójne życie. Biedny Jerzy! Ja potrafię się bronić. No więc, mamó, to już postanowione? Babka zamieszka tutaj?

— Nie widzę innego wyjścia.

— Żal mi cię. Będziesz musiała się jej podporządkowywać.

— Nie komplikuj wszystkiego, Laurence. Mamy dosyć innych trosk.

— Ależ tak, biedna mamó, twoje dzieci przysparzają ci siwych włosów. Chciałabyś, żeby dla ciebie miały zawsze pięć lub sześć lat. To wiek idealny, można wtedy wszystko z nimi zrobić. Jest się wówczas dla nich całym światem. Należałoby może zbadać, czy obecnie godzą się tak łatwo na

ten idealny wiek. Nie powinnaś się dziwić, że oboje z Jerzym rozpychamy się czasem łokciami, właśnie nie chcemy mieć pięciu czy sześciu lat. Staramy się więc wyswobodzić, ale idziemy w różnych kierunkach. Agnieszko, twój syn się budzi, pora karmienia. Ja lecę do Pouldu wykąpać się. Mamy przyływ, kąpiel przy takim upale jest rzeczą cudowną.

Ojciec pykał fajkę. Anna Santenac zbierała filiżanki na tacę. Nagle usiadła z twarzą wyrażającą przygnębienie.

— Przecież, proszę ojca, chyba ojciec zgodzi się, że to normalne, jeśli matka chce widzieć swoje dzieci takimi, jakimi były kiedyś. Że lubi mieć je pod swoimi skrzydłami?

— Tak, jeśli są w wieku, kiedy powinny chronić się pod skrzydła matki.

— Wie ojciec, że nie przeciwstawiabym się powołaniu mojego syna. Jestem inna niż moja matka.

— Jerzy mówił pani o swoim powołaniu?

— Nic mi o tym nie mówił. Ale ta myśl przesładuje mnie. Od kilku miesięcy jest kimś zupełnie innym. Nie bardzo wiem, od jakiego momentu. Chyba od zimy. Wszystko, co mówiliśmy, brał na opak. Wygłaszał nieprawdopodobne opinie na temat wojny, bomby atomowej, odmawiania służby wojskowej, na temat tego wszystkiego, co nazywał komfortem mieszczańskiego życia. Chwilami robił wrażenie bardzo rozegzaltowanego, a potem zamykał się nagle we wrogim milczeniu. Po egzaminach flirtował z pewną dziewczyną z sąsiedztwa. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak daleko posunął się ten flirt. Ta dziewczyna to jego przyjaciółka z dzieciństwa. Mamy inne ambicje co do Jerzego, ale nie sposób ustalić przyszłości osiemnastoletniego chłopca. W gruncie

rzeczy małżeństwo z tą dziewczyną byłoby bardzo odpowiednie, chociaż nie byłyby to najwspanialsza partia. I nagle z dnia na dzień wszystko się skończyło. Czasem brałam pod uwagę możliwość, że mój syn może mieć powołanie kapłańskie. Kiedy ta myśl stawała się obsesją, narzucałam sobie linię postępowania, której dzisiaj nie potrafiłabym utrzymać.

Ojciec napchał od nową fajkę, spojrzenie miał utkwione daleko. Anna Santenac irytowała się. Chciałaby, żeby ojciec coś powiedział, żeby uważniej słuchał tego, co mówi, żeby podsuwał jej słowa. Zdawało się, że nie ma on najmniejszej chęci dowiedzieć się czegokolwiek. Brutalnie rzuciła wszystkie karty na stół.

— To, co mówię, nie obchodzi ojca?

— Jakżeby nie, proszę pani? Wprost przeciwnie! Co mianowicie wydaje się pani dzisiaj już nie do przyjęcia?

— Laurence miała rację, kiedy mówiła przed chwilą, że chciałabym mieć zawsze dzieci pięcioletnie czy sześciolatnie, bo mogłabym sama dawać im wszystko.

— Chciałaby pani, żeby więź zależności nie zmieniała się?

— To więź miłości, bardzo ścisła.

— Czy nie zamyka czasem pani miłości w szczególnych dosyć wymiarach?

— Oddaliśmy się od sprawy Jerzego.

— Przeciwnie, zbliżamy się do samego sedna jego problemu.

— Mogłabym więc stanowić dla Jerzego problem?

— To oczywiste.

— Ależ ja nic nie mówię, niczego nie narzucam! Czekam jedynie!

— Czekaj pani na to, co mogłoby panią uspo-



koić. Zbiera pani troskliwie, niby bezcenny płyn, wszelkie znamiona niedojrzałości, jakie ujawnia Jerzy. Chwyta się ich pani ze wszystkich sił.

— Nie oszczędza mnie ojciec.

— Proszę mi wybaczyć. Ale czego właściwie pani oczekuje?

— Żeby ojciec pomógł Jerzemu.

— Musi sam przejść swoją drogę. Nikt nie może za niego podjąć decyzji. Czemu linia postępowania, jaką narzucała pani sobie niegdyś, dzisiaj już pani nie zadowala?

— Gdyby Jerzy miał powołanie, nie mogłabym się z tym pogodzić nie mając dowodu, że chodzi o dobre powołanie, wyraźne, solidne, zakorzenione, zdolne oprzeć się wszystkiemu. Obiecywałam więc sobie, że kiedy dostrzegę tego oznaki, wyślę go w podróż, ułatwię mu kilka przygód.

— Jakich przygód?

— Ojciec wie dobrze, co mam na myśli. Niech pozna kobiety. Wyszedłby z tych doświadczeń wzmocniony. Ale wiem dobrze, że celibat nie jest jedynym problemem księdza. Pozostaje jeszcze posłuszeństwo, próba życia niełatwego pod względem materialnym. Ksiądz musi wyrzec się wszystkich ambicji ludzkich. Jerzy poświęca się, chciałabym, żeby miał pełną świadomość tego, co robi.

— A co myśli o tym wszystkim kapitan?

— Jest taki sam jak wszyscy mężczyźni. Lubi klasyfikować problemy. Powiedział, że powinnam stawiać czoło rzeczywistości, a nie zajmować się stawianiem hipotez. No więc, odkąd Jerzy stał się taki dziwny...

— Jak to, dziwny?

— Przechodzi okres milczenia. Używa wszelkich wybiegów, aby się wykręcić od zaproszeń. Unika kuzynów, przyjaciół. Nie gra z nimi w teni-

sa, nie jeździ konno. Często chodzi na mszę w ciągu tygodnia. To zupełnie naturalne, mógłby ojciec powiedzieć. Dobrze, ale złości się, kiedy mu o tym mówię. To wszystko nie byłoby jeszcze takie poważne, ale kiedy mówię o jego przyszłości, o przygotowaniu się do Saint-Cyr, mam wrażenie, że leję gotującą oliwę na żywe ciało. Odchodzi albo ma taką minę, jakby narzucał sobie opanowanie, i prosi, żeby pozostawiono go w spokoju, żeby dano mu czas. Mówię mu niekiedy, że powinien napisać do swego ojca, odpowiada, że to zrobił. Ale w jego listach niczego nie ma.

— Skąd pani wie?

— No przecież mąż byłby mi o tym napisał! Nie ma między nami tajemnic. Czemu ojciec tak na mnie patrzy? Może przypuszcza ojciec, że Mateusz mógłby przez delikatność zachować dla siebie zwierzenia Jerzego? Nie, Jerzy nie zwierzył się swemu ojcu z niczego. Byłby spokojniejszy. To dziecko mnie przeraża. Wydaje mi się, że jest na skraju przepaści. Dlatego błagam ojca o pomoc.

— Więc to pani potrzebuje pomocy?

— Już sama nie wiem, co mówię. To księzca wina.

— To tylko, co ma pani na sercu. Nie chce już pani zastosować planu, który przygotowała pani „na wypadek powołania”. Czemu?

— Boję się... Tak, boję się stawać na drodze powołaniu mojego syna, gdyż w gruncie rzeczy o to chodzi. Nie chcę, żeby Jerzy został księdzem. Jeśli to właśnie chciał ojciec ode mnie usłyszeć, no to usłyszał ojciec! Nie śmiem stawić czoła Bogu, prowokować Go, by zrobił z moim synem, co zechce. Jesteśmy zawsze po złej stronie barykady, więc nie możemy z Nim walczyć. Bóg zawsze zwycięża. Boję się zaatakować coś świętego. Jak-

bym mąciła ruch wody, którą anioł wzburzył w Sadzawce Owczej. Jeśli więc nawet Bóg nie wzywał Jerzego, uszanować chcę ślad przejścia anioła. Nie wiem, jak mogłam o tym wszystkim ojcu powiedzieć — zostało to prawie ze mnie wymuszone — a jednak chciałam powiedzieć coś innego.

— Czy nie opuściła pani czegoś ważnego?

— Nie sędzę.

— Nie pomyślała pani o tym, że powołanie należy nie tylko szanować, ale że należy mu sprzyjać?

— Na pewno, nie. Ale niech ojciec nie żąda ode mnie za wiele, proszę ojca.

## Rozdział 6

Jerzy lubił bardzo swój pokój w Kerdouarec'h. Matka wielokrotnie chciała go przemeblować, uczynić wygodniejszym, mniej surowym. Kapitan Santenac odradził jej.

— Pozostaw Jerzemu jego królestwo — powiedział. — To dla niego bardzo ważne mieć swój zakątek, do którego my nie mielibyśmy wstępu.

— Jeśli nie zrobię tam porządku, pokój wkrótce zamieni się w norę.

— Zaryzykuj.

Ryzyko nie było wielkie. Jerzy był bardzo przywiązany do tej obszernej mansardy, którą sam wybrał sobie na drugim piętrze, i nie tolerował w niej najmniejszego nieporządku. Grube, brunatne belki wychodziły z pobielonych wapnem ścian. Z okien widział zakole Laity. Na półkach ułożył ulubione książki, czasopisma, muszle, kamyki opa-

trzone etykietkami z datą i miejscem znalezienia. Pineskami przymocował do ścian kilka starych map morskich. W rogu stała wąska kanapa przykryta afrykańską tkaniną. Biurko w stylu Ludwika Filipa i dwa wolteriańskie fotele uzupełniały umeblowanie. Rzeczą uderzającą w tej całości — dosyć podobnej do tego, co znaleźć można w jakimkolwiek pokoju jakiegokolwiek chłopaka mieszkającego na wsi — była ogromna skóra tygrysa rozciągnięta na podłodze przed łóżkiem niby dywanik. Skóra bardzo zniszczona, miejscami wyliniała i pozostały nagie, żółte, popękane wyssepki. Wiejski rzemieślnik, który preparował skórę, przyozdobił ją wielkimi oczami ze szkła, groźnymi jak oczy chińskich smoków, i wielkim pyskiem z wygarbowanej skóry. Z białych szczęk zwisał język z czerwonego sukna. Kiedy księżyc oświetlał pokój, w zębach drapieżnika odbijało się światło i przywoływały one znowu dziecięce lęki Jerzego. Były symbolem splątanej dżungli, walk w Wietnamie, rytualnych zbrodni, zamordowania przez Zulusów cesarskiego księcia. Ta stara skóra tygrysa była okrutną Afryką, tajemniczą Azją. Stawała się to twarzą Ugolina pożerającego własne dzieci, to twarzą Orfeusza szukającego Eurydyki. Otwierała wyłom w królestwie trwogi i strachu. W obecnej rzeczywistości Jerzego była stałym walorem wiążącym go z własnym dzieciństwem, walorem, którego nie chciał odrzucać. Jego matka nie rozumiała zbyt dobrze, dlaczego nie otworzył żadnej z wniesionych do jego pokoju skrzyń, zawierających broń i książki zapisane mu przez dziadka, a przecież powinny to być rzeczy cenniejsze dla niego niż „podobne obrzydlistwo”.

Tego ranka Jerzy spał jeszcze tak głęboko, że ojciec du Regard obudził go dopiero wchodząc do pokoju.

— Jak się czujesz?

Chłopak usiadł na łóżku i trąc oczy zdrową ręką uśmiechnął się do księdza wskazując niski stolik, na którym ojciec du Regard postawił tacę ze śniadaniem. Ksiądz otworzył na oścież dotychczas uchylone tylko okna, pchnął okiennice. Fala słońca zalała pokój.

— Która to godzina? — zapytał Jerzy.

— Pokonałeś, chłopcze, całą tarczę zegara.

— Nie? Prawdę mówiąc zasnąłem dopiero o świcie. Porządnie mnie bolało, wziąłem jeszcze jedną tabletkę, ale śniły mi się przerażające koszmary. Nie odebrały mi jednak apetytu. Proszę mi pomóc, proszę ojca, nie mogę poradzić sobie jedną ręką.

Zakonnik nalał kawy, mleka i posmarował masłem grzanki.

— Ile kostek cukru?

— Co najmniej trzy.

— To tak lubisz cukier! Nie ruszaj się, mój stary. Stawiam tacę na łóżku. Czekaaj, zabiorę dzbanek z kawą i cały sprzęt. Pozwolisz, że ja też się obsłużę... Świetna kawa! Nie to, co ta obrzydliwa lura, którą pijemy w szkole. Wasze Kerdouarec'h jest naprawdę cudowne.

— Są dnie, kiedy myślę tak samo.

— Poszedłem odprawić mszę w Haut-Ville. Nie widziałem tego kościoła, odkąd zdjęto boazerie w stylu Napoleona III i wszystkie ornamenty z tej epoki, fałszywego Murillo i całą resztę... Trochę pusto. Ale umieszczono z powrotem na należnym im miejscu stare figury o wyrazistych twarzach. Wszystko musi powrócić do dawnego stanu, pokryć się osadem modlitw, odzyskać całą patynę. Posmarować ci masłem jeszcze jedną grzankę? Nie ma o czym mówić, musisz trochę przytyć. No, opowiedz z grubsza, co działałeś.

— Ta bezsenna lub prawie bezsenna noc nie była stracona. Dosyć wyraźnie zobaczyłem główne zarysy tego, co mnie absorbuje. Miałem dwa sny, które zaraz opowiem. Ciekawe, nie mam wrażenia, że już się skończyły. Wydaje mi się, że trwały bardzo krótko. Pojawiły się o świcie, tuż przed przebudzeniem. W pierwszym czuję się zagubiony. Waham się, czy przejść pod drzewami bulwaru Raspail. Nie sędzę jednak, żeby był to naprawdę bulwar Raspail, gdyż w niczym nie mogę się połapać. Dwaj śpieszący się przechodnie idą niedaleko ode mnie, każdy w inną stronę. Wciągają mnie przeciwne prądy powietrza, idę to za jednym, to za drugim. Chciałbym wiedzieć, gdzie jestem, ale nie śmiem pytać, bo potem musiałbym dowiedzieć się, kim jestem, a to napawa mnie strachem. Pierwszy ze stojących przede mną problemów wydaje mi się mniej przerażający od drugiego. Gdybym wiedział, kim jestem, miejsce, w którym się znalazłem, byłoby mniej ważne. Jak pijak idę porwany przez tłum. Za każdym razem, kiedy zmieniam kierunek, wiem, że nie jest to kierunek właściwy. Zawracam i dostrzegam bramę klasztoru. Wchodzę, ale jest to wejście do metra. Myślę o tym, że jeśli zadzwoniłbym do ojca, ojciec powiedziałby mi, kim jestem, nadałby mi imię. Wpadam w strumień pasażerów wylewający się na peron. Kontroler przy wejściu, który ma twarz ojca, mówi mi, że jakiś chłopiec zaraz się zabije i że ja muszę mu w tym przeszkodzić. Odczuwam ogromną radość, gdyż wiem w końcu, że mam dokonać pewnego czynu, co większe ma znaczenie niż wiedza o tym, gdzie jestem i kim jestem. Budzi mnie intensywność tej radości. Szukam jakiejś interpretacji tego snu, potem zasypiam znowu.

Drugi sen jest jeszcze ciekawszy. Pograża mnie

w oszałamiającej atmosferze karnawału, bez wątpienia w jednym z miast Ameryki Południowej. Dostrzegam kilka sekwencji z „Czarnego Orfeusza”. Czuję się nagle pomniejszony, biedny, bez pieniędzy. Ciekawe jest to, że przypominam sobie wtedy mój pierwszy sen i że czuję strach, by nie zaczął się od nowa, by oba sny nie nałożyły się na siebie i by ten pierwszy nie pomieszał tego, co mam wkrótce odkryć. Moja rozpacz jest identyczna jak poprzednio na bulwarze Raspail. Najważniejszą rzeczą wydaje mi się znowu nieprzyjazne środowisko, w jakim się pogrążyłem. Tropią mnie jacyś mężczyźni. Chcę uciekać, boję się tego rozchełstanego tłumu, ubranego tandetnie i jaskrawo. Prawdziwa orgia kolorów... Czerwienie, błękity, żółcie krzyczą w słońcu, a towarzyszą im wonie oliwy i brudu. Biegnę wąskimi uliczkami. W oknach suszy się bielizna. Widzę wszystko, co dzieje się na łózkach wewnątrz domów. Przeraza mnie realizm niektórych szczegółów. Słyszę jazz przemieszany chwilami z uduchowionymi akordami negro spirituals. Biegnę przed siebie do utraty tchu. Dobiegam do skrzyżowania ulic, skąd widzę, że całe miasto płonie. Nie wiem, jakim cudem znajduję się na dworcu lotniczym, gdzie otaczają mnie typy o mordach handlarzy narkotykami w stylu amerykańskich filmów. W ustach mają olbrzymie cygara. Nie udaje mi się dostosować do nich. Otaczają mnie szczelnie. Ich ramiona stykają się z moimi. Ilu ich jest? Pełno ich przede mną, z tyłu, z lewa, z prawa. Szukam możliwości ucieczki. Wyswobadzają się siły, których ofiarą padnę. W końcu dostrzegam okienko, jak w poprzednim śnie. Wydaje mi się ocaleniem. Uwolni mnie od tych ludzi, których ciepłe ciała, czuję to, przyciskają się do mojego, których oddechy wdycham. Przy okienku selekcja, przechodzi się pojedynczo.

Zostanę teraz rozpoznany. Nagle czuję, że jestem na łasce nie tylko handlarzy narkotykami, ale wszystkich, ponieważ nie jestem w stanie powiedzieć, jak się nazywam. Jeśli facet z okienka wywoła moje nazwisko, dowiem się, kim jestem. W tym momencie drugi sen łączy się z pierwszym. To ojciec, proszę ojca, przepuszcza pasażerów przy okienku. To ojciec żąda okazania paszportów. Rozumiem nagle, że nic nie może ojciec dla mnie zrobić. Decyzja należy do mnie. To ja mam wybrać sobie imię. To ja muszę odseparować się od prześladujących mnie meteków. To ja muszę siebie rozpoznać. Kiedy się obudziłem, byłem bardzo podniecony, a nawet radosny, chociaż sny były dosyć dramatyczne. Nie rozumiem zbyt dobrze tej radości, którą odczuwam jeszcze w tej chwili.

— Wyjaśnić te sny, to wyjaśnić samego siebie. Podczas snu nie panujemy nad sobą. Wszystkie gnębiące nas sprawy splatają się. Twoje opowiadanie nie jest pozbawione pewnych interesujących rysów. Pomówimy o tym później. Nie ma ryzyka, nie zapomnisz tych obrazów, ponieważ przed chwilą wydobyłeś je z podświadomości... Nie chcesz już kawy? To jeszcze kanapkę. Sprawdziłem godzinę odjazdu pociągu. Rzeczywiście o piętnastej. Twoja matka odwożąc mnie na dworzec zostawi cię po drodze w klinice, żeby zmienili ci opatrunek. Teraz pójdę do parku poczytać brewiarz. Staraj się zasnąć.

— Czy nie chciałby ojciec, żebyśmy raz na zawsze skończyli z tym, co mam na sercu?

— Szczerze mówiąc, nie. Masz gorączkę i boli cię, to widać. Staraj się zasnąć. Weź tabletkę. Na początku września przyjedź na obóz żeglarski. Będzie czas na przemyślenie wszystkiego.



## Rozdział 7

Jerzy przewrócił się na drugi bok. Mimo krańcowego wyczerpania odczuwał radość powrotu do życia. Słyszał kroki matki schodzące coraz niżej po schodach. Bez wątpienia zadawała jeszcze lekarzowi tysiące pytań w związku z tym, co powinna, a czego nie powinna robić. Jej drobiazgowość doprowadzić mogła do rozpacz. Niepokoilią się wszystkim i niczym. To prawda, tym razem sprawy omal nie potoczyły się tragicznie.

Kiedy ojciec du Regard żegnał się z nim, Jerzy zaczynał znowu odczuwać ból. Chciał teraz z pewnego dystansu zrozumieć wszystko, co zaszło w nim podczas ciągnących się bez końca tygodni choroby. Po odjeździe księdza powiedział, że chce spać, gdyż nie mógł pogodzić się z demonstrowaniem swojego cierpienia. Rwanie docierało aż do ramienia. Czyżby nacięcie wykonane w klinice zbyt szybko się zabiłniło? Zmierzył gorączkę. Słupek rtęci zatrzymał się powyżej 40 stopni. Strząsnął termometr, bo chciał, żeby matka zostawiła go w spokoju. Zresztą nikogo poza nim jego stan nie powinien obchodzić. Spędził okropną noc. Chciał być szlachetny, to znaczy nie robić ze swego bólu obiektu przetargu. Brzydził się cierpieniem. Pamiętał do najdrobniejszych szczegółów, co przeszedł w klinice i w ciągu dni poprzedzających interwencję chirurga, która wówczas wydawała się taka niewinna. Nigdy nie ofiarowałby swego cierpienia Bogu. Bóg nie ma duszy notariusza. Postawa rodziny w pewnych okolicznościach stanowiła obelgę dla majestatu Boskiego. W Kerdouarec'h uprawiano zawsze pogardy godne targi. Zamawiano msze i palono świece, kiedy chciano uzyskać jakieś łaski. Słowo „łaska” pokry-

wało nieskończoną różnorodność spraw. Przemieniano w łaskę wszystkie korzyści, jakie chciano uzyskać: pomyślny wynik egzaminów, operacje bankowe, wyleczenie. Lista byłaby długa. Nie, Jerzy na to nie pójdzie! A przecież od najwcześniejszego dzieciństwa wtajemniczono go w sekrety duchowego handlu. Z ręki do ręki. „Ofiaruję Ci moją muszlę, żeby tatuś otrzymał czwarty galon, żeby ten skrawek ziemi udało się jak najlepiej sprzedać albo żebyśmy znaleźli nową pokojówkę.” Rzygać się chce. Jeśli na całym świecie pozostanie jeden chociaż sprawiedliwy, będzie nim Jerzy. On przynajmniej będzie cierpieł bezinteresownie, nie łącząc, jak go uczono, swoich cierpień z cierpieniami Chrystusa na krzyżu.

Rozmyślając o ojcu du Regard, czuł, że ogarnia go złość. Ten dopiero bał się zbrukania! Jerzy powierzył mu wszystko, co miał na sercu, a ten, któremu zaufał, wymigał się jak tchórz.

Tego samego wieczoru, kiedy zakonnik opuścił Kerdouarec'h, matka przyszła do pokoju Jerzego, a on udawał, że śpi. Wyszła na czubkach palców, a chłopak przez całą noc gryzł pościel, żeby nie usłyszano jego krzyku. Gorączka łupała w skroniach, ból rozplątywał się po ciele piorunującymi falami. I co z tego? Jest mężczyzną czy dzieckiem? Nie będzie wzywał Boga na pomoc. Ani Boga, ani ludzi. Nie zmarnuje bogactwa, które posiada, wymieniając je na monetę obiegową. Ale jaki to był ból!... Wykorzystanie intymności obcowania z Bogiem, żeby mniej cierpieć, wydawało mu się rzeczą niegodną.

Niezbyt dobrze pamiętał, co działo się przez następne dni. Zaledwie przypominał sobie lekarstwa, które musiał pić, zastrzyki, którymi szpikowano mu ciało, i duże nacięcie, które wykonano mu na ramieniu, w miejscu, gdzie wezbrał nowy wrzód.

Widział cienie, które w milczeniu przemieszczały się wokół niego, widział metaliczny błysk łyżeczki, którą zbliżano do jego warg, i czuł świeżość czyjejś dłoni na rozpalonym czole. Zapadał w otchłanie bez dna, wydobywał się na powierzchnię. Majaczył dniami i nocami. Teraz zdaje sobie z tego sprawę. Wspomnienia wyłaniały się niby rafy podwodne na wzburzonym morzu. Pierwszą rzeczą, jaką sobie przypomniał, była jakaś historia agrafek lub metalowych haftek. Zdawał sobie doskonale sprawę, że wokół niego dalej toczy się życie. Słyszał jakby walenie młotem, które nie miało związku z łomotem krwi, lecz brało się z zewnątrz. Jerzy usytuował w końcu te regularne uderzenia ponad swoją głowę, bardziej po prawej stronie. Tak: zmieniano część dachu Kerdouarec'h. Babka przyszła do pokoju i wygłaszała jakieś słowa bez związku. Matka Jerzego dawała jej znaki, żeby zniżyła głos, wreszcie wyciągnęła ją na korytarz, gdzie odbył się dalszy ciąg dyskusji. Czy naprawdę było to ważne? Jerzy chciał sobie przypomnieć, by połączyć od nowa łańcuch. Mimo zmęczenia uczynił wysiłek i rozmowa dwóch kobiet przypomniła mu się. Generałowa tłumaczyła swojej córce, że jest jej obojętne, czy się zadłuży, ale każe nowe dachówki przyczepić przy pomocy haczyków z miedzi. Było to trzy razy droższe, ale wystarczy na pokolenia. Te haczyki przytrzymywać będą jeszcze dachówki Kerdouarec'h, kiedy ciała robotników pokrywających dach już dawno oddzielią się od kości. Nie znaleziono jeszcze w rodzinie sposobu, żeby nie umierać, lecz postępowano tak, jakby taki sposób znaleziono. Każdy ma obsesję, na jaką zasługuje. Pod tym względem Jerzy był nieodrodnym potomkiem rodziny Kerdouarec'h. Ale Santenacom zawdzięczał większą inteligencję lub mniejszą głupotę. Chciał

wyrwać się śmierci, ale nie przez czepianie się tego, co czas szanuje bardziej niżli ludzi. Zniesiono ze strychu kołyskę, która służyła generałowi, by położyć w niej synka Agnieszki. Po osiemdziesięciu latach przerwy ta sama kołyska, to samo imię. Nie ta sama jednakże trumna, trumna jest osobistą własnością. Dzielać z kimś życie, człowiek zachowuje dla siebie własną śmierć nawet w rodzinie.

W miarę jak stan Jerzego pogarszał się, coraz częściej myślał o śmierci, ale w sposób negatywny, to znaczy odrzucając to wszystko, co Kerdouarec'h odkryło, by się przed nią chronić.

Bóg milczał. Jerzy czuł, że znalazł się w sytuacji tych ludzi, którzy nie chcą uczestniczyć w bankiecie, gdyż żołądek mają przeładowany jeszcze niezdrowym pożywieniem. Muszą to zwymiotować. W duszy miał tyle samo ropy co w ciele, ropy, która nie chciała się zebrać. Lekarz rozważał konieczność amputacji ręki aż do stawu barkowego. Jerzy wiedział teraz już o tym. Powiedziała mu matka z twarzą pełną patosu. Ale „tyle się modliliśmy...” Tak, znowu ten duchowy handel wymienny, który w gruncie rzeczy okazał się skuteczny! Zamówiono msze, zapalono świece i ofiarowywano wszystkie cierpienia świata, żeby tylko Bóg zmiękł. Ale Jerzy nie modlił się o to. Prosił jedynie Boga, by mógł widzieć jasno.

W którym momencie choroba ustąpiła? Ciekawe było, że w sercu Jerzego stopniowo wstawało niepewne światło jak jutrzeńka, dzięki której blednie noc. Obsesyjna myśl o śmierci nękała go dalej, ale w kształcie mniej dramatycznym. Nie odczuwał już tego przerażenia pierwszego człowieka na widok pierwszego trupa. Nie zwodził się na sposób niektórych chrześcijan, którzy żyją, jakby śmierć dotyczyła tylko innych. Nie wierzą w jej realność

w odniesieniu do siebie, jak nie wierzą w miłość, w bogactwo, w deszcz, w słońce, w wojnę. Nie wierzy się w wojnę podczas konferencji prasowej, podobnie jak wierzy się w nią leżąc pod ogniem zaporowym. I Jerzy wiedział, że się pod takim ogniem znalazł. Przynajmniej tutaj widział sprawy dosyć jasno. Bał się, ale rozumiał, że ta śmierć, której chciał patrzeć w twarz, jest dopełnieniem istnienia przygotowującego się na inne życie.

W miarę jak obniżała się gorączka, w miarę jak coraz mniej cierpiał i w miarę jak odzyskiwał siły, powracało pragnienie wejścia do stanu kapłańskiego. Być księdzem wydawało mu się najlepszym sposobem spełnienia w obydwu znaczeniach: destrukcja i dopełnienie. Kochał Boga. Oto czemu nie godził się na jakiegokolwiek rodzinne gierki. Boga nie kocha się tak, jak kocha się kobietę, ale kocha się Go, gdyż nie ma innego wyjścia. Za każdym razem, kiedy walił głową w ścianę śmierci, słyszał, jak Bóg odpowiada mu: „Jestem za tą ścianą. Nie obawiaj się”.

Mijały kolejne dni, nie kończące się, znaczone wzrostami gorączki, bolesnymi opatrunkami, zastrzykami, które paraliżowały nogę chorego, pigułkami czerwonymi lub zielonymi, przełykanymi z moczem. Światło dnia raniło mu oczy. Zostawiano okiennice zamknięte. Otwierano je wieczorem i oczyszczająca świeżość nocy niby wielka fala wypełniała pokój Jerzego. Matka całymi dniami siedziała przy nim. Chwilami ta obecność była dla niego czymś słodkim, chwilami doprowadzała do rozpacz. Najczęściej pragnął być sam. W pewnych momentach ból rozplątywał się, potem powracał gwałtowny lub ustawał na całe godziny. Życie w Kerdouarec'h zastygło. Ale Jerzy słyszał ciągle stukanie dekarzy kładących dachówki. Jakiś przedmiot, dźwięk, kolor budził czasem cały ukry-

ty świat. Pewnego dnia usłyszał, jak przestawiają antenę telewizyjną na wschodniej wieży. Przypominał sobie program o przygotowaniach amerykańskich kosmonautów. Zajął mu to umysł na cały dzień. Uświadamiał sobie, jak bardzo podbój kosmosu musiał wydawać się chimerycznym przedsięwzięciem dla racjonalnych mózgów z początku wieku. A jednak ludzie wierzyli, poświęcili się całkowicie badaniom. Oddali im wszystkie swoje siły, cały swój rozum; nie godzili się na robienie niczego, co nie wiodłoby do sukcesu ich wysiłków.

Pomyślał wówczas o tych ludziach, których tak bardzo skupionych widział na mszy, wiernych swemu religijnemu obowiązkowi, a żyjących, jakby Bóg nie istniał.

Ukazali mu się jak pełni dobrej woli kosmonauci, którzy przygotowują się do wyprawy, waląc młotem w lampę elektryczną, zamiast ją odkręcić. Wierzą w rakietę, pracują nad nią, ale nie zwracają sobie głowy ani jej wątlnością, ani złożonością. Traktują ją jak koło u pług. Ale Jerzy od wielu tygodni nie przestawał myśleć o świecie rozciągającym się poza granicą śmierci. Wszystko, co robił, kierowało go ku temu stawaniu się, które nie podlega destrukcji. Zdał matematykę, bo wziął się poważnie do pracy. Chciał, by to przygotowanie egzaminu było próbą woli, z której będzie w przyszłości korzystał. Widział w tym także dopełnienie pewnego obowiązku, ale nie chciał już studiować w Saint-Cyr, bo było to dla niego jedynie bezsensownym życzeniem rodziny. Jego życie stanie się od tej chwili przygotowaniem do wyprawy w tamten świat. Przyłożył się do tego z sumiennnością inżyniera, który pracuje przy rakiecie, z sumiennnością kosmonautów, którzy poddają się każdemu treningowi, każdemu niezbędnemu ćwiczeniu. Był to jednak — teraz wiedział o tym doskonale —

jeden tylko z aspektów powołania. Innym, zasadniczym, była odpowiedź Boga na jego nocne wezwania. Czy to Jerzy rzucał te wezwania? A może, przeciwnie, właśnie Bóg przemawiał do niego niez mordowanie? Pomyślał znowu o ojcu du Regard. Czemu wyjechał tak nagle? Jerzy chciał mu jeszcze wiele powiedzieć, ale jezuita uciekł... A przecież w szkole, przy rozmaitych okazjach, dowiódł, że potrafi wziąć na siebie odpowiedzialność. Za jego kurtuazją, rezerwą, trochę konwencjonalną serdecznością kryło się serce człowieka wrażliwego i szlachetnego. Cóż oznaczała więc ta odmowa, którą przeciwstawił Jerzemu? Czemu nie pomógł mu bardziej? Bał się, by młodzieniec nie zaangażował się zbyt wcześnie i zbyt daleko? Możliwe. Wszystko możliwe. Obawiał się nadmiaru egzaltacji? Czy tego dnia, kiedy się żegnali, dostrzegł, że Jerzy ma gorączkę i że cierpi? A może spostrzegł, że wszystko, co pali duszę Jerzego, musi się sklarować? W miarę jak poprawiał się jego stan, chłopak widział coraz jaśniej, jakby powrotowi do zdrowia ciała towarzyszył powrót do zdrowia duszy. Nie mógłby mówić ojcu o radości, bo nie wiedział jeszcze wówczas, co to słowo oznacza. Zakonnik jest człowiekiem mądrym, człowiekiem, który nie chciał, żeby Jerzy pogrążył się w aspektach negatywnych powołania śpiewając tragiczne „Dies irae”.

Czy Jerzy w dniu wyjazdu ojca du Regard umiałby mu powiedzieć — a było to ważniejsze niż cała reszta — co odkrył tamtego właśnie popołudnia?

Rankiem rozpełtała się gwałtowna burza, a potem przez wiele godzin padał deszcz. Przez otwarte okna przenikały do pokoju zapachy wilgotnej ziemi i ociekających wodą liści. Ze swojego łóżka chory dostrzegł jedynie rozmyte niebo. Z rany na

ramieniu bardzo jeszcze ciekło. Lekarz przychodził zmienić opatrunek. Pościel pachniała przyjemnie lawendą. Leżał teraz w jakimś szczęśliwym odrętwieniu. Miał nadzieję, że zaśnie, ale sen nie nadchodził. Długo nie myślał o niczym. Nie odczuwał potrzeby modlitwy, ale wdzierała się ona w niego podstępnie, potem zastygła przy słowach liturgii często słyszanych i prawie pozbawionych znaczenia. I oto nagle wybuchały snopami kolorowych obrazów. Jerzy przeżywał no nowo to doświadczenie. Stawał się swoim własnym świadkiem. Wszystko zostawało wyryte w duszy. Widział, jakby asystując przy mszy, księdza, który odwraca się, by wzywać wiernych: „Orate fratres”. Potok światła kazał duszy śpiewać.

Potem imperatyw „orate” nabrał nagle całej swojej wartości. Wylaniały się przed nim dłonie wszystkich leżących świata. Najpierw wznosiła się przez nie modlitwa zmarłych. Wznosiły się z najdawniejszych miast zmarłych, z krypt, z katedr, z najnędniejszych sanktuariów, z grobów Medyceuszy i grobów królów Francji. Jerzy widział również, jak otwierają się sarkofagi egipskie i jak owinięte wstęgami ręce unoszą się w tym samym geście modlitewnym. Łączyły się w nim z dłońmi granitowymi, marmurowymi i spiżowymi i z dłońmi, z których pozostały już jedynie kikuty, z dłońmi ze wszystkich kostnic świata, z indochińskich pól ryżowych, z algierskich dżebeli, z rosyjskich stepów. Strzępy ciała na tych kościach i popioły z pieców krematoryjnych odzyskiwały życie i kształt, by modlić się. I wszystkim tym dłoniom wyciągniętym ku niebu towarzyszyły wołania, błagania, ale bardziej jeszcze modlitwy, hymny pochwalne i miłość. Jerzy także pragnął wyciągnąć ręce, by objąć wszystko. A poza wywołaniem tych wszystkich obrazów, „orate fratres” sprawia-



ło, że nad jego głową rodziły się powiewy, które podchodziły do góry i schodziły w dół. Przybywały w tych powiewach dłonie wyciągnięte ku niebu w geście ofiarnym i dłonie otwarte jak puchary, by móc przyjąć wszystko. Bóg i ludzie za każdym razem przekazywali sobie coś istotnego. Był olśniony, dosłownie pijany radością, która mogłaby rozsadzić mu serce. Jednakże wezwanie nabrało całkowitego sensu wtedy dopiero, gdy otworzyło się z kolei słowo „fratres”. Jerzy wiedział z nie dającego się podważyć wewnętrznego doświadczenia, że jest bratem straconych w Oświęcimiu, bratem renesansowego Florentyńczyka, małego Indochińczyka, fellaha, faraona, Duguesclina, Anny Bretońskiej, górnik z Saary i dońskiego kozaka. Intensywność jego modlitwy wykluczała samotność, wykluczała istnienie bez innych ludzi. Czuł, że topnieje z miłości. Roztopiał się dosłownie, gdyż istniał już nie przez siebie samego, ale przez radość, że jest poza czasem i przestrzenią, zjednoczony z całą ludzkością. Otaczało go coś łagodnego, wilgotnego i ciepłego. To przez krew Chrystusa cała modląca się ludzkość łączyła się z nim w jedno. Był tylko nieskończenie małą jej częsteczką, ale częsteczką decydującą. Bez niego ludzkość nie mogłaby istnieć. Był jej niezbędny. On także nie mógłby bez niej przetrwać. Jednocześnie dostrzegał, że jest niezbędny Bogu. Bóg nie jest od niego uzależniony, ale Jerzy miał poczucie stałej życzliwości, jaką Bóg go otaczał. Skupiał na sobie całą uwagę Boga. Reprezentował dla Niego biegun spotkania. Bóg obserwuje go jak biolog, który patrzy na wirus przez obiektyw mikroskopu. Ale obserwuje spojrzeniem pełnym miłości. Liczy się to, że Jerzy czuł się na zawsze włączony w krwawiącą plazmę ludzkości. Nie przystosuje się do zwyrodniałych komórek, które mogą spowo-

dować zwyrodnienie całego, wspaniałego organizmu. Ludzkość podobna była w jego oczach do ogromnego mrowiska, w którym działalność pilnych, małych zwierzątek jest ukierunkowana. Żadne z nich nie może zmierzyć wartości swego czynu, lecz jedynie niezbędność jego dokonania.

Jerzy wiedział, że nie dał wystrychnąć się na dudka jakiemuś mirażowi, ale że cały jest w zasięgu wzroku Boga i musi wybrać to, co wybrał Bóg. To Bóg dokonuje wyboru — myślał. — Ja mówię tylko „tak” lub „nie”. Mówił „tak”, ponieważ ten Bóg, który mu się objawiał, brał życie, miesił je swymi dłońmi i zwracał mu przemienione w ten sposób, że nie umiał się połapać, chyba że potrafi odnaleźć główne zarysy, nakreślone przez samego Boga.

Kiedy uwolnił się już od czaru, postanowił zostać księdzem, gdyż jest to jedyne rozsądne wyjście. Nie chciał niczego, czego nie zechciałby Bóg. Bóg wypełniał całe jego życie. Mógł teraz patrzeć na świat jedynie ustalając związek łączący Boga i ludzi. Teolog — powiadał sobie — bez wątpienia innymi słowami ująłby burzliwy stan, w jakim się znajdował. Burzliwy z pozoru, gdyż przepępiał go wielki, pogodny spokój. Z każdym dniem czuł się silniejszy, lepiej uzbrojony. Rozumiał doskonale, że ojciec du Regard miał rację. Musi rozplątywać samodzielnie splątana gęstwę swojej wewnętrznej dżungli. Stał się czuły dla matki, żartował z Heloizą, kiedy ta zamiatała pokój, znosił bez zbytniego rozdrażnienia przemowy generałowej. Agnieszka pojechała do męża, a Laurence spędzała miesiąc w Hiszpanii. Jerzy nie sypiał jeszcze dobrze. Budził się na długo, zanim pierwsze światła jutrzeńki oświeciły pokój. Jego serce, myśl, bez przerwy skłaniały się ku Bogu. Tracił wtedy poczucie czasu. Rano, kiedy matka przyno-

siła mu śniadanie, sądziła, że Jerzy budzi się z marzeń, podczas gdy on odrywał się od rzeczywistości, która wymykała się innym. Wytarte słowa nabierały dla niego siły i znaczenia, których dawniej nie potrafił sobie wyobrazić. Bóg stawał się doświadczeniem osobistym.

Rano, kiedy ogarniał go wielki spokój, chciałby komponować hymn radości, radości stworzenia spotykającego swego stwórcę, Boga w Trójcy jedynego. Bóg wydał mu się wtedy potęgą tak wielką, że można się do Niego zbliżyć jedynie poprzez płomienie, gdyż On sam jest pożogą. Innym razem przed oczyma Jerzego stanęła scena z Genesis z drobiazgowymi i naiwnymi szczegółami, jakby namalował ją był Celnik Rousseau. Każdy liść narysowany osobno i obwiedziony kreską wykonaną piórkiem. Widział Boga otwierającego bok pierwszego człowieka, by wydobyć z niego jądro życia, z którego ulepi człowiekowi towarzyszkę. Wydawało mu się przy tym otwartym boku, że nachyla się nad przepaścią, której niezgłębione otchłanie oszałamiają go. Tworzyły się inne obrazy. Ukazywał mu się tylko leżący Adam, ale na ten obraz nakładał się jakby obraz Chrystusa wyprostowanego, pozbawionego krwi, wiszącego na krzyżu. Legionista rzymski przebijał mu bok uderzeniem włóczni. Krew i woda wypływały wówczas obficie i zalewały go. Pogrążony w tym rozlewie, który go przemieniał, stawał się zdolny do życia. Decyzja zostania księdzem umacniała się, jego duszę obmywał strumień łaski. Przypomniawszy sobie słowa apostoła: „Czyżby nadaremne miały być takie doświadczenia”. Jego kapłaństwo będzie wiernością temu, co otrzymał. Do każdego Bóg przemawia inaczej. Do niego Bóg przemawiał językiem jasnym i Jerzy będzie umiał odpowiedzieć mu „tak”, w którym nie będzie wieloznaczności. Jego życie

stanie się linią światła. Nawet gdy będzie szedł cieniem, nie zapomni, że zostało mu to wszystko powiedziane. Ojciec du Regard ze swoją doskonałą znajomością dusz ludzkich miał rację pozostawiając Jerzego samemu sobie.

W przyszłości nie będzie już się dręczył. Wiedział, że jest słaby, bał się samotności, on, który tyle wycierpiał, odkąd Laurence tak całkowicie się odmieniła. Życie bez ukochanej kobiety, bez dzieci, które rosłyby na jego oczach, a przecież czuł, że serce ma wypełnione miłością! Krył w sobie pragnienia władzy i wiedział, że musi je zniszczyć. Nie pomniejszał wagi poświęcenia, którego od niego żądano. Czyż nie zgodzili się na nie inni? Nie może być nic równie straszliwego jak utrata Boga. Istnieją ludzie świeccy, którzy żyją zwróceniu ku Niemu całkowicie, mający życia piękne i płodne. Ponieważ jednak został wezwany, jego życie może stać się jedynie całkowitym darem. Wyrzeczenia są tylko środkiem prowadzącym do celu.

Mało przejmował się reakcjami rodziny. Jednakże pragnął w pewnej mierze brać je pod uwagę. Znacznie silniejszy będzie za rok, po powrocie ojca. Ale napisze do niego. Wyjawi mu prawdę — to, co jest w stanie powiedzieć. Wyjaśni siebie samego z tym większym spokojem, że zna swoją siłę. Jakże ojciec mógłby nie uważać za rzecz normalną, że Jerzy po skończeniu klasy matematycznej skończy filozofię i skieruje wzrok ku przyszłości odmiennej od tej, która dotychczas odpowiadała rodzinie bardziej niż jemu samemu?

# Część trzecia

## Rozdział 1

Tego roku miało być niewiele święceń. Dwadzieścia zaledwie na całą diecezję, a i tak nie wszystkie odbędą się w katedrze. Jerzy, który wstał dopiero po ciężkiej anginie, bał się, że nie będzie mógł razem z innymi seminarzystami uczestniczyć w ceremonii. Jeszcze poprzedniego dnia gorączka trzymała go w łóżku; teraz spadła i chociaż czuł się dosyć słaby, pragnął gorąco, żeby ojciec przełożony pozwolił mu towarzyszyć kolegom.

Liczył, że poprosi go o to dzisiaj rano po śniadaniu przy wyjściu z refektarza. W ciągu dwóch lat seminarium osiągnął całkowicie równowagę i cieszył się wielkim, wewnętrznym spokojem. Dawno już przekroczył etap nazwany przez siebie „stadium motywacji uczuciowych”. Podobnie jak wielu innych przeszedł trudne chwile. Uważał za swój obowiązek wywalanie bram twierdzy przy użyciu machin wojennych; ale z chwilą zrobienia kroku wszystko sprowadzało się do czegoś równie prostego jak przekręcanie klucza w dobrze naoliwionym zamku. Przez krytyczne etapy rozwoju musiałyby przejść podejmując jakąkolwiek decyzję określającą jego przyszłość. Wyszedł z tego bez wielkich szkód.

Teraz czuł się zabezpieczony przed wszystkim, co dawniej kazało mu widzieć w czarnych kolorach najmniejsze wydarzenie. Wszystko jest pro-

ste dla kogoś, kto chce, żeby było proste. Wiertło dentystyczne zadaje ból dopiero dotykając nerwu. Po co więc cierpieć w poczekalni? A nade wszystko po co myśleć o poczekalni dentystycznej, idąc długim korytarzem do pokoju ojca przełożonego, który tak życzliwie przecież rozmawia z seminarzystami? Dziś rano Jerzy służył do mszy. Ksiądz ocenia się podczas odprawiania mszy — postanowił raz na zawsze. I codziennie zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo ksiądz przy ołtarzu pozostaje nieprzenikniony. Przyłapał się wtedy na myśli, że ojciec Cahuzac odprawia mszę z wielką powściągliwością. Ten typ templariusza, wzrostu metr dziewięćdziesiąt, o bardzo czarnych włosach, szarych oczach, które niby świder przenikały człowiekowi duszę, i o dłoniach szerokich jak kijanka praczki, zawsze stanowił dla Jerzego przedmiot zdumienia. Bez wątpienia ojciec zawdzięczał langwedockie nazwisko jakiemuś wojakowi z Mercoeur, przybyłemu za czasów wojen religijnych do Bretanii, gdzie założył ród. Mówiono o ojcu Cahuzac, że jest przede wszystkim bardzo inteligentny. Jerzy zaś wiedział, że jest świętym księdzem. Ale miał do niego pretensję, że osiąga zawsze cel pozostawiając swojej ofierze wiarę, że ma wolny wybór. Kiedy Jerzemu przyszło do głowy słowo „ofiara”, zatrzymał się zaskoczony określeniem, które sformułował w duchu. Starał się zrozumieć i znaleźć słowo, które lepiej pasowałoby do jego myśli. Pasowałoby słowo „łup” — powiedział sobie. Ale ojciec przełożony był zbyt inteligentny, żeby komukolwiek pozwolić się domyślić, że jest łupem. Jerzy jednak nie sądził, by mógł ustalić się inny rodzaj związku między ojcem Cahuzac a kimś z seminarium. „Łup” i „ofiara” to wcale nie to samo. Łup budzi miłość i zainteresowanie. A ojciec Cahuzac odczuwał zawsze miłość i zain-

interesowanie względem każdego, kto do niego przychodził.

Jerzemu pozostało do pokonania kilka jeszcze zaledwie metrów tego nie kończącego się korytarza, gdzie na końcu światło przenikało przez witraż, kiedy ojciec przełożony gwałtownie otworzył drzwi swego pokoju. Jego masywna sylwetka rysowała się pod światło. Nie był zaskoczony dostrzegając Jerzego.

— Myślę, że przychodzisz — powiedział — żeby prosić mnie o pozwolenie asystowania przy święceniach. Ponieważ wróciłeś do zdrowia, zabieram cię. Akurat zdążymy.

W milczeniu skierowali się do głównego podjazdu, gdzie czekał już na nich mały samochód ojca. Ksiądz poprosił Jerzego, jakby była to rzecz całkiem zwyczajna, by usiadł za kierownicą, gdyż pragnie po drodze przeczytać listy. Młody seminarzysta ruszył szarym małodlitrażowym renault podobnym do tych, jakich używają prawie wszyscy duchowni z diecezji. Pojazd utrzymany był z przesadną czystością, gdyż ojciec przełożony dba niezwykle o siebie i wszystkie swoje rzeczy. Pewnie bierze prysznic trzy razy dziennie — myślał Jerzy. Szczerze podziwiał czerstwość starannie wygolonej twarzy, na której, wydawało mu się, widać zarost kielkujący pod błękitnymi cieniami. Rozedrgane nozdrza, kwadratowy podbródek, złagodzony dołkiem, nadawały tej twarzy wyraz wielkiej energii a jednocześnie pewnego rodzaju wruszającej czułości. Grube wargi byłyby świadectwem zwierzęcej niemal zmysłowości, gdyby skroni nie cechowało wielkie uduchowanie. Głębia życia duchowego przejawiała się u ojca Cahuzac na tysiąc sposobów. Było to życie duchowe prawie gwałtowne, niby bitwa, z której ksiądz wyjdzie, wiedzą o tym wszyscy, zwycięski. Kolejno otwie-

rał listy pilnikiem do paznokci, czytał je uważnie ze spuszczonego wzrokiem, potem starannie wkładał z powrotem do kopert. Prowadząc samochód, Jerzy przyglądał się jednocześnie dłoniom księdza. Dosyć piękne w kształcie, ale tak mocne, że z trudem można sobie wyobrazić, żeby były dłońmi intelektualisty. Patrząc na nie, miało się wrażenie niepotrzebnej siły. Takie dłonie wydają się śmieszne, jeśli służą tylko do pisania. Ale zadaniem ich było poświęcać. Jerzy był szczęśliwy myśląc o tym, jaką wyrażają potęgę.

Przybyli do katedry nie zamieniwszy ze sobą ani słowa. Ojciec wysiadł przed małym ostrołukiem drzwi zakrystii.

— Zaparkuj samochód — powiedział Jerzemu — i ulokuj się jakoś na chórze.

Chłopak znalazł parking dopiero przy więzieniu i wąskimi, średniowiecznymi uliczkami wrócił do katedry. Dzwony były z rozmachem na tle nieba błękitnego i czystego. Już od rana zapowiadało się, że dzień będzie gorący. Chłód i ciemność nawy ogarnęły Jerzego. Główny ołtarz rozświetlał las świec i wszystkie miejsca były już zajęte. Seminarzysta dotarł aż do lewego transeptu, założył komżę i stanął w prezbiterium przy filarze balustrady, przy której udziela się komunii. Po krótkiej modlitwie spojrzął na pierwsze rzędy zajęte w całości przez rodziny seminarzystów, którzy mieli zostać wyświęceni. Większość z nich stanowili ludzie prości, rodziny rolników lub marynarzy o szorstkich twarzach, które wzruszenie czyniło jeszcze twardszymi. Wiele spośród starszych kobiet — w czepcach. Bariery społeczne, które od dawna już nie istniały między Jerzym a jego braćmi z seminarium, tutaj zaznaczały się w sposób szczególny i Jerzy czuł, jak bardzo Kerdouarec'h jest odległe od tego tłumu i jak bardzo on sam



odległy jest od Kerdouarec'h. Tuż przed nim młody ksiądz wyjaśniał grupie siedmiu czy ośmiu małych chłopców, w jaki sposób odbędzie się ceremonia. Jerzy także przed wstąpieniem do seminarium nigdy nie asystował przy święceniach.

Organy zaatakowały pierwsze takty „Introit”, ale dopiero poruszenie wśród zgromadzonych pozwoliło Jerzemu zorientować się, że z głębi nawy przybywa procesja. Najpierw zobaczył grupę ministrantów, potem seminarzystów w nowych, lnia-nych komżach spadających aż do kolan. Z kolei liczna grupa księży w dwóch rzędach, jedni bardzo młodzi, inni o twarzach pobrużdżonych przez lata. Potem dziesiątka koncelebrantów w ornatach. W końcu, tuż przed biskupem, diakoni, którzy otrzymają święcenia. Jerzy był przestraszony czując, jak bardzo są odlegli, niedostępni. Czepiał się najmniejszych drobiazgów, by przekonać siebie samego, że chodzi tu o jego przyjaciół, których znał na co dzień. Patrzył na odstające nieco uszy Piotra Le Berre, na kasztanową aksamitną pastylkę — ogromny pieprzyk na policzku Henryka Landurant, na niesforny kosmyk ciemnych włosów Jakuba Tardy, na szerokie bary Andrzeja Le Borgne i silne szkła rogowych okularów Rogera Surzur. Chciał krzyknąć, że jest tu, że kocha ich, że wszystko wiąże go z nimi. Ale ci chłopcy szli drogą, na której nie miał w tej chwili prawa postawić stopy. Przepaść, jaka zarysowała się między łądem codzienności, gdzie pozostawał Jerzy, a tym terytorium świętości, które otaczało ze wszystkich stron przyszłych księży, wydała mu się nie do zniesienia. Wchodzili kolejno do oświetlonego prezbiterium. Każdy z nich znajdował sobie miejsce, by przeżyć dramat, w którym najmniejszy gest ma swoje znaczenie, ma życie i siłę zdolną do czynu.

Zaczyna się msza. To dopiero początek — mówi sobie Jerzy jak w momencie, gdy zatrzymujemy wargi na brzeżku filiżanki, gdyż boimy się zanurzyć je w gorącym napoju. Po suplikacji „Kyrie” archidiakon każe diakonom wysunąć się przed biskupa. Czerwone stuły mają założone przekątnie na alby i trzymają zapalone świece. Biskup usiadł przed głównym ołtarzem na rodzaju kurulnego krzesła. Jerzy widzi, jak bardzo jest zmęczony, postarzały. Prałat dopiero co przeszedł ciężką chorobę. Na tej twarzy świętego stygmaty śmierci nie nabierają żadnego znaczenia trwożącego lub rozpaczliwego, są dla Jerzego jedynie przypomnieniem, że nie ma żadnej luki między trwaniem ludzkim a granicami świata, w który wkraczają jego przyjaciele, jego bracia. Jakże kocha ich w tej chwili za młodość, za pełne siły zdrowie. Archidiakon wywołuje każdego imieniem, nazwiskiem i dorzuca jeszcze nazwę parafii, z której pochodzi. I każdy podchodząc odpowiada: „Oto jestem”. Skłania się i wraca na swoje miejsce.

Po listach pasterskich pod sklepieniami rozbrzmiewa „Alleluja”. Archidiakon niezmiernie wywyższony dzięki okrywającym go fałdom czerwonego ornatu zbliża się do biskupa. Jego profil drapieżnego ptaka zwieńczony koroną niesfornych włosów upodabnia go do wydłużonych twarzy w stylu el Greca. Można by pomyśleć, że to prorok Eliasz wstępujący na wóz ognisty. Głosem zbyt mocnym, prawie ostrym, ale doskonale słyszalnym prosi, zgodnie z obrzędową formułą, biskupa, by podniósł diakonów do godności kapłańskiej. Biskup jest przysadzisty, trochę skulony na swoim krześle. Jego nieruchoma twarz wygląda tak, jakby wyrzeźbiona była z kłoca bukszpanu. Infule ma dosyć niską, lamowaną złotem, o archaicznym kształcie. Sztywność liturgicznej orna-

mentyki nadaje mu wygląd posągu wyciosanego przez średniowiecznego rzemieślnika. Opiera się na pastorałe, żeby zapytać: „Czy wiesz, że są tego godni?“, tak jakby stawiał pytanie zupełnie zwyczajne.

Prorok Eliasz odpowiada z przekonaniem:

— Na ile ludzka ułomność pozwala wiedzieć, wiem i świadczę, że godni są tego trudnego urzędu.

Jerzy, jak gdyby nigdy nie asystował przy święceniach, jakby nie wiedział, co teraz nastąpi, jakby odkrywał dopiero świat, napięty do ostateczności słucha biskupa przemawiającego słowami wyłaniającymi się z otchłani wieków, ale słowami, które wypływają na wargi prosto z serca, nie ogłędzone, obdarzone pierwotną siłą.

— Kochani bracia — mówi biskup. — Kapitan statku dzieli z pasażerami bezpieczeństwo i zagrożenie, muszą więc żyć w zgodzie, bo są ze sobą związani.

Och, jakie dobre słowa, spokojne i proste! Oczywiście prawda, świadcząca o tym, że poruszamy się po terenie pewnym. Religijna trwoga, w której zgromadzenie skąpane było od początku ceremonii, przemieniła się w spokojną pogodę. Jerzy znajduje się po złej stronie bariery, po tej stronie, z której można jedynie patrzeć, a nie tam, gdzie rozgrywa się dramat. Nigdy jednakże nie czuł się bardziej „człowiekiem Kościoła“, niż w tym momencie.

Biskup kontynuuje swoje nauki:

— A więc nie bez racji ojcowie nasi postanowili, że zasięgać będziemy rady ludu dokonując wyboru tych, którym powierzona ma być służba przy ołtarzu. Gdyż zdarza się, że w tym, co dotyczy ich życia i postępowania, niektórzy wiedzą o rzeczach innym nie znanych, a także łatwiej

nam słuchać kapłana, którego wyświęcenie odbyło się za naszą zgodą.

Zachęca wiernych do „szczerego wyjawienia tego, co wiedzą o uczynkach i zachowaniu” przyszłych kapłanów i serdecznie wzywa spośród zgromadzonych tego, kto miałby coś do powiedzenia przeciwko któremuś z seminarzystów. Prosi, by zgłosił się bez lęku, gdyż ma przedstawić to świadectwo nie „przeciwko nim, ale wobec Boga i ze względu na Boga” i żeby wyjawił je ufnie. I tu cenny apel do rozwagi: „Niechaj wspomni jednakże, kim jest on sam”.

Wszystko to z taką dobrocią, że naprawdę jeśli ktoś ma cokolwiek do powiedzenia, powie. Jerzy nieświadomie zwraca głowę w kierunku nawy, ale nikt nie występuje. Czyż najbardziej nawet nieśmiały człowiek nie ośmieliłby się wystąpić? Biskup patrzy na zgromadzonych. Czeką, jakby zachęcał tego, który się waha. Nikt nie pisnął słowa. Wszyscy zgromadzeni naprawdę zgadzają się. Wtedy biskup zwraca się do przyszłych księży. Przypomina im wielkość zadania, którego się podejmą:

— Rola kapłana to składać ofiarę, wygłaszać kazania i chrzczyć — powiada im. — Ale wielkie są wymagania kapłaństwa i żeby osiągnąć godność tak wysoką, trzeba mieć obyczaje uczciwe i przez mądrość niebieską praktykować codzienne przestrzeganie praw Bożych.

Ciągle bardzo ojcowski opowiada, skąd bierze się wybór, jakiego od tysiącleci Pan nasz dokonuje. Przypomina teksty święte mówiące o wyborze siedemdziesięciu mędrców, którym Mojżesz przekazał ducha Bożego, siedemdziesięciu dwóch uczniów, których Chrystus wysłał przed sobą „po dwóch”. Mówi także o „cudownej różnorodności wyświęconych”, komu winni będą posłuszeństwo,

i o tym, że choć „różnią się między sobą i rozmaity mają godność”, stanowią „w swej jedności Ciało Chrystusa”.

— Zrozumcie, co czynicie, i bądźcie podobni do waszych czynów — ciągnie biskup, który zapala się w szczególny sposób dorzucając — tak, byśmy nie zostali potępieni przez Boga za to, żeśmy dali wam promocję, ani wy za to, żeście przyjęli obowiązek, ale przeciwnie, byśmy wszyscy zasłużyli na nagrodę.

I teraz wielki dramat. Jerzy przewidywał go. Wiedział dobrze, że nastąpi, ale jest wstrząśnięty jak drzewo palmowe, gdy nadejdzie pora monsunu. Zaczyna się rozdierająca litania świętych. Teraz padnie na twarz. Przyszli księża kładą się krzyżem w prezbiterium. Jerzy wiedział, co nastąpi, ale mimo to przeżywa wstrząs. Jak szalony roze-pchnąłby tłum, uciekłby. Podeptałby ojca i matkę, by znaleźć się na wolnym powietrzu. Ale nie rusza się przygwożdżony do miejsca. Kto spętał mu ręce i nogi? Co zatyka mu oddech? Zaszło mu w gardle, ma znieruchomiały wzrok. Czy to, co dzieje się tu, w jego obecności, jest rzeczą możliwą? Jest oto świadkiem własnej śmierci. Nie może znieść tego, że ci ludzie legli na ziemi ruchem koszonego zboża, z ukośną wstęgą krwi — stułą — na całunie alby. Roger Surzur, który znajduje się najbliżej Santenaca, gwałtownym ruchem zerwał okulary, by lepiej skryć głowę w ramionach. Czy mogłyby się na coś przydać te okulary, odrzucone na bok, leżące zausznikami do góry, skoro wszystko odbywa się wewnątrz człowieka? Alba wydłuża nieskończenie ciała, zapadające się, bo odpływa z nich krew. W fałdzie tkaniny rysuje się kształt łydki i Jerzy dostrzega, niby na przednim planie obrazu, obcasy i zelówki czarnych butów. Zauważa, że wszyscy mają nowe

trzewiki. Zresztą ubrali się w nowe rzeczy od stóp do głów, jakby na świętowanie zaślubin. Zaślubin ziemi z niebem, śmierci z życiem.

Henryk Landurant jest nieruchomy jak kamień-na rzeźba nagrobna odwrócona na brzuch. Szerokie ramiona Andrzeja Le Borgne są niby granitowa płyta zakrywająca grobowiec. Wszyscy są martwi, w bolesny sposób pozabijani, uświęceni, poświęceni. Czemu nie przybito im także rozkrzyżowanych ramion? Są chrystusami, biczowanymi, zranionymi, krwawiącymi, barankami z poderżniętymi gardłami. Oddają dobrowolnie własne życie.

Nawet nie otworzył ust swoich.  
Jak baranek na rzeź prowadzony,  
Jak owca niema wobec strzygących ją,  
tak on nie otworzył ust swoich!

Rozdzierający tekst Izajasza rozbrzmiewa w sercu Jerzego i chce się z niego wyrwać. Odpycha wersety, które chwytają za gardło.

Posoka ich obryzgała mi szaty  
i poplamilem sobie wszystko odzienie.

Jerzy czuje się przygwożdżony. Chciałby biec do tych młodzieńców, podnosić ich, zmuszać do ucieczki od tej masakry. Słyszy, jak wykrzykują swą rozpacz:

Rozglądałem się: nikt nie pomagał.

Jerzy zestraja się z bolesną orkiestracją psalmu 68: „Wybaw mnie, Boże, bo wody mi doszły po szyję. Ugrzązłem w błocie topieli i nie mam gdzie stopy postawić; przybyłem na wodną głębinę i zalewają mnie fale”. I teraz w wizji Jerzego gwałtowny, krwawy przyływ pokrywa rozciąg-

nięte ciała. Nie widzi już nawet zwłok, które fale oddaliły od niego. Chce jednak iść za nimi, wyciągnąć z przepaści, w której toną. W tej chwili czuje jedynie trwogę straszliwego wyizolowania. Tamci uniesieni już zostali daleko od tego wszystkiego, co on może jeszcze wybierać. Czy będzie umiał zrezygnować ze słodczych dzielonego z kimś łoża, z radości posiadania czyjś ciało, którego zarysy ukazują mu się z rozdzierającą precyzją? Nie, Bóg nie może tego żądać! Jerzy chce wykrzyzczyć swój bunt. Mężczyzna nie odrzuca miłości kobiety, nie odrzuca wszystkiego, co życie przynosi w postaci powodzenia i radości. Niech błagalne litanie wypełniające katedrę stają się coraz natarczywsze! Na nic się zda wzywanie pomocy od wszystkich świętych z rajów, obawa, żeby jakiegoś nie pominąć, wszystkich aniołów, archaniołów, Ewangelistów, męczenników, pustelników, święte Agaty, święte Agnieszki, Cecylie, Łucje i grzesznica Magdalena. A doktorowie, święte dziewice i święte wdowy? Czy nie wstrzymają tego, co się dzieje? Żąda się od Boga, by okazał „swą przychylność, uwolnił nas od swego gniewu, od śmierci, od ducha nieczystego, od demona, pioruna, grzmotu, burzy, zarazy i wojny...” Dość tego. Jerzy nie chce, żeby jego przyjaciele, jego bracia umarli. Dostrzega nagle, że ten wewnętrzny sprzeciw bierze się z tego, iż czuje się w tym wszystkim samotny. Do niego w tej minucie należy postanowienie, wybór. Tamtych to nie dotyczy. Problem staje przed nim i tylko przed nim. Jerzy nie zostanie księdzem. To nie na jego miarę. Czy byłby pierwszym, który wierzył szlachetnie, że będzie mógł wstąpić na wąską ścieżkę, a potem zrozumiał, że nie został wezwany? Czy do niego należy wybór? Modły ulatują coraz natarczywsze pod sklepienia. Niebo chwieje się od nich w po-

sadach. Czy Bóg jest szalony? Czy trzeba więc Go zbudzić w jego niedostępnych wysokościach, by ludzie, którzy Mu się ofiarowują, przestali być krwawiącym ciałem? Być księdzem, to sprawa Boga, nie ludzi, ludzie do tego nie dorastają. Jerzy zna miarę ludzkiej mędry. „Chcę być księdzem.” Są tacy, którzy głoszą to szaleństwo. Co ich wola miała z tym wspólnego? „To nie ty wybrałeś Mnie” — powiedział Bóg. Oto dramat. Temu, który został wybrany, pozostaje jedynie powiedzieć „tak” lub „nie”. Nigdy jeszcze Jerzy nie czuł mocniej wolności powiedzenia „nie”. Nigdy także nie czuł poważniej, że jest to godzina wyboru, która jednocześnie dotyczy całego życia. Życie jest wiecznym poszukiwaniem prowadzonym przez Boga, poszukiwaniem, którego przedmiotem jest człowiek. Czujny na najmniejsze drgnienie swego serca Bóg nie przestaje wywoływać ich jednego po drugim. Rozmieszcza ich w świecie niby artysta komponujący obraz. Ten ma przekazać fioletowe słodczyce tła, inny jakiś cień wzruszający; ale na pierwszym planie pewna kreska, gwałtowny kolor, bez którego nie ma obrazu — tego nie dokonuje się przypadkowo. Plan Boży musi się realizować. Los człowieka jest jak rysunek na płótnie, jak równowaga form i brył. Wszystko zaplanowane, wybrane przez Niego. Wielki dialog, jaki Bóg otwiera z człowiekiem, nie dokonuje się przypadkowo — jest zaplanowany. Wówczas Jerzy zrozumiał, przez nie podlegającą wątpliwości świadomość wewnętrzną, iż nie musi nic robić, jeśli nie zechciał tego Bóg. Pada na kolana z twarzą ukrytą w dłoniach. Wie, że jeśli chodzi o niego, musi uchwycić jedynie to, co najistotniejsze, wykraczające poza wrażliwość jego pozbawionego skóry ciała, poza burze reakcji natychmiastowych. Chce jedynie postępować jak człowiek. Przychwy-



tuje się na myśli: Bóg uczynił nam zaszczyt, gdyż był człowiekiem. Dola ludzka, „cudownie odnowiona w swojej pierwotnej godności”, pozwala mu stanąć w obliczu kapłaństwa. Jak dziecko bał się burzy. Burze stanowią część ludzkiej doli. Rozdzierająca pozycja seminarzystów, przyczyna tak wielkiego przerażenia, ma swą wartość, ale on zareagował jak dziecko przyznając jej miejsce, którego zajmować nie powinna. Nie stanowi istoty rzeczy i nie będzie budował swego życia na jej cząstkowych aspektach. Cwiartowanie duszy, zerwanie ze światem są jedynie warunkami, tylko warunkami, dopełnienia się woli Bożej prowadzącej Jerzego do kapłaństwa. Wielki spokój oblewa już jego duszę. Boże, daj mi oczy! — powiada z zapalem, który go zaskakuje. Ale czyż Bóg nie dał mu już oczu, by pokazać, że życie nie ogranicza się do ludzkiego trwania? Niechaj wola Boża objawi się w każdym przez coraz większe udoskonalenie oczu, przez powiększenie wizji, świadomości, dla każdego odmiennej. Niechaj syntetyczna siła spojrzenia Jerzego zwiększa się z każdym dniem. Całe światło, które oświetla go, zbiega się w jednym punkcie. Wie, że najlepszym sposobem zrealizowania się jako człowiek jest zostanie księdzem. Jego serce znowu staje się wrażliwe na Boga. Tak jak za każdym razem, kiedy zmiądzony zostaje kamieniem młyńskim, odnajduje Obecność. Bóg jest Osobą. Jedyńą, która może przywrócić mu ufność. Po pierwsze ufność w siebie: „Dla ciebie przelałem tę właśnie kroplę krwi”. Bóg przywraca mu spokój, pozwala docenić rzeczywiste doznania. Im bardziej czuje się słaby, tym obficie czerpie siłę w niezgłębionej miłości Bożej. Jego zgoda na przystąpienie — poprawia się, użył niewłaściwego słowa, lepiej pasuje oddanie się — a więc jego oddanie się woli Bożej

jest jedyną możliwą odpowiedzią na miłość, której jest przedmiotem. „Tak” mówi się nie tylko sercem, ale całą energią woli, tym wszystkim, co zależy od samego człowieka. Jerzy rozumie, że tutaj tkwi jakaś równowaga, z początku elementarna, jakaś przypieczętowana zgoda, która daje właściwy ton wszystkim poczynaniom serca i umysłu.

Powiedzieć „tak” Bogu to powiedzieć „tak” światu. Ksiądz akceptuje zerwanie ze światem w tej mierze, w jakiej pozwala mu ono nabrać dystansu, daje wizję całościową. Przez kapłaństwo Jerzy nie odwróci się plecami do świata. Oddala się jedynie od niego, by lepiej uchwycić go we wszystkich jego wymiarach.

Litanie skończyły się. Seminarzyści uklękli przed biskupem, który kładzie na nich ręce. Jerzy patrzy na własne dłonie: one także będą miały władzę niewypowiedzianą. Staną się tymi dłońmi księdza, fosforyzującymi wśród nocy dla tych, którzy potrafią je widzieć. Już teraz są one dłońmi księdza, tak bardzo kategoryczne staje się pragnienie kapłaństwa. Widzi je rozpostarte nad chlebem i winem. Kto powiedział, że kapłaństwo pozbawia męczyzną siły? Jakaż męskość równać się może sile, która przemienia wino i chleb w krew i ciało? W krew i ciało samego Boga. Jakiż mocarz może powiedzieć: „Z tego chleba czynię moje ciało, z tego wina moją krew”? I bynajmniej nie ludzkie, nędzne ciało, ale ciało, które żywi ludzi od Filipin po Gibraltar, od Irlandii po Mozambik.

Ksiądz odcięty od świata? Unosi ten świat w gejerze miłości! Ma więc żałować, że nie posiadł kobiety, gdy miłość rozsadza mu serce niby jakąś dobroczynną Hiroszimę, z której promienowanie dociera do najdalszych zakątków ziemi?

Czy mają być martwi ci mężczyźni, których wi-

dział rozciągniętych w prezbiterium? Zaraz, zaraz! Przechodzili przez Morze Czerwone. Opuszczali Egipt. Przebywali drogę od posługiwania do służby. Zrzucali łańcuchy wśród łoskotu żelastwa. Jerzy przyłapuje się na pocieraniu przegubów, jakby chciał zetrzeć z nich znamię. Zrzuca z siebie łańcuchy, które okrywają go jeszcze, czuje, że jest nagi i czysty w chwale odzyskanej wolności.

Jego serce napromieniowane zostało radością tak wielką, że resztę ceremonii widzi jakby w świetlnym obłoku. Śpiewa całą swą duszą, całym ciałem. Raduje się. Wielkimi łykami pije łaskę. Nasiąka nią jak gąbka. Tonie w niej. Widzi się ciągle jako coś nędznego, a jednak wśród przyszłych księży. Nie odróżnia już swoich przyjaciół, stał się jednym z nich. Kapłaństwo ogarnia wszystkie najgłębsze zakątki jego jestestwa. Wszyscy zgromadzeni księża kładą teraz obie dłonie na płask na głowie tego, który został przed chwilą wyświęcony, aby przeniknął go Duch Boży. Mają dłonie biedne, reumatyczne lub mocne i młode. Wszystkie są pełne mocy. Wszystkie są piękne. Wszystkie przekazują Ducha Świętego. Jedne, niematerialne, zaledwie muskają pochylone głowy; inne trwają ciężko, jakby gest fizyczny dorzucał jeszcze coś do łaski, którą przynoszą.

Dokonał się zasadniczy rytuał wyświęcenia. Oto stają się księżmi po wieczne czasy! Istnieje przecież chrzest pragnienia i Jerzy czuje, że otrzymał kapłaństwo pragnienia. Opuścił plac przeznaczony dla pogan. Wstąpił w Święte Świętych razem z tamtymi, tak samo jak tamci tak bratersko złączeni, że kiedy jego przyjaciele otrzymywali szaty kapłańskie, w modlitwie zadawał sobie sercem pytanie, czy nie otrzymuje ich razem z nimi. Odnosił nawet wrażenie, że „jarzmo Pańskie jest słodkie i lekkie”.

Przyłapuje się na tym, że wyciąga dłonie. Jakaś szczególna transpozycja sprawia, że staje się jednym z konsekrowanych. Nie oszalał, wie dobrze, że przez cały czas znajduje się na swoim miejscu, ponieważ ten, którego Bóg wybrał, doznaje za Jego sprawą tak gwałtownego pożądania, Bóg zezwala na takie duchowe zastępstwo. Jerzy czuje, jak po jego dłoniach spływa oliwa, która konsekruje. Dotyka kielicha i pateny, kiedy nowo wyświęceni księża koncelebrują, razem z nimi wypowiada słowa ich pierwszej mszy. Następuje wówczas cud. Wszystkie bariery zostają obalone, nie ma ich już między Jerzym a całą ludzkością. Im bardziej przez gwałtowność swego pragnienia czuje stawanie się księdzem, tym bardziej czuje się zanurzony w ten rozmodlony tłum. Kocha wszystkich miłością czułą i potężną. Jest zawiasem, jest otwartymi drzwiami, jest przebitym bokiem. Poprzez kapłaństwo Bóg dociera do wszystkich. Kocha ich z tą siłą zastępstwa, kompensacji. Będzie nosił na sobie ich nędzę, ich rany, ich grzechy, każdą z ich ran. Nosił będzie ich radość. Będzie jednym z nich, będzie ofiarowywał się Bogu nie jak niewinny płacący za winnych, ale jak grzesznik odkupujący grzeszników.

W momencie konsekracji jego odczucie jest tak gwałtowne, że w jakimś uniesieniu półgłosem wypowiada: „Pewność, pewność!” Wraca do rzeczywistości ze słowami: „Haec quotiescumque feceritis...” W złotym świetle fresku wie, że Chrystus myślał o tej godzinie, którą przeżywa właśnie on, Jerzy Santenac, kiedy wygłasza słowa: „Ilekróć czynić to będziecie, czyńcie to na moją pamiątkę”.

Przyjmuje komunię z rąk Jakuba Tardy, którego czoło przekreśla ciemny kosmyk w stylu Malraux. Patrzą na siebie. Nowy ksiądz podnosząc hostię mówi: „Ciało Chrystusa”. I Jerzy potakuje.

Przedłuża akt łaski. Wymyka się wszelkiemu poczuciu czasu. Przeżywa coś wiecznego. Później dowie się, że symbolem tego jest aureola. Nie zechce nigdy w godzinach osamotnienia, które będzie musiał przeżyć, zdradzić słowami, co otrzymał. Zachowa pewien rodzaj wizji abstrakcyjnej i palącej. Bóg nie przemawia naszym językiem, ale chce, byśmy pamiętali o tych rzeczach, które powiedziane nam zostały nie przy pomocy ludzkich słów. Nowa krew pulsuje w jego żyłach, serce mu pęka. Serce solidne, ale w tej chwili czyste i świeże jak źródło. Serce, które otrzymawszy wszystko, wszystko chce dać.

Ceremonia kończy się, procesja wraca do zakrystii. Jerzy w swej radości przypomina sobie nagle zdanie, które anioł wypowiedział do proroka Eliasza na pustyni: „Wstań, jedz, bo przed tobą długa droga!”

## Rozdział 2

Jerzy odchylił lekko głowę do tyłu. Mrugał oczyma, zanim zatrzymał wzrok na przypiętej do ściany jedną już tylko pineską reprodukcję „Śpiącej Cyganki” wyciętej z „Paris Matchu”. Podeszedł z powrotem do okna, by przyjrzeć się dokładniej obrazkowi z dystansu. Dobre światło. Łagodna szarość tapety przenikała na wydmy i chustę otaczającą ciemną twarz. Z obrazka patrzyła na niego dziwnie Cyganka. Biel zębów między uchylonymi wargami mimo twardości kreski nadawała tej twarzy wzruszającą pogodę. Studiował walory. Zachwycił go księżycowe odblaski na grzywie lwa i na gitarze. Długo kontemplował niematerial-

ne ciało przykryte pasiastą tkaniną jeszcze raz zaskoczony kontrastem między tym ciałem a ogromnymi stopami, ciężkim ramieniem, mocną szyją. Siła i tajemnica kobiecości wyczarowana przez jakąś nieświadomą lub subtelną niezręczność Celnika. Głowa nie zapadała się w poduszkę. Podobnie jak całe ciało, jak ustawione prostopadle do siebie stopy, twarz zdawała się być zawieszona poziomo w przestrzeni.

Jaka to cudowna kompozycja! — powiedział sobie Jerzy. — Cała strona religijna wyrażona jest jedynie przez pogwałcenie prawa ciężenia, przez klarowność księżyca wśród błękitnej nocy pustyni i przez etruską purpurę dzbana na pierwszym planie.

Z tego samego czasopisma wyciął także „Stare panny ze szpitala w Arles” Gauguina, obraz tak lubiany przez Van Gogha. Starannie przypiął reprodukcję nad stołem do pracy. Jaką osobliwą radość wywołała u niego pełna powagi harmonia między błękitem sukni kobiet, wspaniale podkreślonym przez bladą żółtość dłoni, między cynobrem bariereki a modrą wodą na piasku.

Nie istnieją żadne kryteria — myślał Jerzy. — Ale jak wytłumaczyć innym i sobie, czemu jest to piękne? Jak odmierzyć piękno inaczej niż przez radość, jaką daje jego kontemplacja.

Włożył pudełko z pineskami do szuflady stołu, sprzątnął nożyczki i wrzucił ścinki do koszyka. Zapalił machorkowego papierosa. Laurence dała mu dwa kartony playersów kupione w samolocie podczas ostatniego lotu z Brazylii. Nie bez przyjemności częstuje nimi kolegów, ale u niego miodowa woń szlachetnego gatunku tytoniu budziła mdłości. Przypomniał sobie nagle bar przy ulicy Royale, gdzie po raz pierwszy palił gitana po kupieniu garnituru, który założyć miał na uroczy-

stości pogrzebowe dziadka. Główne ścieżki jego powołania oznakowane były drobnymi, precyzyjnymi faktami, zapachami, kolorami. Szamotał się wściekle jak ryba na haczyku. Ostatnie słowo nie zostało jednak powiedziane.

Ktoś zastukał do drzwi.

— To ty, Piotrze? Wejdźże — powiedział otwierając wysokiemu chłopakowi o czarnych, krótko obciętych włosach. Jerzego radowała przyjaźń, jaką okazał mu Piotr Kermorvan. Lubił go za inteligencję, za zrównoważenie, za dobroć, lubił jego spokojną twarz o szarych, lekko skośnych oczach, jego uśmiech, który ukazywał solidne szkliwo zębów, lubił również jego szerokie ramiona. Poprosił, żeby Piotr usiadł i poczęstował go papierosem.

— Ciągle chciałbym przestać palić i za każdym razem ulegam — powiedział Piotr.

— Sprawiedliwy grzeszy siedem razy dziennie.

— Powiedzmy, że grzeszę dwa razy częściej niż sprawiedliwy, będzie tego cała paczka papierosów. Powinienem coś z tym zrobić. Patrz, jest już reszta.

Zgodnie z panującym zwyczajem dwaj seminarzyści, którzy weszli, ubrani byli w szare spodnie i czarne swetry. Ludwik Le Touzé, wysoki, szczupły i blady, miał twarz przypominającą białego Murzyna, kędzierzawe, żółte włosy i wylupiaste oczy. Jakub Lamarque wydawał się przy nim niski, a kontrast podkreślała jeszcze śniada cera, usta jak cięte szablą, orli nos i oczy z agatu lśniące w głębokich oczodołach. Przybysze zajęli dwa wolne krzesła. Jerzy usiadł na łóżku obok Piotra. Ludwik Le Touzé mówił bardzo szybko monotonnym głosem:

— Starajmy się — powiedział — zbytnio nie hałasować. Poprzednim razem zwrócono nam uwa-

gę. Zdaje się, że przeszkodziliśmy spać ojcu Marnec.

— Przeszkodziliśmy spać, jemu? Wolne żarty! — wykrzyknął Jerzy ze śmiechem. — Śpi jak kłoda. Jeśliby pewnej nocy na seminarium spadła bomba, nazajutrz znaleziono by go uśpionego na łące, wyrzuconego tam siłą wybuchu. I dobrze trzeba by nim potrząsnąć, żeby się zbudził. Wiecie, że trzeba nim tarmosić, żeby się obudził!

— Cicho bądź! — rzekł Piotr. — To tylko plotki. Niech będzie, poprzedniego wieczoru nie przeszkodziliśmy spać ojcu Marnec, ale zachowywaliśmy się zbyt hałaśliwie. Ten dar głębokiego snu jest bardzo sympatyczny... Zresztą jak sam ojciec Marnec. To wspaniały facet. Wszystko, co mówi, jest takie bogate i takie żywe! Nie sądzę, żeby inny wykładowca potrafił tak jak on zmusić nas do podobnego wgryzienia się w Pismo święte. Uwypukla tekst, nadaje mu przejmującą aktualność. Każde słowo w jego ustach nabiera nowego życia. Cóż za poeta!

Ludwik Le Touzé przerwał:

— Nie zgadzam się. Zadaję sobie pytanie, dokąd nas ta metoda zaprowadzi. Do diabła, istnieje przecież jakaś tradycja! Ja wołałem tysiąc razy ojca Le Becque, który ją szanował. Przy nim wszystko było solidne. Pod pretekstem nowinek prowadzi się nas po śliskich drogach. Ojciec Marnec zbyt poufale żongluje tekstami. O sprawach Boga nie mówi się słowami zwykłymi. Można doprawdy oczekiwać wszystkiego, odkąd zapanował pogląd, że lepiej jest zwracać się do Boga przez „ty” i w dodatku fatalną francuszczyzną! „Przyjdź królestwo Twoje”, uszy mi puchną. A wygodzicie się na tę formę „Ojcze Nasz”?

Jakub Lemarque podskoczył.

— Czy godzę się? Jeszcze jak! Daje poczucie



wspólnoty. Jaką wagę ma ten brak harmonii, który drażni uszy zbyt delikatne, skoro przez tę nową wersję „Ojciec Nasz” możemy używać ściśle tej samej formuły, co oddzieleni od nas bracia?

Jerzy wtrącił się:

— Wolałbym, żebyśmy mówili o wykładach z Pisma świętego.

— Ludwik postawił ważny problem — podjął Jakub. — Język, którego używamy, by nieść słowo Chrystusowe, powinien być językiem człowieka współczesnego. Nadeszła pora, żeby stał się zrozumiały. Patrz, wchodzisz do mieszkania robotnika...

— No cóż, o ile wiem, nie mówisz po łacinie?

— Nie, drogi Ludwiku, ale mówię językiem Bossueta albo prawie. No więc, w mieszkaniu robotniczym...

— No, no, znowu dosiadasz swojego konika. Widzę, do czego zmierzasz — powiedział Ludwik. — Ale przecież robotnicy nie stanowią całego naszego apostołatu. Zbyt jesteś, Jakubie, skoncentrowany na jednym problemie. Błagam, bez opisu nor, bez przemówień o proletariacie! Powinniśmy być całkowicie dla wszystkich.

— Bardzo słusznie, ale zasadę tę interpretujesz zbyt dowolnie. Wolisz nie zauważać problemów świata pracy, do którego ja należę. Czy ty, syn notariusza, wiesz, co to znaczy spać w dziesięć osób w jednej izbie, często w czwórkę w jednym łóżku i nie jeść do syta?

— Nie przesadzajmy!

Piotr i Jerzy nie odezwali się ani słowem. Przyzwyczaili się już do starć tych dwóch „ekstremistów”. Błada twarz Ludwika zaróżowiła się w ogniu dyskusji. Jakub pochylał głowę niby koziół nastawiający rogi, przygotowywał się do riposty.

— Ludwiku — powiedział. — Szukamy wspól-

nie prawdy i nie trzeba tego się bać. Staramy się nauczyć słowa Bożego, by zanieść je ludziom, ale często czuję wstyd, bo podaję je tym ludziom używając wyrażen, do których nie przywykli. Od zbyt dawna owijaliśmy przeznaczone dla nich słowo Boże w język przestarzały, jak owija się w papier dawne szaty uroczyste. Jakże ludzie mają je rozumieć? Ich dzieci umierają z zimna w wycofanym z użytku wagonie kolejowym, podczas gdy ich chlebodawcy opychają się pasztetem z gęsich wątróbek w nocnych knajpach, by nazajutrz pójść na mszę i przyjąć komunię.

— Przesadzasz, jak zawsze generalizujesz — powiedział Ludwik Le Touzé.

Piotr wtrącił się:

— Są problemy, których nie możemy nie zauważać. Jakże moglibyśmy mówić o Bogu uchylając się jednocześnie przed wymogami, jakie stawia przed nami kapłaństwo? Cały problem sprowadza się do tego, kim będziemy my sami. Nie należymy do świata. Skoro musimy się usunąć, to po to, by żyć w Bogu intymniej, głębiej. Uświęcajmy siebie samych, by rzucić się w wir utarczki zabezpieczeni solidną zbroją.

— Słusznie — podjął Jakub — ale świat nie czeka na nas. Po prostu jest, wraz ze swoim bagażem cierpienia, radości, prawdy i obłędu. Jesteśmy uczniami naszego Pana, których wysyłał przed sobą „po dwóch”, by mówili, a przede wszystkim, by byli słyszani. Jakiegoż języka mieli używać, jeśli nie języka zrozumiałego dla ludzi. Nasze zachowanie to także język. Dlatego właśnie bez przerwy będę powtarzał: „Wniknijmy w rzeczywistość, wniknijmy w rzeczywistość”.

— Uzgodnijmy najpierw, czym jest rzeczywistość — powiedział Jerzy. — Dla mnie jest nią

środowisko, w którym żyjemy. Istnieje psychologia środowiska. To bardzo ważne.

— Zgoda — przyznał Jakub. — Ale dwóch ludzi na trzech umiera z głodu. „Dobrze myślący” wołają o tym nie wiedzieć. Powiadają, że miłość dla biednych prowadzi do komunizmu, że robotnicy są nieszczęśliwi dlatego tylko, iż uświadomiliśmy im ich nędzę. Cytują Karola Marksa, mówią o „obronie wartości duchowych jako jedynie istotnych”, gdyż ich słownik jest równie ubogi jak znaczenia, które kryje. Chcą, żeby księża „nie zajmowali się konkretnymi”. Dobrze sobie! Z jednej strony Bóg, z drugiej życie innego człowieka. Dobrze myślący potępiają wszystko, co naruszyć mogłoby porządek, z którego dobrodziejstw korzystają. Nierówność ras i nierówność klasowa? Czyż Bóg nie chciał tej nierówności — pytają. — On, który stworzył ludzi białych, czarnych i żółtych? Czyż nie powiedział również: „Ubogich zawsze mieć będziecie pośród siebie”?

— Uważam — powiedział Jerzy — że sprawy są bardziej skomplikowane, niż mniema Jakub. Co o tym myślicie?

Teraz Piotr zabrał głos:

— A czy my w seminarium nie wyznajemy różnych tendencji? Niektórzy twierdzą, że sprawą najistotniejszą jest obecność księdza wśród ludzi. Wierzę w to mocno. Ale w jaki sposób powinna się ta obecność przejawiać?

— Powinniśmy znacznie bardziej żyć wśród ludzi — odpowiedział z ożywieniem Jakub. — I unikać przepaści, jaką powoduje otrzymane w zamknięciu wykształcenie. W seminarium zbyt odajemy się spekulacjom myślowym. Studia nie przygotowują nas do konkretnych sytuacji.

— Wolisz, żeby pozwolono nam je rozwiązywać bez zdobycia solidnych podstaw?

— Nic nie zastąpi osobistego doświadczenia.

— Trudno je zdobyć. I właśnie ci, którym chcemy pomóc, płaciliby koszta naszych doświadczeń. Przypominasz sobie klęskę pierwszych prób księży-robotników?

— No nie, pozwól, że ci przerwę — powiedział Jakub. — Równie dobrze jak ja znasz przyczyny fiaska.

— Oczywiście nie dokonano na samym początku niezbędnej selekcji. Wszyscy byli zgodni. Kościół nie pomyślał o przygotowaniu księży, którzy zaangażowali się w tę przygodę. Szlachetność nie rozwiązuje niestety wszystkich problemów! Ale doświadczenia wybiegające daleko w przód są konieczne. Jeśli zaangażowaliśmy się zbyt, trzeba zawrócić. Ale rozpoznaliśmy teren. Znamy ryzyko i możemy przygotować się do powrotu stosowniej uzbrojeni. Ksiądz jest człowiekiem, który idzie w awangardzie. Nie pozwala zamknąć się w żadnym getcie.

— Jeśli o to chodzi, zgadzam się bez zastrzeżeń! — rzucił Jakub. — Ale istnieje nie tylko getto bogatych i getto biednych. Istnieje także getto spekulacji intelektualnej.

— W każdym razie nie w seminarium. Usunięto linię demarkacyjną, która odizolowała książki od życia. Dla nas te dwie sprawy są ściśle ze sobą powiązane, uzależnione od siebie, żywią się nawzajem.

Jakub, który powstrzymywał się z trudem, przerwał Piotrowi:

— Twierdzisz, że wszystko jest jedynie sprawą dawkowania. Ale trzeba by wiedzieć, jaką miarą dokonywać tego dawkowania! Odmawiamy wzięcia na siebie odpowiedzialności i preparujemy sobie czyste sumienie. Zadowolamy się szybkim rzutem oka na nędzę ludzką, bo chcemy dostrzec tę jedynie, której pomoc możemy nie przekraczając

granic naszego duchowego komfortu. Ale prawdziwa, głęboka, rozdzierająca nędza ludzi, ta, która wstrząsnęłaby Błogosławieństwami? Nie wchodzi w rachubę! Gdzie jest wśród nas ten, który chce cierpieć prześladowania za sprawę sprawiedliwości, który chce być głodny, spragniony, obrzucany obelgami? Który chce wykuć sobie czyste serce? Boimy się go tak, jak dziecko boi się nocy. No więc szybko, żeby niczego nie zobaczyć, niczego nie usłyszeć, dajemy nurka w książczydła! I dalej za Platona, za Arystotelesa, świętego Tomasza, Orygenesisa i im podobnych!

W miarę jak mówił, ożywiał się, oczy mu błyszczały, obszerną gestykulacją podkreślał słowa; w jego głosie słychać było ostre tony.

Zastukano do drzwi. Siostra Sainte-Claire weszła nie czekając na odpowiedź.

— No tak, bardzo ładnie, moi panowie! Można by powiedzieć, walka kogutów. Macie szczęście, że dziś wieczorem jest zebranie ojców duchowych i że nikt nie przyszedł przywołać was do porządku. Nie mam tu pełnić roli policjanta, ale mimo wszystko! Mimo wszystko! Przechodziłam korytarzem i usłyszałam was.

— Siostrze, przysyła nam siostrę Najświętsza Panna — powiedział Piotr. — Proszę usiąść, wszystko siostrze wyjaśnimy.

— Nie macie nic do wyjaśniania poza tym, że jak na seminarzystów zachowujecie się o tak późnej porze dosyć swobodnie! Palicie jak żołdacy, walicie pięścią.

— Siostrze, siostra przesadza.

— Moi kochani, chciałabym widzieć was w seminarium trzydzieści lat temu!

Piotr był bardzo rozbawiony, lubił bezpośredni sposób mówienia starej zakonnicy.

— Proszę siostry — powiedział. — Nie mogliś-

my być w seminarium trzydzieści lat temu. Dopiero dziesięć lat później przyszliśmy na świat. Proszę nie mówić, że nasza wędzarnia siostrę przeraża. Niejedno musiała siostra widzieć w czasach Ruchu Oporu, a znakomicie siostra się dostosowała.

Ta wysoka, dosyć silna kobieta cieszyła się w seminarium powszechnym poważaniem. Nie lubiła opowiadać o latach okupacji, kiedy to pielęgnowała lotników angielskich ukrytych po fermach, a jeszcze mniej o swojej bohaterskiej postawie podczas walk pod Saint-Marcel. Miała świeżą cerę i roześmiane, szare oczy.

— Być może partyzanci palili tyle co wy — powiedziała ciągle jeszcze nastroszona — ale przynajmniej rozmawiali po cichu. Im bardziej popuszczą się wam lejców, tym mocniej je ciągniecie. W dawnych czasach już za te dzisiejsze hałasy zostalibyście wydalen. Ale obecnie przy tych wszystkich nowych wymysłach wydaje wam się, że możecie zachowywać się tak jak rekruci. Lekka przesada! Lepiej byłoby, gdybyście w spokoju poszli spać.

— Oczywiście, proszę siostry — powiedział Jerzy. — Ale proszę zostać z nami jeszcze pięć minut i opowiedzieć, jak dawniej żyło się w seminarium. Będziemy mogli nad tym pomyśleć. Czy to prawda, że było się zamkniętym jak w internacie?

— Wicie równie dobrze jak ja. Seminarzyści w owych czasach byli pokorną trzódką. Wstawali bardzo wcześnie, parami i w milczeniu szli do kaplicy. W korytarzach słychać było przelatującą muchę. W dni wolne nie wychodzili bandą, jak się komu podobało w prawo, w lewo, każdy w swoją stronę, jak wy robicie to teraz. Trzeba było widzieć ich na ulicy, kiedy szli przez miasto,

dwójkami, w kościelnych kapeluszach, w sutannach z wypustką. Rozmawiali jedynie podczas rekreacji. A wy dyskutujecie bez końca! Można zobaczyć was wśród profesorów, jakbyście byli ich kolegami. Wtedy było inaczej. Przypominam sobie pewnego profesora, który został później biskupem. Młodszy od innych, dosyć wyczulony na nowinki, wbił sobie do głowy, że będzie grał z seminarzystami w piłkę. Co to była za historia! Brakowało tylko, żeby odmawiano nowennę do Ducha Świętego, zanim udzielono mu zezwolenia. Do licha, taki pomysł to była nowość. No tak, seminarzyści uprawiali sport w sutannach, a kiedy grał z nimi profesor, zaledwie ośmielali się dotykać piłki. To jasne, że czasy się zmieniły! Nic nie mówię. Ale wy idziecie na wykłady, jak komu wygodnie, wychodzicie sami i bez sutanny. Nie ja was będę oczywiście sądzić. Chciałam wam tylko powiedzieć, żebyście się uspokoili i poszli spać.

Kiedy siostra wyszła, Jerzy śmiejąc się powiedział sztucznie napsuszonym tonem:

— Dziękujemy Bogu, moi bracia, że nie mamy o trzydzieści lat więcej. Wszyscy zostalibyśmy wyrzuceni.

— Nie zgadzam się, staruszk — powiedział Piotr. — Wszyscy byśmy przetrwali. Ale siostra Sainte-Claire ma rację. Trzeba mówić ciszej i spokojniej. Nie hałasujcie wracając do pokojów. Jerzy i ja musimy jutro wstać wcześniej, żeby przygotować wykłady przed wyjazdem do Plougarec, gdzie przez trzy dni pomagać będziemy proboszczowi w prowadzeniu rekolekcji przygotowujących do odnowy obietnic chrztu. Biedny Jerzy zasypia na stojąco. Dobranoc, stary, idziemy.

Kiedy Jerzy znalazł się sam, poczuł dziwne zmęczenie. Otworzył okno. Wiosenna noc była chłodna

i lodowate powietrze szybko rozproszyło zapach tytoniu. Jerzy opróżnił popielniczki do plastikowego woreczka specjalnie służącego do tego celu. Bardzo dbał o porządek, z zamiłowania i z poczucia dyscypliny. Rozebrał się bez pośpiechu, złożył starannie spodnie, by nie zagnieść kantów. W piżamie ukląkł przy łóżku i zaczął odmawiać pacierz. Był coraz bardziej zmęczony i bezskutecznie starał się stanąć przed Bogiem. Słowa, do których przywykł, wydały mu się martwe. Zmusił się do wysiłku, wstał, pochodził wzdłuż i w poprzek pokoju, ukląkł z powrotem. Z twarzą w dłoniach mówił:

— Boże, wybacz mi, jestem dzisiaj głupcem. Nic nie mam Ci do powiedzenia, a przecież ciężko mi na sercu.

Czuł, że znalazł się pod ślepą ścianą i szuka występu, o który mógłby zaczepić palce. Zaczął sumiennie słowo po słowie odmawiać tradycyjne modlitwy, starannie wymawiać każdą sylabę, ale słowa pozostały próżne. Przyłapał się na wzruszaniu ramionami. Wtedy zniecierpliwiony rzucił się na łóżko. Po kilku minutach poczuł chłód, zamknął okno, nalał wody do szklanki, której używał do mycia zębów, i zażył tabletkę aspiryny. Zgasił lampkę nocną, naciągnął po szyję kołdrę i czekał na sen, który nie nadchodził.

Był zadowolony, że tego wieczoru jak zwykle koledzy zebrali się w jego pokoju. Jakub wsiadł na swego konika. Jerzy zazdrościł mu tej gorączki, tego płomiennego przekonania. On także czuł, że dotyczy go wszelka ludzka nędza. Nie lubił Ludwika tak demonstracyjnie głoszącego starodawne poglądy, a który zawsze okazywał się w końcu straszliwym, wzbogaconym drobnomieszczaninem. Jerzy wiedział, że za każdym razem, kiedy myśli o Ludwiku, sam daleki jest bardzo



od sprawiedliwości i miłosierdzia. Bez względu na to jak się sprawy ułożą, musi bronić się przed tą małodusznością. To zdanie: „Bez względu na to jak się sprawy ułożą” stało się szczególnie w ostatnich tygodniach problemem nękającym go bez przerwy. Pomówię o tym z Piotrem, obiecał sobie. Piotr wydawał mu się zawsze wyspą bezpieczeństwa. Jutro porozmawiają szczerze. To jedyne wyjście. Długo myślał o planowanej rozmowie, ale bał się jej i usnął dopiero o świcie.

### Rozdział 3

Laurence wspaniałomyślnie podarowała Jerzemu swojego citroëna 2 CV. Ojciec przełożony zgodził się, by Jerzy jeździł samochodem do parafii, gdzie zgodnie z panującym zwyczajem seminarzyści pomagają od czasu do czasu przeciążonym pracą wikariuszom. Z początku Santenac lubił bardzo te duszpasterskie doświadczenia, ale od kilku miesięcy czuł się już nimi zmęczony. Wiedział, że nie zostanie wysłany do Rzymu, by słuchać wykładów na Uniwersytecie Gregoriańskim przeznaczonym dla najzdolniejszych uczniów. Patrzył z lękiem na przyszłe lata, kiedy będzie pleśniał jako wikary w jakiejś małej parafii, spowiadając stare kobiety i ucząc religii nieznośne dzieci, pod rozkazami proboszcza, którego wyobrażał sobie jako człowieka tępego i zrutynizowanego. Laurence umiała kierować swoją barką. Poznawszy na jakimś wieczorku wydawcę, Eloi Marqueta, manewrowała w ten sposób, że zaproponował jej, by została na trzy miesiące jego sekretarką. Tak dobrze wywiązała się ze swoich obowiązków, że ofiarował jej na-

stępnie stanowisko, jakiego nie zapewniłby jej żaden stopień uniwersytecki.

Marquet zrewolucjonizował francuską działalność wydawniczą stosując technikę amerykańską. Stare, solidne firmy nie uważały go na początku za niebezpiecznego rywala. Zarabiał pieniądze. Dysponował niezliczoną rzeszą autorów mających wielkie nakłady. „To literatura komercyjna” — mówiono. Dysponując wkrótce ogromnymi kapitałami, w przypadku dzieł wysokiej rangi zastosował te same metody rozpowszechniania, jakie przyniosły sukces autorom przeciętnym, bo tacy tylko się do niego początkowo zwracali. W pierwszym okresie krytyka nie poświęcała mu ani liniiki. Udawała długo, że nie dostrzega niczego, co wychodzi z jego drukarni. Ale „fakt Marquet” istniał. Nie można było pominąć go milczeniem. Dzięki korzystnym dla autorów umowom ściągnął do siebie kolejno wszystkie wielkie nazwiska. Odkupywał wydawnictwa, których podstawy uległy zachwianiu. Był na tyle inteligentny, że pozostawiał im pozorną niezależność. Miał piękną żonę, która umiała wydawać przyjęcia. Nadszedł czas, kiedy zaproszenie do nich na koktajl stało się warunkiem renomy.

Laurence przyjmowała autorów. Jednym rzutem oka rozpoznawała talent. Umiała określić, czy kilka świetnych stroniczek rękopisu pozwala żywić nadzieję na trwałą sukces, czy też jest to słomiany ogień. Towarzyszyła Marquetowi na targach frankfurckich i przygotowała korzystne umowy. Była z nim w Nowym Jorku, w Montrealu. Zawsze dyskretna, pełna intuicji, skuteczna. W najwyższym stopniu opanowała sztukę rozróżniania rzeczy do mówienia od rzeczy do przemilczenia. Natalia Marquet była do niej autentycznie przywiązana. Laurence miała więc karierę zapewnioną.

Ponieważ sama jeździ teraz sportowym wozem, mogła dać citroëna bratu.

Jerzy zirytował się, kiedy Piotr powiedział:

— Kapitalna sprawa ten samochód. Bardzo ułatwia nam życie. Autobusy jeżdżące do Plou-garec są takie niewygodne! Przyjemnie pracować z tobą.

— Mnie też, staruszk.

Jerzy był pewny jedynie głębokiego i pełnego ufności przywiązania do Piotra Kermervana. To uczucie było w jego oczach jakąś siłą w tej bolesnej niepewności, w której się miotał. Miał wystarczające doświadczenie, jeśli chodzi o życie duchowe, żeby wiedzieć, że Bóg zabawia się czasem z ludźmi. Zabawia się? Na pewno nie! Człowiek odnosi wszystko do siebie, kiedy uzyskać chce miarę Boga. Jerzy, czy chciał tego, czy nie, był zabawką w Jego ręku. Nie zapomniał jednak płomiennych godzin, kiedy Bóg wyrąbywał sobie drogę w jego duszy. Był to jak pożar lasu, kiedy drzewa stają się pochodniami. Przeżył także okresy dającej spokój czułości, kiedy Bóg przemawiał do niego jak do przyjaciela. Teraz jest już tylko szczątkiem, który fale rzucały o skały. Miesiącami pożerało go pragnienie spraw Boskich. Wiedział, że jest do nich stworzony. Swoje ludzkie trwanie uważał za okres dojrzewania duszy. Rodzaj powolnej roboty, która miała uczynić duszę zdolną do miłości Boga. Wszystko wydawało mu się dobre, gdy chodziło o porzucenie starej skóry, jak langusta porzuca skorupę. Cierpiał. Bóg nie zażądał, by wyrwał sobie z piersi serce. Tym samym sercem kocha się Boga i ludzi. Jakże był rozdarty, kiedy ojciec wrócił z wysp Kerguelena poważnie chory. „Natychmiastowy powrót do kraju ze względu na stan zdrowia”, taka była oficjalna formuła. Chodziło o boczny zawał mięśnia

sercowego, skomplikowany przez chorobowe zmiany aorty. Agnieszka wróciła z małym Arnoldem do Normandii. Laurence wędrowała po Peloponezie. Wśród złowrogiego krajobrazu sąsiedztwa śmierci Jerzy czuł się obco. Kochał wówczas Boga zazdrośnie, namiętnie. Popadał w egzaltację. Myślał, jak cała rodzina, że ojciec umrze. Cierpiał. Było to nieuniknione. Ale cierpienie nie zaciemniało niewypowiedzianej radości przepelniającej jego duszę. Jak można zatem mówić o nieszczęściu. Nieszczęście jest wtedy, kiedy człowiek cierpi, a Bóg jest nieobecny. Otóż Bóg był, i to tak bardzo obecny, że Jerzy dotykał Go ręką. Nie, to wyrażenie nie jest właściwe. W gruncie rzeczy czuł, że znajduje się w ręku Boga. Mogłoby to się wydać komunałem dla kogoś, kto tego nie doznał. A przecież chodzi o coś rzeczywistego. Wszystkie doświadczenia Jerzego można było znaleźć w świętych tekstach. Biblia została napisana po to właśnie, żeby ludzie w ciągu wieków nie gubili się w niezrozumiałym dialogu, jaki prowadzi z nimi Bóg. Książka odnosi tym większy sukces, im bardziej czytelnik identyfikuje się z jej bohaterami. Nie bez racji Biblia jest bestsellerem. Opowiada o minionych, obecnych i przyszłych sprawach ludzkości, a każdy odnajduje tam swój szlak. Kiedy ojciec Marnec komentował 33 rozdział Księgi Wyjścia, Jerzemu wydawało się, że słyszy własną, osobistą historię. Czy najlepszy nawet egzegeta mógłby nauczyć go tego, czego by jeszcze nie wiedział? Jak Mojżesz Jerzy powiedział Bogu: „Okaz mi swoją chwałę!” Czemuż by nie miał tego powiedzieć, skoro wszystko prowadziło go ku temu największemu z pragnień? Jerzy przypomniał sobie dokładnie moment, kiedy to nastąpiło. Dwa dni po powrocie ojca wezwano z Paryża na konsultację kardiologa. Po zbadaniu

chorego matka Jerzego zaprosiła specjalistę do wielkiego salonu Kerdouarec'h. Siedząc za kierownicą swojego nędznego 2 CV widział znowu matkę ubraną w białą suknię z naszyjnikiem z nefrytów. Robiła wrażenie spokojnej, może nawet za bardzo. Kardiolog powiedział, że sytuacja jest poważna i że nie może wypowiedzieć się przed upływem krytycznego okresu pięciu lub sześciu dni. W tym momencie Jerzy zbliżył się do matki i położył dłoń na jej ramieniu. Czuł przez tkaninę ciepło ciała. Anna Santenac wyswobodziła się, chciała zachować zimną krew. Ale Jerzy uchwycił jej spojrzenie zranionej łani.

Poszedł potem do kuchni, żeby natłuc lodu i napełnić nim termofor z czerwonej gumy, który kładziono ojcu na piersiach. O niczym innym nie chciał myśleć, tłukł w miarę możliwości dokładnie kawałki lodu. Klęcząc na posadzce kuchni drobnymi uderzeniami wbijał młotek o żelaznym trzonku w wielki blok, którego chłód parzył dłonie. Odrywał od tego bloku oszronione odłamki, które wkładał do termoforu. Kiedy go napełnił, składał narzędzia, ścierał wodę z podłogi i szedł na górę do pokoju ojca. Kapitan leżał z zamkniętymi oczami, oparty na stosie poduszek. Mimo półmroku, w którym pogrążony był pokój, Jerzego zaskakiwała bladość chorego. Odwinął kołdrę i rozpiął bluzę pizamy, by położyć termofor na włochatej piersi. Ojciec otworzył oczy, zdobył się na żalospny uśmiech i znowu zasnął. Żeby zapobiec powtórnemu atakowi, utrzymywano go przy pomocy środków nasennych w stanie półsnu. Jerzy usiadł w fotelu stojącym przy łóżku i długo przyglądał się zbolątej twarzy, ustom wykrzywionym w gorzkim grymasie, czarnemu kosmykowi, który pot przyklejał do czoła. Kapitan miał czterdzieści pięć lat. Podczas całej kariery zawo-

dowej nie przechorował ani jednego dnia. Nigdy nie zdradzał oznak zmęczenia lub słabości. I nagle Jerzy przypomniał sobie tę tragiczną twarz, kiedy na zakotwiczonej w Groix „Błyskawicy” ojciec wkładał gruby marynarski sweter. I jakimż był głupcem wierząc wtedy, że marynarza dręczy nie wiadomo jakie potworne wspomnienie z Ruchu Oporu!

A teraz pewnie umrze. Jerzy przypomniał sobie, co odczuwał przy ulicy de Grenelle podczas ostatnich chwil generała de Kerdouarec'h. Śmierć, którą napotykał znowu na swojej drodze, miała teraz zupełnie inną postać. Szczęśliwie wyrósł z tego, co niegdyś z lubością nazywał „teologią przerażenia”, a co sprawiło, że uczepił się Boga niby kamizelki ratunkowej. Nie miał pewności, czy ojciec umrze. Kardiolog dawał jednak pewną nadzieję. Jerzy chciał modlić się za wyzdrowienie ojca, o to, by wyzbył się trwogi przed śmiercią. Ale czemu mówić o trwodze przed śmiercią, skoro życie jest szlakiem prowadzącym duszę do Boga, a śmierć oznacza jedynie spotkanie Boga? Stańc w końcu „twarzą w twarz”, o co zabiegamy przez całe życie.

Jerzy dodał gwałtownie gazu, żeby wyprzedzić ciężarówkę, która pod górę dostała zadyszki. Piotr nic nie mówił. Dobrze się składało, gdyż Jerzy niby na film patrzył na to, co wyryło się w nim, kiedy siedział przy ojcu. Czerwone zasłony łagodziły światło, które czepiało się jednak mosiądzów starej komody, odbijało w łyżeczce, tkwiącej w filiżance na nocnym stoliku, pieściło niezdatne do niczego dłonie ułożone wzdłuż ciała na pledzie słomianego koloru. Jerzy miał wrażenie, że znajduje się na pustyni. Nie była to pustynia smutna i jałowa, ale święta góra, a on stał przy boku Mojżesza. W szczerbach ochrowych skał widział

skrawek solidnego błękitu synajskiego nieba i widział cień Mojżesza leżący na piasku. Mojżesz przemawiał skąpany światłem. I zwracał się do tego światła. Jerzy był tam niby portret fundatora na obrazie bizantyńskiego malarza. Kilka kolorowych pociągnięć, pacnięć, które wiązały niewypowiedziane z codziennym. Ale Jerzy siedząc przy ojcu patrzył nie na obraz: dostrzegał najistotniejszą rzeczywistość. Słyszał, jak Mojżesz mówi do Boga: „Okaz mi swoją chwałę”, a Bóg odpowiadał jakby z żalem: „Nie można ujrzeć Boga i pozostać przy życiu”. I ponieważ Mojżesz nalegał szczególnie zuchwale, Bóg ustąpił pragnieniu człowieka i powiedział mu: „Skryj się w rozpadlinie skały i położę moją rękę na tobie, aż przejdę. A gdy cofnę rękę, ujrzysz mnie z tyłu”. Jerzy stawał się Mojżeszem skulonym w pęknięciu skały, czuł ciepło Boskiej dłoni. Rozżarzała go ona do białości. Był naprawdę „synem światła”. Potem mocna dłoń Boga niby pijawka uczepiona skalnej ściany oderwała się. Jerzy olśniony patrzył, jak oddala się wielki cień Boski, cień rozświetlający dzieło stworzenia. „Ujrzysz mnie z tyłu” — powiedział Bóg. To znaczy będziesz szedł za mną, zagubiony, szukając mojego cienia, który będzie twoim światłem. W tym momencie Jerzy wiedział naprawdę, że ma powołanie. To znaczy, że całe jego życie będzie marszem w tym świetlnym cieniu, który widział na piasku. Wiedział, że powoli stopi się z nim w jedno i że tym właśnie jest kapłaństwo.

Spojrzał na ojca i zaniepokoił go skurcz twarzy. Zobaczył, że kapitan podnosi dłoń do piersi, jakby się dusił. Chłopak zbliżył się, wziął z aluminiowej tubki małą, czerwoną pastylkę i wsuwając ramię pod kark chorego dał mu lekarstwo i wodę do popicia. Po kilku sekundach hałaśliwy oddech

uspokoił się, bolesna twarz odprężyła. Jerzy zatrzymał dłoń ojca w swojej, jakby nawzajem przekazywali sobie życie. Nigdy nie kochał ojca tak bardzo jak w tym momencie. Stał się mężczyzną, którego przeznaczenie jest już raz na zawsze ustalone. Podobnie jak przeznaczenie ojca, a nawet jeszcze bardziej. Co za znaczenie ma fakt, że Jerzy „nie nadaje się do marynarki”? Służba w marynarce jest lichym sposobem naśladowania tak podziwianego ojca. Kapitan już wkrótce będzie kontemplował oblicze Boga. Całe życie Jerzego będzie od tej chwili skupione na tym poszukiwaniu. Codziennie będzie mówił: „Panie, okaż mi swoją chwałę!” I z każdym dniem będzie lepiej rozumiał, co te słowa oznaczają.

Ojciec nie umarł. Ataki następowały po sobie. Przetrzymał je wszystkie, tracąc przy każdym trochę siły. I oto teraz jest biednym człowiekiem, straszliwie pomniejszonym. Dla Jerzego dramat był jeszcze bardziej przerażający. Nie tylko nie dostrzegał już na dziele stworzenia tego wielkiego cienia Boga, ale chwilami jego poszukiwania wydawały mu się próżne. Dostyc miał już udzielania Bogu kredytu. Uważał, że wyrwał go z gleby wichur Zielonych Świątek, by podsycił ogień płonącego stosu, i że jest jedynie drzewem powalonym przez złą burzę, butwiejącym w bagnie. Woda, z której jego korzenie czerpały niegdyś soki, niszczyła korę, przenikała włókna łyka, by dokończyć dzieła zniszczenia. Jerzy skręcił sobie kark w przygodzie, do której nie dorósł.

Najgorsze, że zamykał się w milczeniu. Przedtem dokonywać musiał wysiłku, by powściągnąć radość, która wypełniała mu serce. Teraz to samo serce było tak nędzne, że prawie wstydział się mówienia tego, co się w nim działo. Dbał nadal o pozory. Mówił sobie czasem, że Bóg wymierza



całą cierpliwość jego umysłu i serca i że pomoże mu wyjść z tunelu. Kiedy indziej znowu zadawał sobie pytanie, czy Bóg istnieje naprawdę. Potem odzyskiwał pewność. Wątpliwości dotyczące wiary są klasycznym etapem życia duchowego. Nie chciał nadawać im zbyt wielkiego znaczenia ubierając je w słowa. Dusił się.

Piotr powiedział:

— Przy pierwszym rozgałęzieniu skreślisz w kierunku Pont-Keroc'h.

Jerzy nacisnął gwałtownie hamulec.

— Co ty pleciesz? Dopiero po minięciu Penuen skręcamy w lewo.

— Ależ nie. Pokażę ci mapę.

— Jesteś pewny tego, co mówisz? W gruncie rzeczy jest mi wszystko jedno. Jestem zmęczony, źle spałem.

— Chcesz, żebym usiadł za kierownicą?

— Nie, nie jest jeszcze tak źle. Ale przez całą noc nie zmrużyłem oka. Nasza wczorajsza dyskusja była godna pożałowania, irytowała mnie. Ani rusz nie można było dojść do ładu z Ludwikiem, który okopał się na pozycjach konformistycznych, ani z Jakubem, który jest taki rozegzaltowany.

— Szkoda, że nie rozmawialiśmy o wykładzie ojca Marneca.

— Bo ja wiem, czy to ma jakieś znaczenie...

— Ale przecież wzięły cię jednak wykłady z Pisma świętego!

— Marneć ma bardzo szczególny sposób dokonywania egzegezy Pisma.

— Uważasz, że to źle? Przypomnij sobie tego biednego ojca Le Becque, ten jego konwencjonalizm. „Orygenes powiadał to, Atanazy owo, Chryzostom uważał, że...” Miał talent wybierania rzeczy pozbawionych wyrazistości. Podczas gdy Marneć szkicuje przede wszystkim plan ogólny. Jego

ostatni wykład poświęcony Jeremiaszowi był wspaniałą. Ten opis pustynnej równiny, która rozciąga się aż do góry Efraim i klifów Jordanii, gdzie prorok spędził dzieciństwo — cóż za poemat! I te cytaty! Przejmujące obrazy z dzieciństwa proroka. Naprawdę potrafi nas wciągnąć. Daje nam oczy, którymi możemy widzieć Jeremiasza, i uszy, którymi możemy go słyszeć. Są tacy, którzy uważać będą, że sam tekst proroka wystarczy. To nie takie pewne. Chłop, jak ja odnajduje dzięki ojcu Marneć w prostym i chropowatym stylu Jeremiasza całe wiejskie życie człowieka wrażliwego na przyrodę równin Samarii. Miał duszę samotnika, która najlepiej czuje się w spokoju i ciszy. A najbardziej lubię, kiedy Marneć wyjawia podstępny sposób, w jaki Jahwe objawił się Jeremiaszowi „prawie jak powiernik”. Podczas całego wykładu podkreślał teksty opisujące psychikę i zachowanie proroka. Wyjaśnił sam rozdzierającą walkę, jaką młody, nieśmiały i usuwający się w cień człowiek toczył z samym sobą, żeby przyjąć przerażającą misję, którą Bóg mu powierzył. A jego przesadna i subtelna uczciwość w interpretowaniu słów Bożych!

— Piotrze, czy mogę rozmawiać z tobą szczerze? No więc, zmień płytę! Twój entuzjazm irytuje mnie. W seminarium starają się nam przypodobać, pracujemy na zbyt wysokich obrotach. Wprowadzają nas na wyżyny po to tylko, by całe nasze życie było potem poświęcone spowiadaniu starych bigotek lub, jak dzisiejszego popołudnia, zmuszaniu bandy smarkaczy do powtarzania, że cztery ostateczne cele człowieka to śmierć, sąd ostateczny, raj lub piekło. Daj mi, jeśli możesz, papierosa i mówmy o czym innym.

Piotr patrzył na zaciętą i naprężoną twarz Jerzego. Stał w gigantycznym korku. Wszystkie sa-

mochody zatrzymały się. Z tyłu stanął jaguar, z przodu ciężarówka z różowymi, tłusciutkimi prosiętami, które czochrały zady o pręty klatki. W końcu droga była wolna. Jaguar prowadzony przez dziewczynę w jasnozielonej chustce na głowie skoczył do przodu. 2 CV dostawał zadyszki jadąc za ciężarówką. Mżyło, szosa stała się śliska i przypominający metronom dźwięk wycieraczek doprowadzał Jerzego do rozpacz. Mruknął przez zęby:

— Ciekawe, kiedy przy tej szybkości dotrzemy na miejsce. Znowu mam migrenę!

— Naprawdę nie chcesz, żebym prowadził?

— Nie, mogę jechać. Złości mnie tylko, że ty jesteś stale ze wszystkiego zadowolony.

— Wszyscy mamy dobre i złe dni. Myślałem, że lubisz ojca Marneca.

— I tak, i nie. Mogę ci powiedzieć tylko tyle: Marnec najmocniej wiąże mnie jeszcze z seminarium.

— Więc do tego doszedłeś?

— Posłuchaj. Daj temu na razie spokój i poczęstuj mnie papierosem.

## Rozdział 4

Miasteczko Plougarec rozsiadło się nad morzem wśród poskręcanych wiatrem sosen. Deszcz przestał padać i powietrze odzyskało przejrzystość. W zielonej wodzie odbijały się ciemne kadłuby, maszty i trójkąty pomarańczowych żagli zakotwiczonych wzdłuż mola małych barek rybackich. Domki pobielone wapnem, z kominami od frontu, tłoczyły się wokół starego, granitowego kościoła

pokrytego splachciami złotych porostów. Przez uchylone furtki ogrodów widać było sieci rybackie, które rozwieszane na sznurach do suszenia bielizny ociekały jeszcze deszczem. Ściany plebanii ginęły pod kiściami bladoróżowych glicynii i jaskrawożółtych rokitników. Citroën Jerzego minął pomalowaną na czarno żelazną bramę. Opony zapisały na żwirze dzielnica i zatrzymał się przed wejściem. Karrabassen — tak nazywa się w Bretanii gospodynie osób duchownych — miała chód ciężki i nosiła czepiec w kształcie głowy cukru. Wprowadziła Piotra i Jerzego do jadalni. Dwaj księża zaczęli już jeść. Przyjemny zapach kapuśniaku i boczków wypełniał pomieszczenie. Proboszcz, mężczyzna sześćdziesięcioletni, niski i okrągłutki, wstał. Jego sutanna usiana była plamami; obrzękła, inteligentna twarz wyrażała dobroć. Małe, żywe i pełne złośliwości oczy miały ten nieokreślony szary kolor, jaki zobaczyć można jedynie u ludzi nawykłych wpatrywać się w morze. Drugi ksiądz, niezwykle kościsty, z łyżką pełną zupy w ręku spojrzął na nowo przybyłych. Proboszcz, witając ich, otworzył szeroko ramiona.

— Więc to wy jesteście tymi seminarzystami, których przysłała mi do pomocy ojciec Cahuzac? Podróż mieliście dobrą? Usiedliśmy do stołu, bo nie wiedziałem po prostu, o której godzinie przyjedziecie. Ale dopiero co zaczęliśmy. To mój kuzyn, ojciec Cariou. Przyjechał właśnie z Noumea.

Karrabassen postawiła talerze w kwiaty na ceracie o niepewnym błękitcie. Proboszcz podał młodym ludziom dwie pełne chochle tłustego płynu, gorącego i złotawego, upachnionego tysiącem woni warzywnika. Pływały w nim kawałki marchewki i kapusty i cienkie skrawki białego chleba.

Piotr jadł z apetytem. Jerzy połknął ukradkiem dwie tabletki aspiryny, którą przezornie zabrał ze

sobą. Z uwagą patrzył na złowrogą twarz ojca Cariou oświetloną dwojgiem oczu podobnych do czarnych oliwek. Był to mężczyzna zniszczony przez życie, o żółtej jak pergamin skórze napiętej na potężnym szkielecie. Odpowiadał proboszczowi monosylabami.

— Może jeszcze trochę boczku, Jobic? Nie jadłeś go chyba zbyt często w tych dzikich krajach? My także odzwyczailiśmy się od dawnego pożywienia, myślałem jednak, że sprawię ci przyjemność podając je dzisiaj.

Aspiryna odniosła skutek, Jerzy chciał okazać się uprzejmy:

— Czy ostatni wyjazd ojca trwał długo? — zapytał.

— Już ponad piętnaście lat nie byłem we Francji.

— Nie może przystosować się do tych wszystkich zmian, jakie zastał — powiedział proboszcz. — A najbardziej zaskoczyło go seminarium. Złożył wizytę swojemu staremu przyjacielowi, ojcu Cahuzac. Można by powiedzieć, że spadł z księżyca. Kiedy przyjechaliście, wspominaliśmy sobie właśnie naszą młodość. Mnie, moje dzieci, dziwi tylko, że tak długo musieliśmy czekać na zmianę metody. Mój kuzyn ma na ten temat inne zdanie.

Misjonarz mruknął przez zęby:

— Zastanawiam się jedynie, dokąd nas to wszystko zaprowadzi. Dziękuję niebu, że nie jestem teraz w seminarium. Wszystko podaje się tam w wątpliwość.

— Ja przeciwnie — powiedział proboszcz. — Chciałbym mieć trzydzieści lat mniej. Zapewniam was, moi drodzy, że chętnie oddałbym te wszystkie lata doświadczeń w zamian za waszą młodość. Za naszych czasów dusiliśmy się w seminarium.

— Ja lubiłem tę surową dyscyplinę — oznajmił chłodno ojciec Cariou, który, było to widoczne, pragnął, żeby dyskusja na tym się skończyła. Ale proboszcz ciągnął:

— Zapomniałeś więc, co czuliśmy, kiedy wracaliśmy do domu na wakacje, i jak cierpieliśmy, że jesteśmy małymi chłopcami spętanymi całym systemem zakazów w porównaniu z kolegami z liceum, którzy byli już dorosłymi mężczyznami. Uważasz, Jobic, że przygotowywano nas do życia?

— Do życia w modlitwie? Tak.

— No, no! Musieliśmy mieć nieliche charaktery, żeby oprzeć się temu, co nam narzucano! Człowiek stworzony jest po to, by nieść ludziom Jezusa Chrystusa. Wy, młodzi, nie możecie zdać sobie sprawy, jaka była nasza sytuacja, gdy byliśmy w waszym wieku. Życie w seminarium było poliniowane jak papier nutowy. Przede wszystkim absolutne milczenie, poza rekreacjami i spacerami. Milczenie na korytarzach, milczenie przy stole. Żadnej łączności ze światem zewnętrznym. Żadnych gazet. O tym, co działo się poza murami seminarium, nie mieliśmy najmniejszego pojęcia.

— Miało to nas przygotować do życia duchowego — powiedział ojciec Cariou.

— Do życia, któremu nie dostarczono żadnej pożywki.

— A nasze studia, lektury, modlitwy?

— Mieliśmy po dwadzieścia lat. Pewnie, byliśmy pełni szlachetności, ale jednak, ale jednak!... Przypominasz sobie nasze rekreacje? Tak bardzo obawiano się „osobliwych przyjaźni”, że nigdy nie zezwalano na dyskusje w gronie mniejszym niż czterech seminarzystów. O czymże więc mówiliśmy?... Nasycono nas teologią, filozofią scholastyczną. Prawie nie uprawialiśmy sportu. O czym mówiliśmy?... Szybko wyczerpaliśmy wspomnienia

dotyczące kolegów z liceum, którzy w wielkich miastach kontynuowali studia medyczne, inżynierskie, prawnicze. O czym więc mogliśmy mówić, co byłoby trochę chociaż prawdziwe, co trochę chociaż tkwiłoby w życiu? A wściekle pragnęliśmy żyć, kiedy mieliśmy dwadzieścia lat! Żyć dla Chrystusa, żyć w Chrystusie. Czyniono z nas natomiast sklerotyków. Pozostawała rozmowa o profesorach. Nie mówiliśmy jednak o nich nigdy nic dobrego. Musieliśmy się jakoś rozładować. Nie lubiliśmy ich, osądzaliśmy bez litości. Przyjemność sprawiało nam przyłapywanie ich na drobnych słabościach, śmieliśmy się. Czuliśmy do nich żal, że są tacy odlegli, tacy niedostępni.

— Dlaczego byli tacy? — zapytał Jerzy.

— W gruncie rzeczy nie stawialiśmy sobie tego pytania — podjął proboszcz. — Akceptowaliśmy tę sytuację. Dzisiaj myślę, że byli ofiarami wielowiekowych tradycji. Wypełniali swe zadania, które dla nich ograniczały się do nauczania, do przekazywania nam wiedzy. Ale nie byli tacy uczeni jak wasi profesory. Bali się również okazać, że mają biedne, ludzkie serca. To zawsze ryzyko, a oni unikali ryzyka. W gruncie rzeczy nie czuli się dosyć silni. Wykopywali między sobą a seminarzystami przepaść, by podnieść swój autorytet, nie przez brak pokory, lecz z poczucia obowiązku. Byli twardzi, bardzo twardzi w stosunku do siebie samych i względem tych, którzy powierzeni zostali ich pieczy.

— A jednak najlepsze świadectwo stanowią wyniki — powiedział ojciec Cariou. — Dawniej zupełnie wyjątkowo, jeśli nie liczyć poważnych wykroczeń, zdarzało się, że seminarzysta nie został księdzem. Teraz zdarza się to w pięćdziesięciu procentach.

Jerzego zaskoczyła gwałtowność własnego protestu:

— Ależ, proszę ojca, lata w seminarium służą jednemu tylko celowi: mają umożliwić seminarzyście rozważenie swego powołania! Nie wstępuje się do seminarium, by koniecznie zostać księdzem, ale żeby wiedzieć, czy się nim zostanie.

Proboszcz wykrzyknął wesoło:

— Ten mały ma rację. Lubię takich, co mówią szczerze. Za naszych czasów stawialiśmy sobie za mało pytań. Człowiek, który nie zadaje sobie pytań, nie zajdzie daleko, a w seminarium to najważniejsza sprawa. My nie mieliśmy takich możliwości.

— Zostawaliście więc księżmi wbrew sobie samym? — zapytał Jerzy.

Ojciec Cariou wzruszył ramionami. Twarz proboszcza stała się poważna:

— Nie wmawiaj mi tego, czego nie powiedziałem. Powołanie stanowi wezwanie od Boga. Wierzę w łaskę kapłaństwa. Ale przede wszystkim cieszę się widząc, że tchnienie Ducha Świętego owiewa w dzisiejszych czasach seminarzystów niaby oczyszczający wszystko wiatr.

Ojciec Cariou wstał od stołu i nerwowym gestem złożył serwetkę.

— Idę odpocząć — powiedział. — Nie lubię słuchoać, kiedy ktoś mówi to co ty, Franciszku. Zdasz się poza tym zapominać, że także w naszych czasach Duch Boży zamieszkiwał w seminarium.

— No, no, nie gniewaj się, Jobic. Jeśli nawet między sobą nie możemy powiedzieć tego, co myślimy!...

— Już dobrze, dobrze, zostań ze swoimi chłopcami. Podobasz im się. Ja pójdę się położyć. Do zobaczenia wieczorem.

Proboszcz odprowadził wzrokiem długą sylwet-



kę misjonarza, aż do chwili kiedy ten opuścił pokój.

— Jest chory — powiedział z westchnieniem. — Niepotrzebnie go uraziłem. Powinienem był mówić o czym innym. Nie wiem, co każe mi wracać ciągle do spraw od dawna już zamkniętych. Nie mogę znieść, kiedy widzę, jak bardzo broni się, by zachować...

Zrobił ruch ręką, jakby chciał odegnać koniec zdania.

— No, na dzisiaj dosyć. Napijcie się jeszcze kawy, moi drodzy.

Piotr, który dotychczas milczał, zwrócił się do proboszcza:

— Proszę mi wybaczyć, proszę księdza, że wracam do tej sprawy. Ale czy mógłbym poprosić o zilustrowanie na konkretnym przykładzie tej, dokonanej przez księdza, oceny dawnego systemu kształcenia w seminariach?

— Wiecie, jak to jest, człowiek mówi, mówi!... Potem się tego żałuje. Niepotrzebnie sprawiłem przykrość mojemu kuzynowi. To zacne serce! Ale padł ofiarą nadmiernego przywiązania do przeszłości. Jak wielu zresztą z tych, którzy żyją poza ojczyzną. Mieszają wszystko, idealizując fakty wiążące ich z rodzimą ziemią. To dla nich absolut. Człowiekowi żal własnej młodości. Dla nich młodość, prawda, religia, ojczyzna, wszystko jest podobne, wszystkiego trzeba bronić, wszystko wychwalać. Nie rozróżniają więc kiepskiego papieru od skarbu, który jest tym papierem owinięty, zachowują każdy kawałeczek sznurka i skasowane znaczki pocztowe, wierząc, że można się jeszcze nimi posłużyć. Trwają w prehistorii, zastygają na absurdalnych pozycjach.

— Ale czym właściwie było seminarium w cza-

sach księdza? — zapytał Jerzy, równie jak jego przyjaciel, spragniony słów proboszcza.

— Seminarium, seminarium, po co poruszać te sprawy? Seminarium wykształciło całe pokolenia dobrych księży, księży świętych, zasłużonych. Do licha — ciągnął zapalając się — chodzi przecież o osobiste zasługi każdego z nas! Zbyt krzątano się wokół własnego zbawienia, by podejmować olbrzymie ryzyko zbawiania innych. Oczywiście, gdzie drwa rąbią... Nie wszystko może pójść gładko. Począwszy od czasów pierwszych chrześcijan czytamy w Dziejach Apostolskich: „Kochali się i wszystko mieli wspólne”. Ma to oczywiście znaczyć, że dzielenie się dobrami materialnymi jest sprawą podstawową! Ale w ten sposób daleko by nie zaszli. Tym, co wiązało ich ze sobą w czasach narodzin chrześcijaństwa, było dzielenie się prawdą, którą sami posiadli, była trwoga o świat, który należało odkupić. I tego za mało uczono nas w seminarium. Cały wysiłek skierowaliśmy na własną osobę. Ścisłe przestrzeganie wszelkiej dyscypliny. Czuliśmy, że jesteśmy bardzo nędzni, ale łatwiej było zbadać granice własnego „ja” niż granice świata. Chcieliśmy przestrzegać czystości, posłuszeństwa. Już o tych dwóch cnotach niejedno mógłbym wam powiedzieć... Ale co mnie napadło, żeby tak długo wam o tym opowiadać?

— Ponieważ nadeszła pora — powiedział gwałtownie Jerzy.

Stary ksiądz i Piotr spojrzeli na niego. Wydawał się dziwnie wzruszony.

— Tak, mówię, że nadeszła pora. Zbyt często moją drogę znaczyły obfite kałuże światła. Moim pierwszym odruchem jest zawsze wymijanie ich. Szedłem jednak ku nim, jakby ktoś popychał mnie z tyłu. Chcąc nie chcąc trzeba tam wejść. I czuję się wtedy jak w komorze celnej. Moja

dusza otwiera się niby waliza. Wyjmuję zawartość i spostrzegam, że wziąłem piżamę zamiast krawata i pastę do zębów zamiast kremu do golenia. Dopiero celnik uświadamia mi moją pomyłkę wymieniając nazwę każdej rzeczy. Proszę księdza, niejedno nam ksiądz powiedział od chwili naszego przyjazdu. Czy pozwoli ksiądz, że zadam kilka pytań?

— Oczywiście, mój drogi, czasu mamy pod dostatkiem. Dzieci zbierają się w kościele na pierwszą naukę rekolekcyjną dopiero o szesnastej. Ale chodźmy do ogrodu. Katarzyna będzie mogła sprzątnąć spokojnie jadalnię. Na dworze lepiej się nam będzie rozmawiało.

W tonącym teraz w słońcu ogrodzie lśniące gałęzie ogromnej magnolii tworzyły rodzaj altany. Kiście jaśminowe czepiały się czarnego pnia drzewa i nasycaly powietrze landrynkowymi zapachami; wokół starej, kamiennej ławki pokrytej mchem stało kilka pomalowanych na biało żelaznych krzesel.

— Jestem oto jak król Dawid na tarasie swojego pałacu — powiedział proboszcz ze śmiechem. — Nie patrzę poprzez listowie na kąpiącą się żonę Uriasza, ale patrzę na wszystko, co kocham: na mój kościół, na domy rybaków, na sieci schnące na wietrze, na barki zakotwiczone w porcie. Całe to ludzkie życie, które powierzył mi Pan nasz... Śpiewam więc jak psalmista: „Sznury mi odmierzyły uroczą dzielnicę i dziedzictwo moje bardzo mi jest miłe”. Życie księdza nie jest usłane różami, ale przynosi mu jednak więcej, niż się spodziewał. Bywają piękne chwile... Tak, można powiedzieć, że bywają piękne chwile. No, siadajmy, sami widzicie! Krzesła są już suche. Niby nic, odrobina słońca, a w gruncie rzeczy wszystko się zmienia.

Zwracając się do Jerzego:

— Co miałeś na myśli mówiąc o tej historii z walizką?

— Jedynie to, co powiedziałem, proszę księdza proboszcza. Nadchodzi moment, kiedy trzeba postawić kropkę. Ksiądz buntował się w seminarium?

— Oczywiście! Kiedy się jest młodym, człowiek chce ruchu, zmian; rośnie, czuje więc potrzebę ruszania rękami i nogami. Buntuje się przeciwko więzom. Mimo woli sprzeciwia się dyscyplinie absurdalnej i zbyt sztywnej. Ileż razy miałem uczucie, że jestem podwójnie okaleczany: na ciele i na duszy! To prawda, okaleczenie nie zostało nam narzucone, ale wyrzeczenie się samego siebie, na co kładziono zbyt wielki nacisk, przepajało nas duchem współzawodnictwa ze sobą w tej dziedzinie. Kto da jeszcze więcej! Robić więcej i lepiej niż inni, więcej i lepiej niż samemu się dotychczas robiło. Chcieliśmy postawić Boga ponad wszystkim. Niektórzy woleli Go od wygod materaca i spali na podłodze. Woleli Boga niż chleb z masłem, jedli więc chleb bez masła. Jeszcze inni woleli Boga niż niezbędne godziny snu i spali jedynie kilka godzin na dobę. Może wydać się to przesadne, ale Boga przeciwstawialiśmy wszystkiemu. Gardziliśmy wszystkim, chociaż Bóg żąda, byśmy wszystko kochali. Chcieliśmy stale zdobywać punkty, jakby chodziło o wyłonienie zwycięzcy. A rezultat? Nasze seminarium mogło w pewnym momencie szczyć się największą liczbą chorych na gruźlicę. Stanowiliśmy znaczną część klienteli sanatoryjnej.

Piotr Kermorvan, który do tej chwili prawie się nie odzywał, przerwał:

— W sumie zarzuca ksiądz dawnemu seminarium, że tkwiło w swoich czasach. Jakże mogłoby

nie być poważnej liczby seminarzystów w sanatorium, skoro diecezja księdza była najbardziej ze wszystkich diecezji francuskich dotknięta gruźlicą? Seminarium nie mogło być wysepką bezpieczeństwa. Ale to drobnostka... Najbardziej uderza mnie we wspomnieniach księdza przyswojenie przez seminarium wszystkich duchowych tabu charakterystycznych dla pewnych kręgów mieszczańskich. W seminarium odnaleźć można było te same zasady wychowania.

— Przy takich metodach, księżo proboszczu, musieliście taśmowo produkować świętych? — zapytał Jerzy.

— Ci, co mieli stać się świętymi, staliby się nimi i bez tej dyscypliny. Bóg nie żąda od nas, byśmy na tej ziemi umartwiali się, ale byśmy napełniali ją miłością.

— Czyż to straszliwe wyrzeczenie się samego siebie nie prowadzi do miłości? — szepnął Jerzy.

— Miłości nie osiąga się postępując według jakichś recept. O ile wiem, polityka spalonej ziemi nie przyczynia się do rozkwitu miłości. Mówmy, proszę, o czym innym.

— Jeszcze słowo, księżo proboszczu — błagał Jerzy. — Wie ksiądz bardzo dobrze, czym jest współczesne seminarium, ze swoimi swobodami, z położeniem nacisku na rozkwit człowieka. Czy nie uważa ksiądz, że dzisiaj, podobnie jak dawniej, istnieją dwa rodzaje seminarzystów: ci, którzy są pewni, że znaleźli się na właściwej drodze, i wszyscy pozostali?

— W seminarium nikt nie ma pewności, że znajduje się na swoim miejscu. Pominąwszy głupców i naiwnych, są tacy, których Bóg wybrał, by stali się jego księżmi, i wszyscy pozostali. Ci, którzy zbłądzili wstępując do seminarium, i ci, którzy zbłądzili, bo zostali zmuszeni do wstąpienia

Przeznaczeniem księdza i każdego, kto chce nim zostać, jest znalezienie siły, by stawiać sobie pytanie, czy jest tego godny, jest obawa przed darem absolutnym, każdego dnia przeżyta od początku, pragnienie zbliżenia się do Boga. Ale do licha! Trzeba im pomóc stać się ludźmi o solidnej równowadze fizycznej i psychicznej! Trzeba zostawić im wolność wyboru!

— Chciałbym jednak zapytać, proszę księdza proboszcza — powiedział Piotr — czy święci nie są często rewolucjonistami? Czy świętość nie polega na miłości do ludzi przeciwstawiającej się pewnemu skostnieniu Kościoła? Proszę wziąć pod uwagę wysiłki, jakich dokonywał taki Franciszek z Asyżu, taki Ignacy Loyola, by podłożyć ogień pod beczkę z prochem. A w naszych już prawie czasach czyż Charles de Foucauld, który chciał być „bratem powszechnym”, dzięki swojej proroczej intuicji nie rozumiał tego, co dzisiaj wydaje się nam normalne: że chrześcijaństwo zwyciężyło kolonializm i rasizm? W świetle znanych księdzu wypadków przyswajamy sobie to, co uświadomił on sobie osiemdziesiąt lat temu dzięki swojej ofiarności, dzięki zażyłości z Bogiem.

Proboszcz przyglądał mu się przez chwilę:

— To bardzo słuszne. Seminarium, które przed chwilą tak surowo krytykowaliśmy, miało także świętych. Cierpieli z powodu błędów, ale ich świętość bierze się z tego, że ich bunt nie był jałowy, i ta świętość pozwalała im widzieć, co należy zmienić. Wiedzieli, czego Chrystus żąda od nich *hic et nunc*. Byli katalizatorami energii duchowej. Niejedno mógłbym opowiedzieć wam o tych, którym zawdzięczacie obecną sytuację w seminariach. Kościół głosi poprzez wieki swoją naukę, która prowadzi czasem do reakcji, podobnych do tej,

jaka nas nurtuje. Ale czas mija. Chodźmy do dzieci, już na nas czekają.

— Chciałem powiedzieć, księżu proboszczu — podjął półgłosem Jerzy — że kiedy Bóg milczy, kiedy gasi w duszy wszelkie pragnienie kapłaństwa, stanowi to znak, prawda?

— Przypomnij sobie słowa Chrystusa do Piotra apostoła: „Dawniej chodziłeś, gdzie chciałeś. Sam zawiązywałeś sobie rzemienie sandałów. Ale nadejdzie czas, kiedy to ja cię poprowadzę i pójdziesz, dokąd nie chcesz iść”.

## Rozdział 5

W kuchni Kerdouarec'h Heloiza zaprawiała sos nie odrywając nosa od garnków. Piotr Kermorvan i Jerzy, siedząc z podwiniętymi rękawami koszul i rozpiętymi kołnierzykami przy długim, wąskim stole, wysłuchiwali instrukcji Laurence.

— Ty, Piotrze — mówiła — weźmiesz chleb, położysz na deseczce i pokroisz tak cienko i równo, jak tylko potrafisz. Ty, Jerzy, posmarujesz chleb masłem, następnie pokroisz każdą kromkę na cztery części. Ja biegnę do salonu ułożyć kwiaty. Zajmie mi to dziesięć minut.

Kiedy wróciła, byli już zaawansowani w swojej pracy.

— Doskonale — powiedziała Laurence. — Będą jeszcze z was ludzie. Chleba już dosyć. Jerzy, ty dalej smaruj masłem, a ty, Piotrze, weź się za oliwki. Masz tu przyrząd do wyjmowania pestek. Będziesz kładł po małym skrawku czarnej oliwki na kanapkach z łososiem, które już przygotowałam. Są na tacy w lodówce. Potem oberzemy ze

skorupek jajka na twardo. Trzeba się spieszyć, bo na mamę nie możemy liczyć.

— Dlaczego? — zapytał Jerzy.

— Nie udawaj głupka. Wiesz równie dobrze jak ja. Co sądzisz o ojcu, Piotrze?

— Nie znam go, trudno powiedzieć.

— Nie musisz owijać w bawełnę. Powiedz, co masz na sercu.

Jerzy powstrzymał siostrę:

— Zawracasz głowę Piotrowi. Daj mu spokój. Wszyscy mamy taki sam pogląd na tę sprawę.

— Właśnie że się mylisz. Jesteś jak Agnieszka, wolisz wierzyć, że wszystko toczy się gładko. Oczywiście, tak najwygodniej. Przede wszystkim zachować twarz! Oto nasze zadanie. Ale czy uważasz, Piotrze, że ta rozmowa wczoraj wieczorem podczas kolacji, to było naturalne?

— Wasz ojciec jest bardzo chory, to widać. I jak wszyscy chorzy...

— Ach nie, proszę. Nie chcesz chyba zbyć mnie byle czym?

— Powiedz, Laurence, czy nie uważasz, że te kromki podzielone na cztery są zbyt małe?

— Wcale nie. Powinny być na jeden kęs, bo zawsze w jednym ręku trzyma się papierosa, a w drugim kieliszek. To akurat właściwa wielkość. Trzeba ich zrobić siedemset. Za godzinę pojedziesz, Jerzy, do cukiernika po owoce kandyzowane i małe rogaliki serowe.

— Co za pomysł miałaś, żeby namawiać mamę na wydanie tutaj przyjęcia zaręczynowego Jacqueline... Zupełnie jakby komplikowanie wszystkiego sprawiało ci przyjemność. Widziałaś, co wczoraj z tego wynikło?

— Przede wszystkim ten pomysł zaręczyn w Kerdouarec'h wyszedł od tatusia. Skoro już postanowiono, nie wiem, po co do tego wracać. Wczoraj



chciał urządzić nam kino. Gdyby nie zaręczyny, znalazłby co innego. Każdy pretekst dobry.

Piotr obierał jaja na twardo.

— Co mam z nimi zrobić? — zapytał Laurence.

— Pokroisz je w talarki i ułożysz na chlebie z masłem, razem z odrobiną sosu pomidorowego... Nie żal ci naszej matki?

— Nie mam o niczym pojęcia! Co niby mam myśleć?

— Czy nigdy nie skończysz, mój skarbie? — powiedział Jerzy. — Przyjechaliśmy z Piotrem na kilka dni, a ty od razu wciągasz nas w swoje tarapaty! Myśleliśmy, że będziemy mieli spokój, a tu wczoraj wieczorem wielkie widowisko! Teraz pakujesz nas do kuchni i każesz robić kanapki. Za chwilę setka osób przyjdzie gratulować Jacqueline i jej narzeczonemu. Nic zabawnego.

— A czy dla mnie to zabawne? Marquet chciał, żebym poleciała z nim do Moskwy. Odmówiłam, żeby przyjechać do Kerdouarec'h. Mogłabym, podobnie jak ty i Agnieszka, uprawiać strusią politykę, ale to nie w moim stylu. I proszę cię, spróbuj spojrzeć prawdzie w oczy.

— Ale taka polityka do niczego nie prowadzi! Heloiza odeszła od swoich garnków.

— Przefroteruję jeszcze parkiet w salonie. Nie chcę dawać ci rad, Laurence, ale zajęłaś się sprawami, które nie powinny cię obchodzić. Trzeba miesięcy, żeby to wszystko zrozumieć.

Stara kobieta wyszła z kuchni szurając sabotami.

— Moim zdaniem — powiedział Jerzy — Heloiza ma rację. Nie burz naszego Kerdouarec'h, siostrzyczko.

Laurence tupnęła rozgniewana.

— Nie, nie, jeszcze raz nie! Posłuchaj, Piotrze,

przemów Jerzemu do rozumu. Trzeba pomóc mamie.

— Jak mam to zrobić, skoro nie mam o niczym pojęcia.

— Widzę, że Jerzy o niczym ci nie powiedział. Wytłumaczę ci. Rodzice stanowili niezwykle dobrane małżeństwo. Ojciec nazywał mamę swoją „drogą fantazją”. Mama mówiła o ojcu, że jest jej sumieniem. Zeszłego kwietnia tatuś miał poważną historię z sercem. Myśleliśmy, że umrze. Stopniowo wrócił do zdrowia, ale był zmuszony opuścić służbę w marynarce. Musiało to być dla niego okropne. Stany kryzysowe były coraz rzadsze. Mama pielęgnowała go, cackała się z nim, oszczędzała mu najmniejszego zmęczenia, najmniejszego wzruszenia. A potem padł ofiarą idiotycznego wypadku. Prowadziła mama. Jakiś samochód wyskoczył z prawej strony nie zważając na znak stop. Tatuś zraniony został w głowę, a nerw słuchowy uszkodzony. Od tego czasu zupełnie oszalał. Cierpi, bo czuje się straszliwie pomniejszony, zamknięty w jakimś brzęczeniu, przez które dźwięki, powiada, docierają, jakby miał głowę zanurzoną pod wodę.

— Czy nie można dać mu aparatu słuchowego?

— Jeśli chodzi o ucho z uszkodzonym nerwem, nic nie da się zrobić. Co do drugiego, byłoby to bez wątpienia możliwe. Ale nie chce o żadnym aparacie słyszeć. Wybucho przy najmniejszej próbie nacisku. A przede wszystkim z jakimś sadyzmem mści się na matce... Patrząc na niego ma się wrażenie, że to dziecko, które wyrzywa nóżki i skrzydła muchom. Babka też ma tu swój udział. Zapewniam was, piękna atmosfera... O Boże, pół do trzeciej! Wyjmuję szynkę z lodówki. Radźcie sobie sami, musicie poukładać ją razem z gruyere-m na chlebie z masłem. Przeprasuję sukienkę

mamie i Jacqueline. Jacqueline grucha ze swoim Bertrandem i nie obchodzi ją pomięta sukienka. Co za rodzina!... Dopiero dwa tygodnie przed zaręczynami postanowili zabrać się do remontu starego domu. Oczywiście wszystko jeszcze w proszku. Malarze mają roboty na miesiąc i będą tam przez ten miesiąc z kozłami i drabinami. Najgorsze, że tatuś zaproponował, żeby przyjęcie zaręczynowe odbyło się w Kerdouarec'h. Nie wiem więc, dlaczego teraz robi tyle szumu. Do zobaczenia. I bierzcie się do roboty, chłopcy.

Laurence precyzyjnymi i szybkimi ruchami prasowała w bieliźniarni suknię mamy, narzeczonej i własną. Gorące żelazko ślizgało się po delikatnych jedwabiach otoczone obłokiem pary niby mały, nikłowy statek. Laurence pomyślała, że powinna odprasować kanty spodni Jerzego. Zaskoczył ją bałagan panujący w pokoju brata. Niegdyś tak staranny, teraz w ciągu dwudziestu czterech godzin zrobił ze swojego pokoju norę. Otworzyła szeroko okna, by wywietrzyć ten szczególny zapach, tak szybko wypełniający pomieszczenie, w którym zamieszkał mężczyzna. W ciągu ostatniego roku Jerzy bardzo się zmienił, ale dbał o pozory. Widać, że należy do rodziny! Co kryje ta nieprzenikniona twarz? Co tkwi za tym znurzeniem tak widocznym w smutnym sposobie poruszania się i w gestach. I ta nowa mania łykania co chwila pastylek aspiryny! Laurence nie podobała się przyjaźń z Piotrem Kermorvan. Nic nie mogła powiedzieć przeciwko temu chłopcu o otwartej twarzy, dyskretnym, zachowującym się ze swobodą człowieka światowego, który, zapytany przez nią, odpowiedział, że jest synem chłopca. Jeśli miałyby się w kimś zakochać, bez wątpienia raczej jego wybrałaby niż Bertranda, narzeczonego Jacqueline, tak doskonale pasującego do stylu wydziału

nauk politycznych, że brakowało mu jedynie monokla i przedziałka, by wyglądać tak, jakby wyszedł prosto z powieści Marcela Prousta.

Oczywiście Jerzy nie powiesił swego pięknego garnituru na wieszaku. Laurence znalazła go w nie domkniętej walizce. Wyjęła i odruchowo zaczęła szukać krawata, żeby także go odprasować; ale wybuchnęła śmiechem, widząc leżący na komodzie czarny półkoszulek z koloratką. Czemu tak łatwo zapominam, że jest seminarzystą? — pomyślała.

Skierowała się do pokoju Piotra, żeby także jego garnitur wziąć do odprasowania. Położyła dłoń na klamce, zastygła na chwilę w bezruchu i wzruszyła ramionami.

— W końcu, jego sprawa, niech sam sobie radzi! — powiedziała do siebie. — I tak mam dosyć roboty.

Kiedy skończyła prasowanie, zastukała do drzwi pokoju mamy, żeby zanieść jej suknię.

— Co tam? — krzyknął ostro kapitan Sante-nac. — Czy nie mogę mieć chwili spokoju?

— To ja, Laurence. Czy jest tu mama?

Nie czekając na odpowiedź weszła do środka z bładozieloną suknią, którą właśnie odprasowała.

Siedzący przy oknie w fotelu z fajką w ustach ojciec powiedział brutalnie:

— To ma być suknia matki, to, co trzymasz!... Chyba żartujesz! W jej wieku!

— Niby dlaczego? Gdzie jest mama?

— Nie może jakoś skończyć swoich ablucji. An-no! — wrzasnął.

Przekrzykując płynącą wodę, Anna odpowiedziała z łazienki:

— Chwileczkę. Już idę.

Weszła w bieliznię, wycierając sobie ramię ręcznikiem frotowym.

— Jak to? — rzekła. — Wyprasowałaś mi sukienkę, kochanie? Jak to miło z twojej strony!

— Co ta sukienka ma znaczyć? — zapytał kapitan. — Nie pozwolę ci się w nią wystroić!

— Nie podoba ci się, Mateuszu, ta zieleń?

— Jak wszystkie kobiety, które nie mogą pogodzić się z nadchodzącą starością, ubierasz się niby młoda dziewczyna! Nie włożysz tej sukienki, słyszysz!

Laurence przerwała ojcu:

— Jesteś śmieszny i wstrętny — powiedziała żywo. — Broń się, mamó, nie daj sobą rządzić. Widzisz chyba, że mówi cokolwiek, byleby cię zranić.

— Odczep się, Laurence, ode mnie. Zajmij się sobą, a mnie i matkę zostaw w spokoju.

Jak wszyscy głusi kapitan Santenac krzyczał bardzo głośno, przez co wszystko, co mówił, nabierało agresywności nie do zniesienia. Ale Laurence czuła, że jest naprawdę zirytowany. Mniej ją to jednak oburzało niż widok matki biernej i zrozpaczonej. Chciała zapobiec pogorszeniu się sytuacji.

— Nie ubrałaś się jeszcze, tatusiu. Pójdę do garderoby po twój garnitur.

— Nie przejmuj się niczym, Laurence. Wszystko przygotowałam.

— I niepotrzebnie — powiedział kapitan. — Nie wezmę udziału w przyjęciu, które zorganizowałyście bez mojej wiedzy i po to jedynie, żeby zrobić mi na złość.

Twarz Anny Santenac zmieniła się, łzy wypełniły jej oczy i bez słowa wróciła do łazienki.

Laurence położyła suknię na łóżku. Niezwykle starannie układała fałdy, jakby nie miała już nic do roboty. Potem wzięła krzesło i usiadła przy ojcu.

— Mój drogi tatusiu — powiedziała. — Nie zrobisz znowu tego, co wczoraj wieczorem. Raz wystarczyło. Usiadłam od strony zdrowego ucha, żebyś słyszał dobrze, co ci powiem. Zaręczyny Jacqueline nie odbywają się tutaj bynajmniej bez twojej wiedzy. Sam zaproponowałeś to jej rodzicom. To jedno. Następnie, mama dwadzieścia razy mówiła ci o swojej zielonej sukni. Uważaj, tatusiu. Mówię głośno i bardzo wyraźnie, żebyś mógł mnie słyszeć. Uprzedzam, że będę broniła matki. No więc, zejdiesz czy nie zejdiesz do salonu, wszystko mi jedno. Ale uwaga z mamą!... Jasne?

Wyszła trzaskając drzwiami.

## Rozdział 6

Większość gości już wyszła. Kilkoro młodych tańczyło jeszcze w salonie. Pary przechadzały się po parku. Jacqueline ciągle jeszcze zmuszała wszystkich do podziwiania jej szafiru. Trzymała narzeczonego za rękę i patrzyła na niego wzrokiem czułym i uległym. Anna Santenac, bardzo piękna w obcisłej sukni z zielonego jedwabiu, na którego tle jej rude włosy płonęły, miała na sobie cudowne perły, przywiezione niegdyś przez męża znad Zatoki Perskiej. Odprowadzając admirała Arnaulta aż do podjazdu, mówiła półgłosem:

— Szkoda, że Mateusz nie zszedł. Byłeś bardzo dobry, Jakubie. Poszedłeś do niego. Jak go znalazłeś?

— Jest w zupełnie niezłej formie. W gruncie rzeczy tego właśnie oczekiwałem. Musisz, Anno, uzbroić się w cierpliwość. Z czasem ułoży się wiele spraw. Ale przyjdź, odwiedź nas razem z Je-

rym i Laurence. No, do zobaczenia i odwagi. Pozostawiam cię z twoimi gośćmi.

Wracając do salonu, Anna minęła dwóch seminarzystów, którzy z ożywieniem rozmawiali stojąc w pobliżu głównych schodów. Kiedy zbliżyła się, zamilkli. Zapytała:

— Co się dzieje?

— Znikam po angielsku z Bergeracami — powiedział Jerzy. — Chcę pójść w Lorient do kina.

— Co za pomysł! A pan, panie Piotrze, pan także jedzie?

— Nie, proszę pani.

— Dlaczego?

Piotr zawahał się, a potem powiedział:

— Nie przepadam za kinem.

— Wolałabym, żebyście pojechali razem. Ale róbcie, jak uważacie. Jerzy, zanim pojedziesz, poproś, żeby znowu podano zimne napoje.

Piotr oddalił się w stronę parku. Zapadła noc, widać było jedynie cienie. Powoli poszedł w kierunku lśniącej w świetle księżycy Laity. Trawa była wilgotna. Wskoczył do łodzi Jerzego przycumowanej przy starym, poskręcany dębie. Siedząc na wąskiej ławeczce, przestał bronić się przed ogarniającą go trwogą i patrzył, jak okna Kerdouarec'h wykrawają z mroku prostokąty światła. Samochody ostatnich gości jechały ku głównej drodze, czerwone punkciki tylnych świateł znikwały kolejno wśród drzew alei. Piotr żałował, że pozwoił, by Jerzy jechał sam.

Łódź zakołysała się. Laurence skoczyła z brzegu niewiarygodnie lekko i nagle znalazła się całkiem blisko młodego człowieka.

— Posuń się — powiedziała. — Chyba nie chcesz, żebym siadła na dnie, tam jest zupełnie mokro. Jeśli miałeś ochotę być sam, wystarczyło

spuścić cumę i oddalić się trochę od brzegu. Czekałeś na mnie, prawda?

— Ja, czekałem? Oszalałaś! Co masz na myśli?

Czuł przy swoim biodrze wypukłość biodra Laurence. Schylała się teraz, żeby zdjąć wąskie pantofle na wysokich obcasach. Miała stopy dziecka i piękne paznokcie, różowe, przypominające masę perłową — jak muszle. Piotr czuł do siebie żal za to banalne porównanie, ale Laurence miała stopy zanurzone w wodzie, która stała na dnie barki, i kiedy nimi poruszała, miał wrażenie, jakby bawiła się promieniami księżycowego światła. Zapach wody z Laity mieszał się teraz z zapachem jej ciała, z cytrynowymi tonami werweny i ciężkimi, korzennymi woniami goździków. Biegła i jeszcze była zadyszana. Piotr walczył z ogarniającym go zmieszaniem. Powiedział nagle:

— Chciałbym wiedzieć, o co ci właściwie chodzi.

— Nietrudno zgadnąć. Ty i ja jesteśmy do siebie podobni. Musiałeś to zauważyć... Mną także kieruje potrzeba samotności.

Piotr spróbował zażartować:

— Z tą samotnością nie bardzo ci się udało, jestem tu przecież.

— Widzę. Wiedziałaś, gdzie cię znaleźć. Według ciebie wszyscy są pewnie przekonani, że jesteś w swoim pokoju? Uspokój się, tutaj każdy interesuje się tylko sobą. Ostatni goście odjechali. Mama musi pozbierać kieliszki na tace. Boi się, to zrozumiałe, chwili, kiedy znajdzie się sam na sam z tatusiem. Babcia już chrapie. Narzeczeni mają zamiar oglądać morze w blasku księżyca. Ta Jacqueline jest idiotką. Dziwię się, dlaczego Bertrand się z nią żeni. A tobie podobałaby się Jacqueline?

— To pytanie nie ma sensu.

— Masz rację. Z tym profilem owieczki, czło-



wiek wyobraża ją sobie zawsze przywiązaną za rogi do krzaka.

— Długo jeszcze chcesz, Laurence, zgrywać się na idiotkę?... Zapominasz, kim jestem — powiedział Piotr wstając.

Laurence obiema rękami uczepiła się chłopca.

— Nie bądź śmieszny. Wywrócisz kóść tak gwałtownie wstając. Ładnie byśmy oboje wyglądali! W tym miejscu jest dużo wodorostów i mułu. Wyobrażasz sobie te wielkie tytuły w gazetach: „Seminarzysta utonął ratując dziewczynę”.

Piotr, który nie był zachwycony tym, że ramię Laurence otacza jego ciało, spróbował roześmiać się.

— Oddał się, zła kobieto, bo cię uderzę. Tkwi we mnie ukryta brutalność, o której nic nie wiesz.

— Źle rozegrałam scenę uwodzenia?... No cóż, chciałam po prostu trochę pożartować! Jesteś, Piotrze, bardzo mądry. Ale mam ci coś do powiedzenia. Wróćmy, dobrze?

Wyskoczyła lekko na brzeg z pantofelkami w dłoni.

— Bardzo lubię chodzić bosą — powiedziała Piotrowi, który wyskoczył za nią.

Wszystkie światła Kerdouarec'h były już zgaszone. Piotr nie odpowiedział, ale Laurence ciągnęła:

— Widzisz, w pokoju rodziców ciemno, ale na pewno żadne z nich jeszcze nie śpi.

Piotr spieszył się. Kiedy zapalił w salonie żyrandol, Laurence nie zdążyła zmienić wyrazu twarzy. Uderzyła go ta zmiana rysów twarzy i te oczy zranionej łani. Ogarnęła go litość pełna czułości.

— Już późno, idź spać — powiedział. — Postaraj się zasnąć.

— Ach nie, Piotrze, proszę, nie rozstawajmy się

w ten sposób! Wiesz, że teraz nic już nie ryzykujesz, ja zresztą też nie. Siadaj. Jest jeszcze whisky. Pójdę do kuchni po czyste szklanki i kostki lodu.

Popielniczki wypełnione były niedopałkami, papierowe kryzy ptifurek poniewierały się na dywanie. Pełno ich było na stołach, na komodach. Laurence wróciła z tacą, na której stały dwie szklanki i czarka z kostkami lodu.

— Pomyliłam się. Mama, która tak ceni porządek, niczego nie sprzątnęła. Poszła położyć się, była już wykończona.

— Nie o niej chcesz mówić, prawda?

— Sama nie wiem. Przede wszystkim nie chcę być sama. W każdym razie jeszcze nie. Nie chcesz trochę się nade mną ulitować, Piotrze?

Seminarzysta spojrział na nią. Była bardzo powabna z na pół rozpuszczonymi włosami, ubrana w suknię z satyny koloru kości słoniowej. Jedno ramię ześliznęło się ukazując gładkie ramię, złociste jak brzoskwinia. Patrzyła na Piotra wielkimi, szarymi oczami pełnymi słodyczy, której nigdy u niej nie widział. Wydała mu się piękniejsza od wszystkich kobiet. Ale nie czuł już niepokoję. Nie pojmował, czemu Laurence wydała mu się tak bardzo godna pożalowania. Przez chwilę miał wrażenie, że dał się zwieść. Jaką grę prowadzi ta kobieta? — zadawał sobie pytanie. — Mądrzej będzie wyjść. Nagle poczuł gwałtowne pożądanie, ale było ono jakby ogniem palącym duszę. Wszystko w nim uległo błyskawicznej zmianie. Było to jak snop latarni morskiej, oświetlający podwodną skałę, o którą rozbije się zaraz statek, i ukazujący z najdrobniejszymi szczegółami jej niebezpieczeństwa...

Laurence patrzyła na Piotra, Piotr patrzył na Laurence. Kim ona jest? Piotr jeszcze nie wie. Wzywała go. Na jakie wezwanie miał odpowie-

dzieć? Czuł, że ją kocha z jakąś nową siłą, której istnienia dotychczas nie podejrzewał, ale nie było w tej sile nic godnego potępienia. Pojawiała się w życiu świętych. Przypomnił sobie na usprawiedliwienie pewne zdania napisane przez Franciszka Salezego do Joanny de Chantal, zdania, których sens dotychczas wymykał mu się. Święci nadają miłości wymiar, którego nie znają inni ludzie. Stając się księdzem, Piotr miał obowiązek kochać z taką siłą i tak głęboko jak święci. Musi stać się świętym, by móc w przyszłości napisać do Laurence, jak Franciszek do Joanny, że podczas „memento” prawie zawsze wymienia ją na pierwszym miejscu, „a jeśli nie na pierwszym, co przydarza się rzadko, to na ostatnim, by dłużej się przy niej zatrzymać”. W stosunku do jakiejś istoty ludzkiej będzie w stanie odczuwać tylko przyjaźń „bielszą niżli śnieg, czystsza niżli słońce”. Serce miał tak czyste i tak pełne duchowej siły, tak wypełnione powściągliwością i zapałem, że poczuł, jak ogarnia go wielka radość.

Patrzył na Laurence, która spuściła wzrok. Wyglądała, jakby spała. Nie śmiał wykonać najmniejszego ruchu. Milczenie wytwarzało między dwójgim młodych ludzi głęboką więź porozumienia. Ogarnięty ogniem, który palił mu duszę, Piotr myślał o ostrożności, jaką musi sobie narzucić. Miał obowiązek zachowania rezerwy, to znaczy pewnego oszczędzania sił, które czuł w sobie. Odwody zapewniają zwycięstwo w bitwie. Pozwalają wypełnić wyłomy. Zachować rezerwy oznacza widzieć niebezpieczeństwo. Postanawiając zostać księdzem, nie wybrał łatwej drogi. Chciał kochać jedynie Boga i dusze ludzkie. A ta dusza, którą ma przed sobą, jest bez wątpienia niepokojem, ale również jakże czułym wezwaniem! Czuł, że sam stanowi wątle przeszło mostu. Czy odmówi

jej przejścia, nawet jeśli pod jej ciężarem będzie jęczał, nawet jeśli zacznie trzeszczeć?

Laurence poruszyła się lekko, otworzyła oczy, podniosła się. Kciukiem i palcem wskazującym wyjęła z kryształowej czarki kostkę lodu, włożyła ją do szklanki i tak samo drugą kostkę lodu umieściła w szklance młodego człowieka. Oblizwała palce i naląła whisky.

— Należę ci zwykłej wody, nie znalazłam ani jednej butelki perriera.

Piotr patrzył na nią. Przygotowywał się do walki. Myślał, że ta najistotniejsza prawda, którą przed chwilą odkrył, prawda o miłości w sercu księdza, nie daje mu żadnych praw w stosunku do innych ludzi, ale nakłada jedynie względem nich obowiązki. Jednak ogarnął go jakiś lęk. Czyż Jeremiasz nie czuł lęku, kiedy przemawiał do niego Bóg? O Boże — błagał Piotr — to Ty przemawiasz do mnie poprzez Laurence. Proszę Cię, pomóż!

Dziewczyna zbliżyła niebezpiecznie swój fotel do fotela Piotra. Zapaliła papierosa i włożyła mu między wargi. Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, gest dziewczyny smagnął go jak biczem.

— Nie znasz się na seminarzystach — powiedział żywo. — Nie lubię tych gierk. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, mów. Jeśli nie, pozwól mi pójść spać.

— Przepraszam, Piotrze, nie myślałam, że cię zranię. Zrobiłam to odruchowo. Przeżywam paskudny okres. Nie powiem ci nic więcej, ale jak siostra proszę cię o przyjaźń. Nie odmawiaj.

Położyła dłoń na dłoni Piotra. Nie cofnął ręki.

— To zrozumiałe, Laurence, wszyscy jesteśmy braćmi. O czym chciałyś mówić?

— Ależ o tobie! Jesteś w moich oczach kimś, komu się powiodło. To mnie uspokaja. W tej chwili wszystko wokół mnie się wali. Uczepiłam się

dzisiaj ciebie, co nie oznacza bynajmniej, że nie miałam ochoty, żebyś ty także runął. Ale przed chwilą, kiedy spuściłam wzrok, bo chciałam, żebyś pomyślał, że śpię, patrzyłam, jak się modlisz...

— Ja?! Nie modliłem się.

— Daj spokój! Zamknęłaś się w samym sobie szukając czegoś, co pomogłoby ci mnie zwyciężyć. Zrozumiałam to. Obserwowałam cię przez całe przyjęcie. Chodziłeś wśród gości rozmawiając o tym, co mogło zainteresować kogoś, kto wyglądał na znudzonego. Można by było wziąć cię jedynie za bardzo uprzejmego światowca, a jednak przebywałeś w pewnego rodzaju no man's land, który chronił cię, oddzielał. Była to w moich oczach szczególna ilustracja samotności księdza, samotności, która będzie kiedyś twoją samotnością. Chciałabym, żebyś mi o tym opowiedział. Mów mi, Piotrze, o wszystkim, o czym tylko zechcesz. Pomóż mi ucześć się czegokolwiek.

— Naprawdę nie chcesz mi powiedzieć, co cię boli?

Laurence puściła dłoń Piotra, odsunęła fotel i usiadła na nim z podciągniętymi nogami przy oparciu.

— Nie wpytuj mnie. Ale błagam, mów! Zainteresuj mnie czymś!

— Ależ samotność księdza jest koniecznością — powiedział Piotr. — Sam ją wybrał. Że czasem cierpi, gdyż nie czuje się tak jak inni, cóż bardziej naturalnego! Podczas eleganckiego przyjęcia, jak na przykład to dzisiejsze, widzimy dokładnie, że znajdujemy się poza nawiasem. Ale takie uczucie można przezwyciężyć, przełamać.

— Chciałabym ci wierzyć. Ale kobiety?... Miłość?

— Na pewno to jest problem.

— Czy sprawiłoby ci przykrość mówienie o tym?

Piotr uśmiechnął się:

— Ani trochę. Jesteśmy, Laurence, bratem i siostrą. Powiem wszystko, co cię interesuje na ten temat. Pytaj.

— Czy seminarzyści nie cierpią, że muszą zrezygnować z małżeństwa?

— Skoro człowiek chce zostać księdzem, to znaczy, że pożera go pragnienie absolutu. Pragnie uczynić z samego siebie totalny dar dla Boga i ludzi, nie spoglądając wstecz. Ksiądz, żenić się?... Pożądać słodczy małżeńskiej miłości?... Wydaje się to równie absurdalne jak widok żołnierza nie stającego do walki z powodu dziecka, które musi odprowadzić do przedszkola. Możliwe, iż czasem ten lub ów myśli w trudnym momencie, że mógłby być się ożenić, że zakładając chrześcijańską rodzinę mógłby udokumentować swoją miłość do Chrystusa wychowując dobrze dzieci, odgrywając rolę społeczną w swoim środowisku, kochając żonę jak Chrystus kochał Kościół, to znaczy miłością głęboką, religijną, bez skazy. Ale nie dłużej zatrzymuje się nad tym niż marynarz, który podczas burzy pragnie zostać rolnikiem. Są oczywiście tacy, którzy nie wypływają już na morze, są żołnierze, którzy zrezygnowali z udziału w potyczkach, i są seminarzyści, którzy nie zostają księżmi. Wszystko może się zdarzyć.

— Ale problemy seksualne?

— Uważasz, Laurence, że właśnie ty powinnaś ze mną o tym rozmawiać?

— Dla mnie nie jest to temat tabu. Nie jestem już dziewczyną, chyba się domyślasz.

Piotr wzruszył ramionami. Zapalił papierosa, wypił łyk whisky i wstał, żeby zakończyć rozmowę. Spojrzał na Laurence. Płakała z twarzą ukrytą w dłoniach.

— No, no, Laurence, nie chciałem sprawić ci

przykrości. Chcesz jeszcze pogawędzić? Wiesz, że wyglądamy, jakbyśmy brali udział w telewizyjnym programie twarzą w twarz? I nie wypadamy specjalnie mądrze.

— Bo mówisz same banały. Czy możesz odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie?

— Wal. Chodzi o sutannę?

— Wiedziałeś?

— Jakże moglibyśmy nie poruszyć tego tematu, tej złotej żyły? W końcu strój clergymana odbiera księdzu wiele z tajemniczości. Dzięki niemu mniej napastować nas będą kobiety bojące się mężczyzn, a jednocześnie pragnące ich. Symbolizujemy dla nich ogień, którym chciałyby się bawić, nie czując jednocześnie obawy poparzenia. Ksiądz to mężczyzna, który jednak mężczyzną nie jest. Ale skoro ten problem cię interesuje, opowiem ci pewną historyjkę. Pewien ksiądz, będący psychoanalitykiem — ponieważ to dziedzina wiodąca, a Kościół chce się z nią zapoznać — otóż ten ksiądz poddał się, jak należy, analizie dydaktycznej. Wielokrotnie odczuwał pewnego rodzaju wstręt związany z noszeniem sutanny, wstręt, którego motywacje nie były dla niego jasne. Dzięki analizie odkrył, że odczuwany czasem bunt sprowadza się do wyobrażenia, jakie jego matka miała o sutannie. Od tego momentu wszystko ułożyło się. Wyjaśniam. Wyobraź sobie, że ojciec tego księdza był skromnym robotnikiem, człowiekiem dzielnym, ale kompletnie zahukanym przez żonę, kobietę apodyktyczną. Będąc urzędniczką na poczcie i mając wykształcenie podstawowe, uważała się za intelektualistkę i gardziła mężem. Marzyła o tym, żeby urodzić syna, który zostanie księdzem, i poczęła go rzeczywiście, po nie wiem której nowennie. Ten syn był jej rewanzem na mężu, na nędznym

życiu, jakie z nim wiodła. Myślała jedynie o sutannie, którą syn pewnego dnia założy, gdyż symbolizowała dla niej fakt, że syn nie stanie się nigdy w pełni mężczyzną, ponieważ nie będzie należał do żadnej innej kobiety. Ludzie będą do niego mówić „proszę księdza”, a ona panować będzie na plebanii. Ale okazało się, że syn ma autentyczne powołanie. Bóg wzywa, kogo chce i jak chce. Nie ulega pragnieniom i modlitwom zachłanych matek. Ale takim matkom synowie zawdzięczają „kompleksy”, jakby powiedział wasz dozorca. I ksiądz, o którym mówię, zniszczywszy niewłaściwy obraz stworzony przez matkę, zrozumiał, że sutanna jest strojem kapłańskim symbolizującym podniosłe zadania tego, który ją nosi. Reprezentuje godność męską równie silnie jak toga senatora rzymskiego lub toga adwokacka, sędziowska czy profesorska. Wszyscy wiemy, jakie jest prawdziwe znaczenie tego stroju, ale jesteśmy zadowoleni, że nie musimy już nosić go na co dzień. Traci swój sens podczas jazdy motocyklem, na ulicy, przy nie wiem już jakiej pracy, przy której tylko zawadza. No więc, Laurence, jesteś zadowolona? Dobrze wyrecytowałem lekcję, której oczekiwałaś?

— Dziękuję, Piotrze. Dajesz mi gotowy artykuł, który miałam dzisiaj napisać dla „Paris Matchu”. Uspokój się, nie napiszę tego artykułu. Kiedy moje sprawy nie toczą się gładko, mam tylko jeden sposób: pracować jak wół. Dzisiaj wieczorem chciałam przygotować ten artykuł. Ale dałeś mi o wiele więcej, niż żądałam.

— Dobra, wszystko więc w porządku? Jesteś zadowolona? Już po północy. O tej porze dzieci robią „aaa”. Chodźmy spać.

— Jerzy jeszcze nie wrócił. Nie chcesz, żebyśmy



razem na niego zaczekali? Pomówilibyśmy teraz o nim.

— Nie, Laurence, nie zgadzam się. Zostaw swojego brata w spokoju.

## Rozdział 7

Łukasz Bergerac docisnął pedał gazu do dechy, żeby wyprzedzić ciężarówkę. Samochód jak pantera skoczył w ciemność. Na tylnym siedzeniu Jerzy unieruchomiony przez jasnowłosą dziewczynę, która obejmowała go za szyję, czuł się bardzo niepewnie. Widział przed sobą jedynie szerokie plecy kierowcy i rozwichrzone włosy dwóch pozostałych dziewczyn, których imion ani twarzy nie mógł sobie przypomnieć. Siedząc w sportowym, pędzącym jak wiatr wozie, Jerzy zaczynał już żałować swojej przygody. Irytowało go, że czuje nogę jednej z dziewczyn przyciśniętą do swojej, a swoją rękę na jej ramieniu. Niezbyt się nim jednak przejmowała, przytulona do Henryka Brinville. Łukasz ostro zahamował, żeby wyminąć rowerzystę. Ciała młodych ludzi tym samym gwałtownym ruchem rzucone zostały do przodu, potem powróciły na swoje miejsca. Samochód przejeżdżał przez rybackie wioski. Odrobina światła przenikała tu i ówdzie przez zamknięte okiennice. Szosa biegła teraz wzdłuż postrzępionej linii brzegu. Spokojne morze lśniło w blasku księżyca. I Jerzy, chociaż czuł się nieswojo, smakował spokój nocy niby ostatnią łaskę.

Zdecydował, że nie zostanie księdzem, ponieważ Bóg już do niego nie mówił. Bóg istnieje, Jerzy ani na minutę nie przestawał w to wierzyć. Był

tego pewny jak swoich nóg i rąk. Ale kapłanem zostaje się nie dlatego, że Bóg istnieje. Wszyscy byliby księżmi. Człowiek zostaje księdzem, odpowiadając na specjalne bardzo wezwanie Boga. Ksiądz przekłada Boga ponad wszystko, jego życie nabiera sensu jedynie w stanie całkowitego powierzenia siebie Chrystusowi, a jest to możliwe właśnie przez kapłaństwo. Człowiek zostaje księdzem, ponieważ kocha życie i ludzi w pewien szczególny sposób, ponieważ wezwanie od Boga jest tak silne, że zagłusza wszelkie inne pragnienia. W ustach księdza radości ludzkie mają jedynie smak popiołu. Nie wydawało się to jednak Jerzemu całkowicie słuszne. Piotr Kermorvan lubi przecież radości ludzkie. Rozumie, że innym są dozwolone. Jerzy czuł, że ciąży mu głowa. Chciałby zasnąć, nie myśleć o niczym. Czemu znalazł się w tym samochodzie? Podskoczył nagle. Przecież właśnie tego chce. Piotr jest szczęśliwy, bo nie stawia sobie pytań. Jerzy, przeciwnie, od roku już tłucze bez przerwy głową o mur. Trzeba z tym skończyć. Czymże są ludzkie radości? Są wśród nich radości czyste i nieczyste, ale jakie to ma znaczenie? Dla Jerzego liczy się jedynie problem, jakie życie ma wybrać. Prawie żałował, że ma świadomość wolności tego wyboru. Wstąpił do seminarium, ponieważ w pewnym momencie wydało mu się to najlepszym rozwiązaniem. Jedynym sposobem osiągnięcia szczęścia, uzyskania harmonii między tym, co dostrzegął w sobie samym, a światem zewnętrznym. Przede wszystkim trzeba posiadać dar pewnego rodzaju spojrzenia, które przemienia świat. Ten królewski dar, którym cieszył się wówczas, gdy Bóg do niego przemówił. A teraz cierpiał z powodu Jego milczenia. To, co dawniej wydawało mu się tak łatwe, teraz jest nie do zniesienia. Życie rysowało się przed nim długie



pustyni, gdzie nie słyhać już żadnego głosu? Do Jerzego należy decyzja. Jeśli Bóg chce go jeszcze, przemówi... „Wyślę Aniołów, którzy cię poniosą, abyś nie zranił stopy swej o kamień.” Ten fragment Pisma nie stanie się martwą literą ilustrującą jego historię. Przecież Bóg nie stracił dla niego serca, ma oczy, uszy, ma usta, którymi może przemówić. Mocnymi ciosami sięgał aż do najgłębszych zakamarków duszy Jerzego, a teraz pozostawił swe dzieło nie dokończone. Jerzy czepiał się Boga z uporem pijaka. To nie whisky, wypita dzisiejszego popołudnia w Kerdouarec'h, sprawiła, że jest pijany, ale rozpacz, która zmusi Boga do mówienia lub Jerzego do opuszczenia seminarium.

Hamulce renault alpine zapiszczały na skraju drogi. Santenac, wyrwany z głębi samego siebie, ostatni wyszedł z wozu. Samochód zatrzymał się nie przed kinem, jak było postanowione, ale przed gospodą o osobliwie udekorowanej fasadzie: namalowane z ludzłą oko dokładnością koła ratunkowe, bandery i kluzy, z których zwieszały się łańcuchy i kotwice. Wielkie rybackie sieci z korkowymi pływakami służyły za portiery. Łukasz Bergerac i Henryk Brinville przepuścili przodem dziewczęta. W pełnym świetle wydały się Jerzemu nadmiernie wymalowane, rozczochrane i bez wdzięku. Wszystkie trzy poszły do toalety, a przebrany za operetkowego korsarza maître d'hôtel zaprowadził młodych mężczyzn do stolika ustawionego w kącie sali, skąd widać było morze, w regularnych odstępach omiatane świetlnym snopem latarni morskiej.

Jerzy, kiedy tylko usiadł, poczuł, że znika jego trwoga. Odruchowo liczył błyski światła: raz-dwa-trzy-cztery, potem przerwa, wtedy morze odzyskiwało mroczność.

Bergerac i Brinville studiowali kartę dań. Dziewczęta zajęły swoje miejsca i młody Santenac nareszcie odróżniał je od siebie. Ta, która siedziała przy nim w samochodzie i która znowu przytulała się do niego, miała cerę matową, wielkie bladoszare oczy ocienione rzęsami czarnymi jak węgiel. Stanowiły jedyny urok tej trójkątnej twarzy o wąskich wargach i marnych, bezbarwnych włosach. Zauważył chude ramiona, kościste dłonie i zbyt długie paznokcie pomalowane na taki sam pomarańczowy kolor co suknia. Dwie pozostałe dziewczyny, jedna brunetka ubrana na niebiesko, druga w rudej peruce i białej sukience, zbyt daleko posunęły się we flircie z Łukaszem Bergerac i Brinville'em. Studiując kartę obejmowały swych partnerów za szyję. Jerzy zadawał sobie teraz pytanie, jak to się stało, że zaproszono je do Kerdouarec'h. Czuł się straszliwie samotny siedząc przy swojej sąsiadce i pragnął, żeby dziewczyna odezwała się. Zaskoczyła go łagodna, trochę śpiewna barwa jej głosu, kiedy powiedziała:

— Nazywam się Aniela. Zabawne, no nie?...

A ty?

— Jerzy.

Położyła dłoń na jego dłoni.

— Jesteś studentem, prawda?

— Studiuję.

Nic o nim nie wiedziała, to oczywiste. W Kerdouarec'h na pewno nie zauważyła koloratki. Bergerac i Brinville, wyciągając Jerzego, zaproponowali mu jedynie kino. Czy już wtedy wiedział, że to tylko pretekst? W każdym razie podjął ryzyko, poszedł do ojca udając, że chce go zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. W rzeczywistości chciał jedynie wziąć ze stojącej w łazience szafy krawat i koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Kołnierzyk był zresztą o wiele za obszerny na jego chudą

szuję i przeszkadzał mu. Ubierając się jak „człowiek wolny” — lub lepiej jeszcze „jak człowiek, który się wyzwala” — Santenac postanowił zrobić to właśnie, co doprowadziło go do tej gospody.

— Decyduj się, Jerzy, przestań marzyć — powiedział Bergerac. — No już, zjesz ostrygi jak wszyscy. Są tutaj znakomite, nawet w środku lata. Co powiedzielibyście następnie o homarze po armorykańsku? Dla mnie wystarczy. Ale jest również turbot w śmietanie, specjalność „Szalupy”. Przyznajcie, że miałem kapitalny pomysł, żeby przyjechać do tej knajpki! Orkiestra jest znakomita i możemy się tylko z tego cieszyć.

Na udekorowanej rybackimi sieciami estradzie grupa muzyków przebranych także za korsarzy, z czerwonymi chustami na głowach, w pasiastych spodniach i porozpinanych koszulach, zaatakowała szaleńczy jerek.

Bergerac i Brinville pociągęli dziewczęta.

— Chodź, Jerzy. Zatańczmy z nimi — powiedziała Aniela.

— Tańcz, z kim ci się podoba — odparł. — Nie znoszę tego.

Dziewczyna spojrzała na niego i przysunęła się jeszcze bliżej. Z ramieniem przy jego ramieniu, z ustami tak blisko jego twarzy, że wdychał mdłą woń jej oddechu, szepnęła:

— Tańczenie dla samego tańczenia też mnie nie interesuje. Chcę być blisko ciebie.

Sprawy toczyły się zbyt szybko jak na gust Jerzego. Chciałby teraz umieć tańczyć, choćby dlatego, żeby zniknąć w tłumie. Pozostając na miejscu, wyróżniał się. Ale jak tego uniknąć? Tańiec nie zobowiązywał już do niczego teraz, kiedy dokonany został pierwszy, najtrudniejszy krok. Był idiotą nie chodząc w liceum na lekcje tańca, jak radziła matka. Wprawdzie Laurence dała mu

kilka lekcji. Na myśl o siostrze ogarnęła go rozpacz. Był pewny, że z nią tańczyłby tu, w tej sali, i nie byłby śmieszny. Ponieważ chciał się uwolnić, musiał coś przedsięwziąć. Dziewczyna siedziała nadąsana z nosem utkwionym w talerzu.

— Nie jesteś zbyt zabawny — powiedziała.

— Dopiero teraz zauważyłaś?

— Nie żartuj ze mnie i wytłumacz, po co w takim razie pojechałeś z nami.

— Nie zrozumiałabyś. Spójrz na tego chłopca, który zbliża się, żeby poprosić cię do tańca. Idź z nim.

Bez słowa wstała, by wykonać z wielkim facetem o twarzy boksera najprzedziwniejszą rytmiczną gimnastykę. Głęboko wydekoltowana suknia odsłaniała jej szczupłe plecy, z których sterczały łopatki.

Kelner przyniósł ogromną tacę ostryg, ułożonych na stosie lodu. Riesling był znakomity. Jerzy wypił wielki kielich, potem drugi. Smakował chropowaty kontakt z muszlami, z których wypijał sok połknąwszy uprzednio smakowity miąższ. Upał był nie do zniesienia. Otworzył okno, przy którym usiadła Aniela po zakończonym tańcu. Podziękowała mu uśmiechem, miała zęby zdrowe i regularne. Umalowała ponownie usta, potem nieświadomie albo świadomie zaczęła pić z kieliszka Jerzego zostawiając na szkle grubą warstwę szminki. Poczul nieprzewyciężony wstręt i postanowił przestać pić. Nie wytrzymał jednak przy tym postanowieniu. Wino wywoływało stan takiego błogostanu i pewności siebie, że poprosił kelnera o nowy kieliszek.

Dwie pozostałe pary, które nie krępowały się ani trochę, robiły wrażenie obojętnych na wszystko, co działo się poza nimi. Jednak Bergerac wielokrotnie posyłał w kierunku Jerzego porozumie-

wawczy uśmiech. Aniela ujęła dłoń swojego towarzysza.

— Czy aż tak bardzo ci się nie podobam? — zapytała.

— Ależ nie. W przeciwnym wypadku nie przyjechałbym tu.

— Naprawdę nie zatańczysz ze mną?

— Powiedziałem ci, że czuję wstręt do tańczenia.

— Dobra, jasne. Wyjdźmy, zgoda?

Czyste i świeże powietrze nocne chwyciło go za gardło. Przeszli przez jezdnię i szli w milczeniu pustą plażą. Aniela uwiesiła się ramienia Jerzego i przytuliła do niego. Szedł wielkimi krokami i czuł, że dziewczyna męczy się, że ciąży mu coraz bardziej. Chciał uciekać. Ale ucieczka doprowadziłaby go do punktu wyjścia, do większej jeszcze trwogi. Gdyby Bóg chciał interweniować, już by to uczynił. Zdawało się, że nie zależy mu specjalnie na wydobyciu zbłąkanego seminarzysty z impasu. Ten zaś zadawał sobie pytanie, czy jest w stanie kochać tę kobietę. Miał zmysły i miał serce, ale ta uległa dziewczyna, która lgnęła do niego, budziła w nim jedynie odrazę nie do pokonania. Walczył nie o to, żeby się od niej uwolnić, ale by mieć siłę, która pozwoliłaby na zawsze uwolnić się od seminarium. Jak się do tego zabrać? Powinien zdać się całkowicie na doświadczenie Anieli. Czemu nazywa się Aniela? Trzeba z tym skończyć. Jerzy liczył błyski latarni morskiej, która swym białym światłem omiatała morze. Przeczeka trzy obroty, potem ruszy do szturmu. Raz-dwa-trzy-cztery. Znowu na kilka minut zapadł głęboko w mrok, ale zaraz wszystko zacznie się od początku.

— Nie chciałbyś usiąść? — spytała dziewczyna.

— Jeśli chcesz.



Oparli się o skałę w miejscu, gdzie piasek był suchy. Dziewczyna oparła głowę na piersi Jerzego. Czuł na policzku masę jej włosów, sztywnych od taniego lakieru i szeleszczących jak wyschła słoma. Dochodzący od morza zapach morskich wiewiórek mieszał się z delikatnymi wyziewami mokrego od potu ciała. Jerzy nie czuł podniecenia. Z odrazą myślał o podkładzie spływającym z tej banalnej twarzy i rozplywającym się na klapie jego marynarki. Cofnął się.

— Dziwny z ciebie chłopak — powiedziała.

Ta poufałość drażniła go, ale pasowała do całości. Zadawał sobie pytanie, dokąd pozwoli się jej zaprowadzić.

— Nic nie mówisz, kochanie, ale nie powinnam się dziwić. Bergerac uprzedził mnie.

— Uprzedził? O czym?

— Że jesteś nieszczęśliwy.

Była to jedyna prawda wśród całego kłamstwa, w którym tkwił od wyjazdu z Kerdouarec'h

Nie odpowiedział. Dziewczyna przytuliła się mocniej, podniosła z piasku jego bezwładne dłonie, ścisnęła je w swoich i pokryła szybkimi pocałunkami. Potem przycisnęła przez dłuższą chwilę wargi do gorącego wnętrza dłoni. Jerzy, który do tego momentu nie stawiał oporu, poczuł, przy tym wilgotnym dotyku, rozdrażnienie. Dziewczyna mruczała:

— Kocham cię, najdroższy.

— Bez żadnych romansów, jasne? Dość tego!

Gniew, który go opanował, zmieszany był z jakąś brutalną dzikością. Nie spodziewał się, że tkwią w nim tak niesłychanie gwałtowne instynkty. Pchający go impuls silniejszy był niż wstręt wobec aktu, który chciał teraz popełnić. Obrócił się i przycisnął dziewczynę do ziemi. Białe światło latarni oświetliło zsiniałą i błędną twarz, na

której nie było już uśmiechu. Zanim Jerzy zdążył przygnieść ją swoim ciężarem, Aniela zerwała się.

— Ty łajdaku! — krzyczała. — Jesteś takim samym łajdakiem jak inni! Jesteś zupełnie taki sam jak inni!

Jerzy stojąc przed nią usiłował się opanować. Ale rozwścieczona dziewczyna drapała go po twarzy, policzkowała, próbowała gryźć.

— Ty wstrętny księżulku, wstrętny księżulku! — krzyczała. — Zjeżdżaj stąd! Zjeżdżaj!

Jerzy przez godzinę szedł szosą jak lunatyk. Zmęczenie, rozpacz i wstręt do samego siebie sprawiały, że czuł się fizycznie bardzo źle. Miał wrażenie, że wyrwał z siebie serce i duszę. Krwawił całym sobą. Nie wiedział już, w jakim kierunku idzie. Chwilami biegł, potem stawał, żeby zaczerpnąć tchu, i znowu ruszał jak szalony. Mijały go jadące w jedną lub w drugą stronę samochody. Zapiszczały na szosie opony. Wielki mercedes zatrzymał się prawie go dotykając. Jerzy dostrzegł w środku twarz młodej kobiety.

— Proszę wsiadać szybko — powiedziała. — Spieszę się. Dokąd chce pan jechać?

Jerzy usiadł przy niej prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, i wymienił nazwę Kerdouarec'h. Kobieta zaczęła wyjaśniać:

— Dobrze się składa, to po drodze. Jadę trzy kilometry dalej, do kliniki, wiozę tam mojego synka. Ma chyba ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Mógłby pan spojrzeć do tyłu i zobaczyć, czy się nie odkrył? Leży na tylnym siedzeniu. Dałam mu phenergan, bo tak radził chirurg, do którego zadzwoniłam przed wyjazdem.

Mówiła głosem łagodnym, o przyjemnym brzmieniu. Dlaczego zatrzymała się?

— Bałam się, że Yves obudzi się, że zacznie znowu wrzeszczeć i cierpieć jak przed chwilą.

Modliłam się więc: „Boże, spraw, żeby pojawił się na szosie ktoś, kto mógłby mi pomóc!” I zobaczyłam pana... Czy nie wydaje się to panu opatrnościowe?... Spędzam tu wakacje w samotnej willi. Mój mąż wrócił tydzień temu do Paryża. Młoda Niemka, która zajmuje się dziećmi, została z młodszym rodzeństwem Yves'a. Mógłby pan rzucić jeszcze raz na niego okiem? Zapalę światło. Ja nie mogę odwrócić głowy, muszę jechać szybko. To sprawa minut. Kiedy znalazłam się na szosie, natychmiast zrozumiałam, jaką nieostrożność popełniłam. Ale czekanie na karetkę pogotowia albo na taksówkę byłoby zbyt wielką stratą czasu.

Kiedy mówiła, Jerzy patrzył do tyłu na ciemne loki, które wylaniały się spod różowego pledu. Przy zapalonym świetle mógł także przyjrzeć się młodej kobiecie o włosach koloru dojrzałych kasztanów i o profilu jak z modlitewnika. Mówiła dalej:

— Czy wie pan, jak to wygląda w przypadku ostrych stanów zapalnych wyrostka? O Boże, żebyśmy dojechali na czas! Niech pan się modli. Jeszcze dwadzieścia kilometrów — prawie kwadrans. Czy mógłby pan dotknąć czoła biednego Yves'a?... Zorientuje się pan, czy ciągle ma wysoką temperaturę.

Dziecko miało głowę rozpaloną, ale spało. Młoda kobieta zatrzymała samochód przed aleją Kerdouarec'h. Jerzy zaproponował, że będzie jej towarzyszył do samej kliniki. Nie chciała o tym słyszeć, mówiąc, że chłopiec jest teraz bardzo spokojny i że pozostało jej pięć minut drogi. Podziękowała jeszcze raz Jerzemu, jakby był aniołem, którego Bóg umieścił jej na drodze, by nie była sama.

Piotr nie mógł zasnąć. Dopiero o pierwszym brzasku usłyszał, jak Jerzy wchodzi do sąsiedniego pokoju. Głuchy odgłos butów zdejmowanych i rzuconych kolejno na dywan powstrzymał go. Muszę pozwolić mu położyć się — pomyślał. — Nie chcę widzieć go w stanie, w jakim znajduje się w tej chwili. Obmyje twarz zimną wodą, weźmie się w garść. O Boże, żeby umył się, żeby się przewietrzył, żeby zapanował nad wyrazem twarzy!

Usłyszał jęk sprężyn materaca. Nie wytrzymał, włożył szlafrok i bez pukania wszedł do pokoju przyjaciela. Santenac leżał rozwalony na łóżku z rozrzuconymi szeroko nogami; nie zdjął marynarki, rozpiął jedynie kołnierzyk koszuli i rozwiązał krawat. Krawat był pierwszą rzeczą, jaką Piotr zauważył. Jerzy musiał więc wyjść bez koloratki.

Zawziął się po naszej dyskusji — powiedział sobie Piotr. — To było do przewidzenia.

Jerzy chrapał. Piotr potrząsnął go za ramiona. Chłopak obrócił się na bok, skulił w kłębek i warknął przez zęby:

— Nie możesz zostawić mnie w spokoju?...

Mimo napiętej przez cały czas uwagi Piotr nie słyszał, żeby do Kerdouarec'h przyjechał samochód. Jedynie posępne wycie psów przeniknęło ciszę nocną. Buty Jerzego leżące przy poręczy łóżka, pokryte były błotem. Przyjaciele musieli spławić go po drodze i wrócił na przelaj przez pola — powiedział sobie Piotr. Jerzy nie wzbudzał w nim cienia litości, a tylko odrazę i silny gniew. I ta zwariowana Laurence, ze swoją wczorajszą próbą uwiedzenia! Chciała zwabić go w swoją sieć jak pająk muchę. Ośmieszyłem się trochę sposobem wyjścia z tej sytuacji. Przemawiałem do

niej jak belfer. Ale jakoś poradziłem sobie — powiedział sam do siebie. Ta walka wyczerpała go jednak w tym samym stopniu co bezsenna i pełna niepokoju noc oczekiwania na Jerzego. Kerdouarrec'h budziło w nim odrazę jak te zatrute wody o spokojnej powierzchni. Miał ochotę uciekać. Z samego rana wsiądzie na motor. Zostawi karteczkę z przeprosinami. Pojedzie prosto do seminarium i porozmawia z ojcem Cahuzac. Miał już tego dosyć, miał dosyć tych przymusowych wakacji i pełnienia roli anioła stróża Jerzego, który czepiał się go rozpaczliwie, ale lekceważył jego rady. Piotr przewidywał, co wydarzy się z tymi przybłędami, z którymi Jerzy wczoraj pojechał. Niepotrzebne tu żadne wykrętne tłumaczenia, w które Santenac zabrnje za chwilę, by zrzucić z siebie winę lub by pogrążyć się w zwykłych dla niego od kilku tygodni stanach rozpacz.

Piotr odjedzie, ponieważ nic nie może dla nikogo zrobić. Chodził wzdłuż i wszerz pokoju przyjaciela, nie troszcząc się, że może go ktoś usłyszeć. Jedynie Laurence mogłaby tu przyjść. Na myśl, że mogłaby przyjść do pokoju brata, poczuł, jak fala czułości wypełnia mu serce. To prawda, niewątpliwie kochał ją. Kochał miłością wielką, miłością rozświetloną zrozumieniem rzeczy wiecznych, jedyną miłością, jaka może rozpalić serce księdza. Problem księdza, samotność... No, no! Nieprawda! Znak kapłaństwa to właśnie ta zdolność kochania z oddaniem tak głębokim i całkowitym, że nie pozostaje już nic własnego i że radość oraz cierpienie można odczuwać jedynie na rachunek innych. Zrozumiał nagle, że nie miał racji próbując zdefiniować swoje uczucia, gdyż zniekształcał je przy tym.

Powrócił do Jerzego, potrząsnął nim znowu chwytając za ramiona. Chłopak odwrócił się z ję-

kiem. Pijany jak bela. Będzie spał dziesięć godzin bez przerwy — powiedział sobie Piotr. Podszedł do toaletki, wziął dzban z wodą i bezlitośnie chlusnął jego zawartością na głowę Jerzego. Chłopak zakrzuszył się, potem usiadł i zaczął łkać.

— Dosyć tego robienia z siebie idioty! — powiedział Piotr. — Przestań ryczeć jak wół, bo obleję cię znowu wodą. Wytrzymaj się, masz tu ręcznik.

Jerzy płakał ciągle, spazmując chrapliwie i przeciągle.

— Dość tego — krzyknął Piotr policzkując go raz za razem. — Trzeźwiej. Najwyższa pora.

— Ale co ja zrobiłem? Co zrobiłem? — jęczał Jerzy.

— Przypomnisz sobie jutro. Dalej, rozbieraj się.

Chłopak zdjął mokre ubranie i włożył piżamę.

— Ale mam zupełnie mokre łóżko! Nie będę mógł w nim spać.

— To kładź się na ziemi. Masz tu kołdrę.

Nazajutrz koło ósmej wracając ze mszy Piotr wszedł do kuchni, żeby zjeść śniadanie. Anna Santenac wycierała talerze, które Heloiza myła i ustawiała na suszarce.

— Jak to, Jerzy nie jest z panem? Nie obudził go pan?

— Nie, proszę pani. Wrócił bardzo późno. Musiał się wyspać.

— Pan także nie poszedł spać zbyt wcześnie, Piotrze. Słyszałam, jak gawędził pan wczoraj długo z Laurence. Czy wie pan, że przed chwilą wyjechała?

— Ale nie planowała tego wyjazdu?

— Po niej wszystkiego można się spodziewać. Marquet wzywa ją, kiedy tylko jest mu potrzebna. Zadzwonił dzisiaj rano. Gdzieś o szóstej. Nie lubię, jak Laurence prowadzi. Tym nowym samochodem pędzi jak szalona. Ona zawsze ma nieoczekiwane

reakcje. Ale nie chodzi o nią, chodzi o pana. Musi pan umierać z głodu, Piotrze. Kawa jest gorąca, zaraz podam. Nie, byłoby miło z pana strony, gdyby zaniósł pan tacę Jerzemu. Razem zjecie śniadanie. Nie wiem, kiedy ten leniuch wstanie. Heloiza nie lubi, kiedy kawa przez cały ranek przestawiana jest w kuchni z jednego kąta w drugi.

— Do licha, panie Piotrze — powiedziała stara służąca. — Trzeba postawić się na moim miejscu. Ten cały galimatias do sprzątnięcia, Laurence, która wyjeżdża, Jerzy, który jeszcze nie wstał!... Szczęściem pani generałowa ma reumatyzm i nie przychodzi plątać się pod nogami i rozkładać wszystkiego, gdzie popadnie. Aha, panie Piotrze, niech pan nie zapomni o konfiturach z pomarańczy. Mój króliczek bardzo je lubi. Smaruje nimi zawsze kromki z masłem. Na nim skóra i kości. Musi trochę nabrać ciała, zanim wróci do seminarium.

Jerzy nie spał, kiedy jego przyjaciel wszedł do pokoju. Siedząc w fotelu z dłońmi ułożonymi na kolanach patrzył nieruchomo przed siebie. Piotra uderzyła jego chudość, szara cera i błędny wyraz oczu. Posprzątał pokój, rozwiesił mokre prześcieradła na krzesłach, żeby wyschły. Piotr postawił tacę na stole.

— Wybacz, Jerzy, za tę noc, ale to było ode mnie silniejsze. Nie mogłem pogodzić się z tym, że widzę cię w takim stanie.

— Widziałeś jedynie stronę zewnętrzną. Nie ona jest straszna. Muszę ci powiedzieć wszystko.

— Najpierw zjedz. Potem zobaczymy.

Jerzy przełknął filiżankę czarnej kawy. Piotr odczuwał nieskończony smutek. Chciałby odwlec moment, kiedy Jerzy zacznie mówić. Dobrze wiedział, co usłyszy. Nie lubił konfitur z pomarańczy.

Wziął ich sporą łyżeczkę, położył na talerzyku i bez pośpiechu rozsmarował na grzance. Wszystko wydawało mu się dobre, byleby tylko zyskać na czasie. Santenac przyglądał mu się w milczeniu.

Piotr czuł, jak serce mu mięknie. Miał gwałtowną chęć wziąć Jerzego w ramiona, położyć jego głowę na swoim ramieniu. Ogarniały go fale czułości. Przypomniawszy sobie święty werset: „Jak dziecko, które kołysze matka...” Ale krępowała go męska wstydlivość.

— Wyjdźmy — powiedział. — Na dworze lepiej się nam będzie rozmawiało.

Zeszli w milczeniu i zagłębili się w aleję kasztanów, zrudziałych już, bo jesień blisko.

Pierwszy odezwał się Jerzy:

— Odgadłeś wszystko, prawda? — zapytał półgłosem.

— Jak daleko się posunąłeś?

— Gdyby zależało to ode mnie, posunąłbym się do samego końca. Ale jestem zbrukany... nie, nic nie mów. Jasno widzę, co się stało. Jestem za swoje postępowanie całkowicie odpowiedzialny. Chciałem tego, kiedy dyskutowaliśmy na dole przy schodach. Nie zostałem wciągnięty. Z własnej woli pojechałem z Łukaszem Bergerac, Brinville'em i paczką ich dziewczyn. Zanim pojechaliśmy, wziąłem krawat i koszulę ojca. Wszedłem pod pretekstem, że chcę go zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. Nie tyle dlatego, że chciałem popełnić głupstwo, raczej żeby, będąc ubrany jak wszyscy, uwolnić się od tej trwogi, która skręcała mi wnętrzności od momentu przyjścia pierwszych gości. A tobie było obojętne, że czuliśmy, jak bardzo obcy jesteśmy na tym świecie, jak bardzo odcięci od pozostałych ludzi?



— Chcemy zostać księżmi, więc odcięci jesteśmy od świata. Nic nowego.

— Bez wątpienia. Ale są chwile, kiedy nie mogę tego znieść. Wczoraj odczułem to w sposób tak gwałtowny i tak rozpaczliwy, że zrobiłbym wszystko, byleby tylko uciec od tego uczucia zerwania. Ale prosiłem cię, żebyś z nami pojechał. Pamiętasz, Piotrze, błagałem cię.

— Dlaczego chciałeś, żebym z tobą jechał?

— Trudno to wyjaśnić. Mówiłem sobie: Jestem jak inni. Jestem jeszcze jak inni. Ale kapłaństwo, do którego przygotowujemy się, już do nas przywarło. Gdybyś pojechał ze mną, wszystko byś usprawiedliwił.

— A co należało usprawiedliwić? Pijaństwo z tymi przybłędami... spanie z dziewczynami?... To miałem usprawiedliwić?... No, dalej, przyznaj się!...

— Piotrze, spróbuj mnie zrozumieć. Gdybyś wiedział, jak się miotam!... Boję się nie zostać księdzem. Bóg, który tak długo trzymał mnie za rękę, który sprawiał, że pragnąłem Go!... No więc, ten Bóg od jakiegoś czasu zdaje się mną nie interesować. Pozostawia mnie w spokoju, jakbym stał mu się obojętny. Miotam się między dwiema strefami zakazanymi. Z jednej strony świat, który odpycha mnie, odrzuca. Zbyt dobrze zrozumiałem wczoraj jeszcze raz, że jestem dla wszystkich obcy. Tobie jest to oczywiście obojętne. Nie należysz do rodziny. Nie słyszysz stryja Liancourt, który mówi: „No, jak tam, Jerzy, w seminarium?... Ciekawe, że nie zostałeś jezuitą, ale w końcu jeden ksiądz nie różni się od drugiego. Księża są potrzebni. Dobrze jest iść za swoim powołaniem”, a w gruncie rzeczy gwizdże na to, czy zostanę księdzem, czy też nie. Zdawało mi się, że unosi mnie łódź, która oddala cumy, że unosi mnie ku

odległym lądom, skąd nigdy się nie wraca. Krew-  
ni i przyjaciele wymachując na nabrzeżu chustecz-  
kami myślą jedynie o tym, żeby łódź zniknęła  
im z oczu, bo chcą wrócić do swych zajęć, do  
świata, gdzie nie ma już miejsca dla tego, który  
odpłynął. Kapłaństwo jest dla innych. Człowiek  
będąc księdzem staje się „innym”. Nawet kiedy  
wmieszani jesteśmy jak wczoraj między rodzinę  
i zachowujemy się dokładnie tak samo jak wszy-  
scy. Widzą w nas ofiary jakiejś mutacji genowej.  
Młodzi, nasi rówieśnicy, śmieją się, dyskutują  
o sprawach, o których moglibyśmy dyskutować  
razem z nimi. Zbliżamy się i... trach, tamci milk-  
ną, zmieniają wyraz twarzy. Szukają tematu roz-  
mowy, bo chcą być mili. Mówią o malarstwie,  
muzyce, wędkarstwie lub powietrznych lotach...  
Nawet w sprawach tak prostych dają nam do zro-  
zumienia, że od innej już strony patrzymy w lor-  
netkę.

— Przecież to normalne. Wiedziałeś o tym.

— Tak i budziło to mój entuzjazm, kiedy czu-  
łem, że znajduję się na przeciwległym zboczu  
góry. W słońcu miłości Bożej. A teraz jest noc,  
jest zimno, mam w sercu chłód, jeśli chodzi o Bo-  
ga. Nie mogę jednak wierzyć, że Bóg nie ist-  
nieje.

— Dobre i to!

— Zadaję więc sobie pytanie, czemu chciałem  
tego, co wydarzyło mi się wczoraj. Posłuchaj,  
Piotrze, nie chcę niczego owijać w bawełnę. Nie  
nastąpiło dokładnie to, czego chciałem. Chciałem  
czegoś gorszego. Bez wątpienia wierzyłem, że Bóg,  
widząc mnie w takiej rozpacz, obudzi się, że  
nagle wyciągnie mnie z tej przepaści, w którą  
chciałem się rzucić. I nic!... Nic!... Bóg jest głu-  
chy.

Dwaj seminarzyści usiedli teraz koło siebie w lasku na pniu drzewa wyrwanego z korzeniami.

— Daj mi, Jerzy, papierosa i spróbuj opowiedzieć dokładnie, co się zdarzyło.

— Nic, nic, przecież ci mówię. Bóg nie przyszedł.

— Inaczej mówiąc, gwizdzesz i Bóg jak pudel przybiec ma na twoje wezwanie.

— Daj mi spokój, Piotrze, skoro niczego nie chcesz zrozumieć!

— Przestań bredzić i przejdź do faktów. Włożyłeś białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i krawat ojca. Pojechałeś samochodem tego kretyna Bergeraca razem z Brinville'em i trzema dosyć rozchełstanymi dziewczynami.

— Pojechaliśmy do „Szalupy”, nocnej knajpy, która znajduje się nad morzem, w pobliżu Concarneau.

I Jerzy niczego nie opuszczając opowiedział wszystko, co się zdarzyło aż do momentu, kiedy opuścił młodą kobietę, wiozącą swego synka do kliniki.

— Więc kiedy właściwie się upiłeś? — zapytał Piotr.

— Po powrocie, w salonie. Znalazłem whisky. Wypiłem kilka szklanek. Chciałem o niczym nie myśleć.

— I ty twierdzisz, że Bóg przestał do ciebie mówić!... A ta kobieta, która cię odpycha, i druga, która prosi cię o modlitwę!... Więcej, która wie w swej trwodze, że powinieneś się modlić!...

— Piotrze, milcz! Miej litość, milcz!

Jerzy z roztargnieniem słuchał ojca Marneca komentującego Pismo święte. Zbyt był zaabsorbowany rozmową, jaką ma z nim odbyć jeszcze przed obiadem, żeby móc myśleć o czym innym. Miał jeszcze godzinę czasu. Odczuwał dokładnie to samo, co odczuwa chory czekający na zabieg chirurgiczny. Z tą niestety różnicą, że wiedział, iż ojciec Marnec nie dokona takiego zabiegu. To on, Jerzy, umęczony, cierpiący, otworzy lancetem własne ciało. Ksiądz będzie tylko świadkiem, widzem. Ten człowiek o żywiołowej energii, okryty zbroją bez jednego pęknięcia, człowiek, któremu zarzucano, że ma zbyt wielki wpływ na seminarzystów, on właśnie obnażał ich dusze. Nie, niezupełnie tak. Zmuszał ich, by spojrzeli na swoją nagość, a potem pozostawiał im swobodę wyboru. W diecezji uskarżano się na brak księży, ojciec Marnec był za to częściowo odpowiedzialny. Nigdy nie próbował wpływać na niczyją osobistą decyzję. „Ksiądz — mówił — jest mężczyzną. Tyle samo wart mężczyzna co i ksiądz. Jego wartość określona jest przez wybór, jakiego dokonał.” A Jerzy chciał mieć nadzieję — ale wiedział, że to szaleństwo ludzić się tą chimerą — że ojciec Marnec postawi siebie samego na jego, Jerzego, miejscu i podyktuje mu linię postępowania. Trzymałby się jej ślepo. Czyż dotychczas nie borykał się samotnie ze swoimi trwogami, wątpliwościami, cierpieniami? Oczywiście, Piotr Kermorvan jest przyjacielem nie mającym równego, wiernym, delikatnym. Ale jak znieść jego spokojną i pogodną pewność siebie? Ten rodzaj równowagi, której nic nie może zachwiać? Przyjaciół to człowiek, z którym można się identyfikować. Z Piotrem było to

niemożliwe. Podczas burzy powiew wiatru unosi piasek z wydm i pokrywa nim skały. Piasek zachowuje przez jakiś czas formę skały do chwili, kiedy następny powiew przeniesie go na inną skałę, która nada mu nową formę. Oto kim stał się Jerzy: piaskiem miecionym przez wiatr... Czy można uczynić księdza z piasku? Ojciec Marneć nie powie nawet Jerzemu, że nie jest piaskiem, ani że z piasku robi się również beton. Jerzy nie powinien się torturować do tego stopnia, powinien żyć chwilą bieżącą. Zbyt długo już się dręczy i zbyt długo krwawi mu serce. Teraz zachowa spokój i pokaże ojcu Marneć, że mimo wszystko jest mężczyzną, mężczyzną, który cierpi, ale nie daje unosić się prądowi.

Ojciec Marneć był w seminarium jednym z najstarszych przewodników duchowych, a miał za ledwie czterdzieści osiem lat. W ostatnich latach średnia wieku znacznie się obniżyła. Diecezja wyznaczała na to stanowisko księży najinteligentniejszych, najsilniejszych duchem i najbardziej przenikniętych miłością do Boga. Nic nie jest zbyt piękne ani zbyt dobre, gdy chodzi o kształcenie przyszłych księży. Biskupowi niewiele już pozostało życia. A chciał, zanim umrze, pozostawić seminarium, które świadczyłoby o jego woli dobrej Bożej służby. Podczas swojej ostatniej wizyty wywarł na wszystkich głębokie wrażenie — żółta skóra naciągnięta na kości policzkowe, oczy lśniące gorączką, głęboko zapadnięte. Prawie przez godzinę przemawiał do seminarzystów głosem poważnym, bardzo jeszcze pięknym, krągło i z zawijasami, przywodzącym na myśl wykaligrafowane pismo. Mówił o swoim zaufaniu do seminarium. Do tego seminarium gwałtownie atakowanego przez pewną frakcję chrześcijan, którzy zasłaniają się Chrystusem, by atakować Jego Kościół w tym, co ma naj-

świętszego: honor księży i biskupów... Jakże był wzruszający, kiedy przypominał słynne zdanie czwartego Ewangelisty: „Jakże powiedzieć możesz, że miłujesz Boga, którego nie widzisz, skoro nie miłujesz brata swego, którego widzisz?”

„Nie można kochać bardziej, niżli dając swe życie. Ten dar najwyższy jest niezrozumiały, o ile nie daje się swego życia z miłości. To się zdarza, moje dzieci, wierzcie mi, to się zdarza. Wiem o tym, poświęcenie życia wówczas tylko może mieć sens, gdy jest sposobem kochania jeszcze mocniej, gdy dajecie swoje życie tak, jak Chrystus dał swoje. A kochając bliskich, którzy byli z tego świata, kochał ich aż do końca, do najdalszych granic miłości. Do tej właśnie miłości Chrystus was nakłania. Ksiądz nie jest człowiekiem, który zdecydował zidentyfikować się z jednym tylko aspektem życia Chrystusa. Tak więc ten, który myśli, że reprezentuje Chrystusa wypędzając przekupniów ze świątyni, daleki jest od zamknięcia rachunku. Cóż znaczył dla Chrystusa ten akt przemocy, jaki niektórzy tak lubią przypominać? To jedynie, że świątynia jest miejscem miłości i jest świętokradztwem zajmowanie się w niej czym innym niż miłością do Boga. Ksiądz jest Chrystusem na krzyżu. To prawda, ale tu także nie błędźmy! Miłość Chrystusa dla człowieka jest uzasadnieniem cierpienia na krzyżu. Cierpienie!... Cierpienie... Nie chcę nawet o tym mówić. Bardziej oddala od Boga, niż do Niego prowadzi. Powinności, moje dzieci, czuć lęk przed cierpieniem. Ale kochajcie, niech nie nuży was miłość do cierpiących. Kochajcie ich miłością, która pozwoli wam dla nich umrzeć, żeby zaoszczędzić im cierpień. Ale zacznijcie od miłości, od miłości do człowieka. To najpewniejszy sposób kochania Boga. Kochać ich to porzucić własną wizję świata, by

wejść całkowicie w ich wizję. To identyfikować się całkowicie z Chrystusem płaczącym u grobu Łazarza. Zapłakał. Czytaliście przecież... Po co Chrystus miałby płakać, skoro wiedział, że śmierć jest spotkaniem z Bogiem? Ale płakał, jak człowiek płacze wobec śmierci. Więcej: jak człowiek oplakuje zmarłego. Nie zapominajcie nigdy: Chrystus oplakiwał Łazarza, choć wiedział, że go wskrzesi, bo identyfikował się z Martą i Marią. Jak one odczuwał lęk wobec rozdzielenia i wobec zniszczonego ciała.

Moje dzieci, bądźcie Chrystusem na krzyżu, nie po to, by przeżywać mękę Jego agonii, żeby czuć, jak rozdziera się wasza klatka piersiowa, jak krwawia ręce i stopy, ale by widzieć świat tak, jak On go wtedy widział. Myślicie, że myśl o śmierci była dla Niego słodka? Wcale nie!... Krzyczał: »Boże, Boże, czemuś mnie opuścił?« Przeżywał wtedy wszystkie wyrzeczenia się świata, wyrzeczenia konkretne i dokładnie określone. Poprzez mgłę krwi widział męża zdradzającego żonę, widział syna opuszczającego matkę. Widział, jak ten, który jest bogaty, najedzony, nie daje nic głodującemu. Był na górze Kalwarii. Wiecie, że Kalwaria oznacza nie mękę, ale »Miejsce Czaszki«. Wyniosłość w całym tego słowa znaczeniu, wzniesienie, skąd wzrok biegnie daleko. Wchodźcie moje dzieci na Kalwarię, by patrzeć na świat tak, jak patrzył Chrystus. Widział beduina pasącego na ugorze trzode wychudłych wielbłądów; widział rolnika żłobiącego pługiem bruzdę ziemi. Jakaś kobieta wracała z dzbanem na głowie od fontanny; jakieś dziecko zranione zostało kamieniem. Wchodził w każde życie. Wy także wchodźcie w życie każdego. Niech nie przychodzą do księdza jak do człowieka spieszącego się, jak do okienka od spraw ducha. To ksiądz powinien iść

do ludzi. Módlcie się, dzieci! Niech Pan nasz da waszym gorącym i niecierpliwym młodym sercom dość siły, dość miłości, by przed wszelką inną rzeczą ten, do którego podchodzicie, czuł ciepło waszego uścisku.

Nie obawiajcie się, jak powiadają niektórzy, »obrzydliwej egzaltacji człowieka«. Egzaltacja człowieka nigdy nie jest obrzydliwa. Nigdy dość przypominania świętych tekstów. Wszyscy nosicie w sercach płomienny tekst antyfony Bożonarodzeniowej »*admirabile commercium...*«. Wspaniała wymiana, przez którą Bóg zechciał osiąść naszą ludzką naturę, by zapoznać nas z naturą Boga. Wchodźcie w naturę człowieka, dokonujcie tego samego zabiegu, jaki Chrystus podjął, by doprowadzić człowieka do Boga; poznawajcie problemy każdego. Chrystus wcielił się. Przybrał oblicze epoki, obyczaje i język jednego kraju. Apostoł powiedział: »Bądźcie Grekami wśród Greków«. Ja powiadam wam: »Bądźcie Chińczykami wśród Chińczyków, Afrykanami wśród Afrykanów, robotnikami wśród robotników«. Tym właśnie jest Ewangelia. Tym jest Sobór. I szczęśliwy jestem, że tego właśnie uczy się was w seminarium. Bądźcie ludźmi wiernymi Objawieniu. Przekazujcie to Objawienie w jego autentyczności, w całej jego sile. Lecz nie wiążcie się z formami wypowiedzi archaicznymi, a które były w swoim czasie rewolucyjne. Nie zapominajcie, że nowatorzy byli prześladowani przez konformistów. Kościół współczesny szczyli się, że pokazał wam nową drogę, którą możecie pójść. Jesteśmy wierni Rzymowi, wierni jego nauce, oto czemu atakują nas.

Trzeba jednak akceptować oskarżenia, skądkolwiek nadchodzą. Obelgi mogą stanowić ostrzeżenia i zawierać część prawdy. Czasem prawda dociera do nas zbrukana nienawiścią i oszczer-



stwem. Im dłużej błąkała się wśród nieczystości, tym bardziej powinna być dla nas cenna. Szukałem więc w oskarżeniach formułowanych przez pewną okropną gazetę przeciwko seminarium jakichś podstaw.”

Kiedy biskup wygłaszał to ostatnie zdanie, jego twarz rozjaśniła się bardzo delikatnym uśmiechem: „Jakiż więc wniosek, jeśli nie ten, że człowiek który napisał ów artykuł, znał seminarium równie mało jak autorzy przez niego cytowani. To prowadzi nas do Ewangelii, nad którą powinniście, proszę was, rozmyślać codziennie. Jeśli oko masz jasne, całe twe ciało będzie świetliste”.

Jerzy rozumiał, czemu przemówienie biskupa przypominało mu się z taką precyzją. Decydującą rozmowę, którą miał odbyć z ojcem Marnec, odkładał raz jeszcze, bo nie chciał mieć czystego spojrzenia. Kłamstwo mogło łudzić go jakiś czas, ale przekroczył już ostatni margines bezpieczeństwa. Spojrzał na zegarek. Do końca wykładu pozostał jeszcze kwadrans. Poufały ton ojca Marneca pasował do osobowości, bardzo na zewnątrz ugładzonej. Nigdy kora nie pasowała mniej do tego, co się pod nią kryje. Jerzy pomyślał wówczas o ojcu du Regard, tym stereotypowym jezuicie, wykrojonym na miarę, o jego dystygnowanych manierach, jego odruchach człowieka światowego, opanowaniu, a nade wszystko o zvczliwości tak doskonałej, że nie wiadomo było nigdy, co się za nią kryje. Temu stereotypowemu jezuicie powierzył niegdyś siebie w sposób tak naiwny. A również tak wspaniałomyślny — to określenie nie budziło sprzeciwu Jerzego, ponieważ odnosiło się do czasów minionych. Ojciec Cahuzac, przełożony seminarium, miał postawę pułkownika spadochroniarzy, który czyta Platona w oryginale. Komuś słabemu mógłby narzucić mentalność żołnierza.

Do seminarzysty taka mentalność doskonale pasuje. To znaczy przywiązać się bardziej do człowieka będącego wcieleniem pewnego ideału niż do tego ideału. Ale słabi nie zagrzewali tu długo miejsca. Ojciec Cahuzac był bezlitosny. Pomimo swojej wielkiej dobroci ojciec Marneć także nie szedł na kompromis w sprawach modelu seminarzysty. Był z tej samej mąki. Nie wyglądał na swój wiek, włosy miał rude i obfite, przycięte bardzo krótko, twarz dobroduszną, rumianą, czoło wysokie, brwi krzaczaste; owal twarzy, zarys podbródka i nos — Churchilla. Żartowano z niego w związku z tym podobieństwem. Śmiał się z tego. „Tkanka tłuszczowa na granitowym kośćcu — powiadał — to prawie rys osobowości.” Wzrostu wyższego niż przeciętny, o szerokich ramionach, wywierał wrażenie spokojnej siły. Był człowiekiem wesołym, lubiącym żartować. Z pogodą mówił o rzeczach poważnych. Od momentu wstąpienia do seminarium Jerzy wybrał go na swojego przewodnika duchowego. Przed każdą rozmową z nim był w szczególny sposób zmieszany, gdyż niezbyt dobrze zdawał sobie sprawę z tego, co wypada mu powiedzieć, a co należy przemilczeć. Pogoda promieniująca od tego księdza działała bardzo silnie na jego umysł. Ku własnemu zdumieniu główne zarysy tego, co chciał powiedzieć, wyłaniały się wówczas z wrażeń i odczuć niezbyt dokładnie sklasyfikowanych. Szczegóły były rozmazane, natomiast pierwszy plan nabierał wyrazistości.

Od powrotu z wakacji Jerzy zawsze starannie przygotowywał się do spotkań ze swoim przewodnikiem duchowym. Relacjonował fakty, ale bardzo dobrze wiedział, że nie dotykał spraw najważniejszych. Ojciec Marneć nigdy nie stawiał pytań. Seminarzysta miał nadzieję, że ksiądz zinter-

pretuje pewne chwile milczenia i poda mu rękę. Nigdy nie nastąpiło nic w tym rodzaju. Zdawało się, że duchowny niczego się nie domyśla. Nie ma człowieka bardziej głuchego niż ten, który nie chce słyszeć. Jerzy nie mógł mu wybaczyć tej dyskrecji.

Przyglądał się księdzu kończącemu wykład. Ubrany z powściągliwością, nie pozbawioną elegancji, bardziej przypominał profesora Sorbony niż wykładowcę seminarium komentującego Pismo święte. Jerzy rzucił okiem na zegarek. Pozostało jeszcze dziesięć minut. Ogarniała go trwoga, gdyż nadszedł czas liczenia każdej ubywającej minuty. Gdyby zapytano go, co powiedział dotychczas ojciec Marneć, nie byłby w stanie odpowiedzieć. Czuł, że dokonało się w nim jakieś rozdwojenie. Myślał jedynie o decydującej rozmowie, której oczekiwał teraz jak bolesnego wybawienia. Słowa biskupa dlatego tak mocno go zajęły, że cały problem powołania obracał się wokół tej osi. Nagle zaskoczył go inny ton głosu ojca Marneca. Zdarzało się to zawsze, ilekroć oddawał się osobistym i nieoczekiwanym improwizacjom, które nadawały szczególny smak jego naukom.

Nawet jakość ciszy panującej w sali uległa zmianie. Jerzy patrzył na seminarzystów siedzących kręgiem wokół podwyższenia. Po lewej stronie, niby na medalach nakładały się na siebie profile Ludwika Le Touzé, Jakuba Lemarque i Piotra Kermorvana. Pomimo odmienności rysów byli do siebie w tym momencie podobni dzięki temu samemu chciwemu wyczekiwaniu. Nikt już nie notował. Ojciec Marneć wstał i podkreślając frazy wyrazistymi gestami odgrywał opisywaną scenę.

— Najświętsza Panna — mówił — towarzyszyła swojemu Synowi i przyglądała się, jak przebiegają gody. Miała na sobie świąteczny strój, długą suk-

nię z białej wełny, opadającą miękkimi fałdami i chustę z tego nocnego błękitu, który otrzymywano niegdyś z barwników roślinnych i których tajemnicę zachowali Tuaregowie.

Podczas tej uczty weselnej Chrystus na pół leży obok swojej matki na rodzaju kanapy, jakie rozstawiano wokół stołów na czas posiłków. Traktują Go jako honorowego gościa. Ubrany na sposób Beduinów w pasiastą galabiję i białą chustę przytrzymywaną przez opaskę z brunatnej wełny, jakie widzicie na fotografiach króla Fajsala.

Ustawiono namioty na zewnątrz, żeby podjąć licznych gości. Jest bardzo gorąco i wszyscy dużo piją. Miucny brzęczą nad ciastami z miodem i koszykami wypełnionymi po brzegi soczystymi daktylami, fioletowymi figami, złotymi winogronami. Ostre głosy kobiet i dzieci oraz chrapliwe mężczyzn panują nad tęsknymi melodiami, skomponowanymi na trzy nuty, które w sposób obsesyjny powtarzają flety i tamburyny. Najświętsza Panna dzięki temu darowi współczucia, który posiada w najwyższym stopniu, dostrzega, że coś jest źle. Nachyla się do swego syna: „Wina nie mają” — mówi. Znacie dobrze dalszy ciąg i przełykacie go niby tabletkę aspiryny, nie zdając sobie sprawy z jego znaczenia. Wszystkie teksty ewangeliczne są owocami, a nie lekarstwem. Żyjemy się ich miąższem. Smakujmy je. Żeby dobrze zrozumieć to, co nastąpi, trzeba przesiąknąć niepokojem Maryi, więcej, trwogą, którą ona odczuwa na myśl o nieuniknionej katastrofie. Bo to katastrofa, jeśli podczas uczty weselnej zabrakło wina. „Ot, ludzkie sprawy” — powiecie. Ale przecież zawsze właśnie wtedy, kiedy rozgrywają się te sprawy ludzkie i często na prośbę kobiet, interweniuje Bóg.

A więc Maryja pochyła się ku Synowi, by za-

wiadomić Go, co dostrzegła. On zaś odpowiada jej słowem, które jest jeszcze teraz w użyciu u Beduinów i które stanowi najcudowniejszą formułę gościnności, jaka istnieje. To słowo zostało bardzo źle przetłumaczone. Co oznacza sławetne: „Quid mihi et tibi est mulier”? To łacina i w dodatku nie najlepszej próby. Po francusku przetłumaczono: „Niewiasto, cóż jest wspólnego między tobą a mną?” Wiem, że czasami tłumaczy się to zdanie w sposób mniej brutalny, mniej błędny. A Chrystus mówi do Najświętszej Panny: „Fatdah”. Bo był przecież człowiekiem Wschodu, a nie Latynosem.

W tym miejscu ojciec Marneć dołączył do swoich słów gest wspaniałej kurtuazji skłaniając się głęboko i rozkładając ramiona, jakby podejmował nieoczekiwanego gościa. Jego głos był ciepły, pełen barwy, wibrujący. Oczy błyszczały, kiedy ciągnął:

— „Fatdah” — kluczowe słowo gościnności, słowo, które na Wschodzie wymawia pan domu, kiedy obcy wchodzi do jego siedziby. Oznacza: „Jesteś u siebie”. Wszystko, co posiadam, jest twoje. Ponieważ podejmuję cię, jesteś mi droższy, cenniejszy niż żrenica oka. Twoje pragnienia są moimi, twoje obowiązki także moimi. Chcę, żebyś był tu szczęśliwy. Ja biorę na siebie twój los. Zdejmuję z ciebie twoje troski. Podwajam twoje radości, ponieważ dodaję do nich moje.

A więc Chrystus na wezwanie Najświętszej Panny obrócił się w jej stronę patrząc na nią z miłością, jaką syn żywi dla matki, jaką Bóg żywi dla swego stworzenia. Powiedział do niej: „Fatdah”. To znaczy: „Wszystko jest nam wspólne. Nie musisz się już niepokoić, ponieważ biorę na siebie Twój niepokój. To, co zajmuje Twoje serce, przelewa się na mnie. Nie mają już wina,

powiadasz, ale ja im dam wino. I dam im nie tylko wino potrzebne do uczty weselnej, lecz także to inne, które przygotowuję im na wieczne wesela". Słowo „Fatdah” wybucha bez końca w sercu Maryi. Ten epizod, pamiętajcie o tym, opowiedziany został przez Jana, a nie przez Łukasza, który zebrał tyle szczegółów na temat bliskości Jezusa i Maryi. Właśnie Jan opowiada o weselu w Kanie, Jan, który podczas Ostatniej Wieczerzy oparłszy głowę na piersi Chrystusa słyszał bicie Jego serca. Wiemy, że od Wielkiego Piątku zabrał ze sobą Matkę Jezusa. Na pierwszych stronicach swojej Ewangelii opowiada o cudzie w Kanie dlatego, że jest to pierwszy cud naszego Pana w porządku chronologicznym, ale bardziej jeszcze dlatego, że jest to cud zasadniczy, cud, który stawia nas wobec kapłaństwa. Nasz sposób postępowania, nasz, to znaczy księży, jest tu określony jako linia wyznaczająca kierunek siły. Uczmy się mówić: „Fatdah”. ~~Za~~ każdym razem, kiedy spotykamy człowieka, musimy wczuć się w jego położenie, wejść we wszystkie zakamarki jego serca i jego umysłu. Musimy wziąć na siebie jego szczęście i jego nieszczęście, stać się dachem, który go chroni, domem, w którym będzie ugoszczony. Mistrz, który mówi nam: „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski”, nie wymaga od nas, byśmy dokonywali gwałtu na własnej duszy. Chce, byśmy byli zdolni przyjąć na siebie ludzką dolę we wszystkich jej wymiarach i byśmy byli w stanie zauważyć, z własnego punktu widzenia, że ludzie nie mają w co się ubrać, nie mają gdzie zamieszkać, że czują chłód i głód, że żyją w slumsach, że mają raka płuc lub chorobę Potta. Odczuwajmy chłód i głód razem z ludźmi! Razem z nimi bądźmy biedni i chorzy, a wtedy będziemy mogli zamienić wodę

w wino. Ależ tak, nie czujmy lęku, gdy nie zdarza się to podczas uczyty weselnej! Od tego właśnie trzeba często zaczynać. Ksiądz nie powinien zajmować się sprawami doczesnymi, jak utrzymują niektórzy znani mi głupcy. Cóż za bluźnierstwo! Ksiądz powinien angażować się całkowicie. Któż więc, jeśli nie ksiądz, może nauczyć człowieka, że do wieczności dociera się przez doczesność? Właśnie w Kanie zaczęto rozpoznawać krwawiące wino wiecznego wesela, jedząc pieczonego barana z gorzką sałatą i pijąc to wino, które było zwykłą wodą w dzbanach, zanim nie zostało przemienione przez Chrystusa. Ksiądz, który nie może powiedzieć „Fatdah” najczystsza i najgłębsza częśćka samego siebie, nie jest księdzem. Jedno istnienie tylko uduchowanie, uduchowanie wcielenia. My, księża, których dzisiaj obrzuca się obelgami, gdyż zarzuca się nam, że nie jesteśmy stylitami jak Szymon na swoim słupie, my wiemy, że gdyby Chrystus żądał od nas jedynie modlitwy, do końca świata pozostałby On nad naszymi głowami niby obłok prowadzący Mojżesza na pustyni. Ale Chrystus wolał, zgodnie z cudownym określeniem Teilharda, stać się „chlebem, tym olbrzymim rozpadem... winem, tym rozpuszczalnym napojem”, abyśmy mogli Go spożywać, abyśmy mogli Go pić, by został wchłonięty przez nasze ciało. Wiedza rzeczy niewidzialnych jest nam dana jedynie, jeśli znamy Boga w sposób jawny, podczas Jego człowieczej przygody, podczas naszej człowieczej przygody. Wino z wesela w Kanie jest zapowiedzią krwi z Góry Kalwarii, tego wielkiego „Fatdah” Chrystusa. Możemy do Niego przystąpić jedynie poprzez najbardziej nużące, najbardziej podniecające, najcodzienniejsze ze wszystkich „Fatdah”.

Raz jeszcze powtarzam wam: nigdy dosyć mo-

dlitwy. Nie możecie przestać się modlić. Ale uwaga! Jesteście uczniami, których Chrystus wysłał w świat, by kontynuowali Jego życie publiczne. Będziecie mieli czas na modlitwy, które mają ukuć broń, byście mogli przeniknąć życie ludzkie. Ale wasze czyny jako czyny ludzi mają wartość modlitwy. Nie niszczą waszych związków z Bogiem. Powiedziano, że współczesny ksiądz traci poczucie swego powołania, kiedy zajmuje się problemami społecznymi. To temat znanej wam kampanii. Myślę, że zrozumieliśmy się dobrze. Nie będę się nad tym dłużej rozwodził. Pora minęła. Nie zapomnijcie lekcji wesela w Kanie. Ksiądz powinien wiedzieć, że całe jego życie skierowane jest na to wino wiecznego wesela i że każdy z jego gestów powinien go tam prowadzić.

## Rozdział 10

Pokój ojca Marneca był obszernym pomieszczeniem narożnym, oświetlonym przez dwa wysokie okna, z których jedno wychodziło na frontowy dziedziniec seminarium, a drugie na ogród panujący nad miastem. Wśród pozbawionych liści drzew dostrzec było można fiale katedry wycelowane w szare niebo, poznakowane skośnymi, bladeżółtymi smugami. Dachy średniowiecznych domów wspierały się o siebie, zacierały linie tej dzielnicy przeciętej lśniąca smugą rzeki. Im bardziej na zachód, tym przejrzystszy stawał się plan miasta dzięki szerokiemu zarysowi ulic i jednakowo wyglądającym budynkom. Dalej strefa przemysłowa i szaleństwo gmachów.

Ojciec Marnece, siedząc w obszernym, skórzanym



fotelu zwrócony plecami do okna wychodzącego na dziedziniec, wyciągnął w kierunku Jerzego paczkę papierosów.

— Nie stój tak — powiedział. — Przypuszczam, że mamy sobie sporo do powiedzenia. O, usiądź tu, naprzeciwko mnie.

Światło padające z drugiego okna, tego wychodzącego na park, oświetlając twarz Jerzego podkreślało jej szczupłość. Już wiele miesięcy temu utracił dzieciństwo rysów. Skronie zapadły się, oczy także, wargi stały się wąskie.

— Często boli cię głowa, chłopcze? — zapytał ojciec Marnec.

— Od początku roku szkolnego faszseruję się aspiryną.

— To żadne rozwiązanie. Przejdźmy jednak do rzeczy.

— Wydaje mi się, proszę ojca, że powinienem wynieść się, opuścić seminarium.

— Jak to?... Tak od razu?

— Dobrze ojciec wie, że nie. Od dawna byłem zdecydowany na rozmowę z ojcem, ale odczuwałem strach nie do przezwyciężenia.

— No, no, cóż to znowu za historia? Boisz się mnie?

— Gdyby podczas wykładu, przed chwilą, ojciec nie mówił tak, jak mówił, nie wiem, czy zdołałbym powiedzieć wszystko, co chciałem. Ale wydawało mi się, że właśnie dla mnie ojciec mówił „Fatdah”. Tyle ojciec wkładał w to serca.

— Mieszkałem bardzo długo w Egipcie, gdzie powtarza się to słowo dwadzieścia razy dziennie. W końcu zaczyna ono zobowiązywać. No dalej, Jerzy, przetnij wrzód.

— Wstąpiłem do seminarium, bo czułem strach. Chcę z niego wystąpić dla tego samego powodu. I już, to wszystko!

— Trochę ogólnikowe.

— Uważa ojciec, że potrzebne jest zagłębianie się w szczegóły? Wie ojciec tyle samo co ja.

— W tej sprawie chodzi nie o mnie, ale o ciebie. To ty musisz wiedzieć, co wybierasz i z jakich powodów.

— W mojej rodzinie rozgrywa się dramat. Mówiłem księdzu, kim stał się mój ojciec, i co przez niego musiała przejść matka. Chciałbym kołysać sam siebie złudzeniem, że Bóg, stawiając mnie wobec nowych trudności, przyznaje mi zwłokę, by doświadczyć mojego powołania. Opuściłbym seminarium na rok lub dwa, żeby być przy rodzicach. Jestem ich jedynym synem. Mógłbym w ten sposób czekać na znak od Boga i pozostawić Mu czas, żeby znów mnie przyjął, jeśli naprawdę mnie chce. Ale byłoby to jeszcze jedno kłamstwo.

— Czy uważasz, że jesteś powołany do kapłaństwa?

— Odpowiedź na to pytanie należy do ojca.

— Nie, Jerzy. Jestem tu stanowczy: swój los trzymasz we własnych rękach.

— A jeśli nie widzę jasno?

— Zmień trochę to zdanie, jeśli możesz, i powiedz: „Jeśli nie chcę widzieć jasno...”

— Jeśli nie jestem w stanie? Jeśli nie jestem mężczyzną?

— Nigdy nie jest się całkowicie mężczyzną. Przez całe życie stajemy się nim. Niektórzy pozostają wiecznymi młodzieńcami. Ci nie powinni być księżmi. Czy jesteś jednym z nich?

— Czyż wiem chociaż, kim jestem? Chwieję się straszliwie.

— Zdajesz sobie z tego sprawę, to już świadectwo siły.

— Świadectwo małej siły, być może. Ale siły, która nie prowadzi daleko i której nie umiem

użyć. Im więcej myślę, tym głębiej się zanurzam. Chwilami wydaje mi się, że Bóg naprawdę powołał mnie do kapłaństwa i że przechodzę jedynie kryzys. Kryzys wieku dojrzewania, kryzys, z którego wyjdę wzmocniony. To mnie uspokaja. Potem zwątpienie wraca, nęka mnie. Zadaję sobie pytanie, czy nie wstąpiłem do seminarium, żeby rozwiązać jakiś problem osobisty, a niczego nie rozwiązałem. Uważam, że...

— Że znalazłeś się na progu samobójstwa, czy tak?

— Proszę nie żartować. Widzi ojciec, zdarza mi się myśleć, że gdybym mógł otrzymać bilet, który pozwoliłby wymienić moje życie za życie kogoś, kto ma umrzeć, a istnienie tego kogoś miałoby więcej sensu niż moje, uczyniłbym to.

— Byłoby to jakieś wyjście, tym bardziej nęcące, że nierealne. Przestań gadać głupstwa i wytłumacz, co rozumiesz przez słowa „wstąpiłem do seminarium, żeby rozwiązać problem osobisty”. Muszą one w twojej głowie czemuś odpowiadać.

— Wie ojciec, że aż do śmierci dziadka kierowały mną wyłącznie imperatywy rodzinne. Moją prawdę czerpałem z Kerdouarec'h. Pierwotnie byłem przekonany, że jestem głupcem, ponieważ nie potrafiłem przygotować się do szkoły morskiej. Mój ojciec był doskonałym wzorcem, który powinienem niewolniczo naśladować. Nie ma zbawienia poza tym, co postanowiła rodzina. Zaoszczędzę ojcu rozmaitych aspektów kompleksu wyższości i nieomylności wspólnego pewnym dobrze myślącym środowiskom. Z braku czego innego dawało mi to poczucie bezpieczeństwa, które zdawało się nie podlegać wątpliwości. I oto umiera dziadek, którego prawdę mówiąc nie kochałem. Ma to swoją wagę, bo jego śmierć nie przysporzyła mi zwykłych cierpień, gdy ktoś bliski zostaje

nam zabrany. Odczułem jedynie piorunującą świadomość śmierci. Wszedłem wówczas w rzeczywistość, przeciwko której nic mnie już nie broniło. Załamały się struktury rodzinne. Wszystko u moich bliskich stawało się kłamstwem. Ich życie trwało, jakby tylko inni mieli umierać, a oni nigdy. Ja dowiedziałem się wtedy, że moim przeznaczeniem jest śmierć, a nikt nie dźwigał ze mną ciężaru tego odkrycia. Moja rozpacz pozostała bez odzewu. Odezwał się jedynie Bóg. Ale nie od razu. Nie przedtem, zanim poczułem pragnienie śmierci wywołane lękiem przed nią. Podobnie Gribouille rzucał się do wody, żeby uniknąć deszczu. Życie z przeznaczeniem na śmierć stawało się dla mnie nie do zniesienia i najprościej było z tym skończyć raz na zawsze. Ale Bóg zaczął mówić. Z początku niewyraźnie, potem z coraz większą siłą, aż do dnia, kiedy stałem się szaleńcem Bożym. Proszę nie sądzić, że ulegam egzaltacji. Szaleniec jest człowiekiem, którego serce i umysł oddzielone są od świata, gdzie pozostaje jego ciało. Znajduje się gdzie indziej. Ja odkrywałem świat Boga. Opowiedziałem ojcu, jak przeszedłem od „teologii przerażenia” do „teologii miłości”. Bóg był tym, który mówił mi prawdę słowami liturgii: „Znikła śmierć w zwycięstwie (Chrystusa). Gdzież jest, o śmierci, twoje zwycięstwo? Gdzież jest, o śmierci, twój oścień?” Te słowa apostoła powtarzałem sobie po dwadzieścia razy na dzień. Dorzucałem do nich ustęp ze świętego Jana: „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie”. Wędrując po zapadłych drogach Kerdouarec'h śpiewałem Prefację mszy żałobnej podejmując bez znużenia podniosłe „Vita mutatur non tollitur”. Wiedziałem już wkrótce, że śmierć jest jedynie spotkaniem z Bogiem. Spotkaniem, które tu na

ziemi może już się zacząć w sposób niedoskonały, ale realny. Wiem, że można spotkać Boga w życiu świeckim. Ale wydawało mi się, że mogę zrobić coś więcej, osiągnąć Go przez kapłaństwo. „Życie wieczne, to znajomość Ciebie, Ciebie i Tego, któregoś wysłał.” O tych sprawach mówiłem już ojcu sto razy w rozmaitych formach. Po co ojciec każe mi to powtarzać.

— Żeby wiedzieć, co myślisz o tym dzisiaj.

— Te sprawy ukazują mi się jak wspomnienia z podróży, na przykład do Polinezji.

— Tylko tyle?

— Czasem zadaję sobie nawet pytanie, czy nie sniłem. Są takie sny, które wracają ciągle dokładnie z tymi samymi szczegółami. Czy całe moje życie oprzeć mam na wierności dla snu?

— Nie, na rzeczywistości.

— Rzeczywistością jest fakt, że uważałem seminarium za azyl. Za jakąś formę wyższego bez wątpienia rzędu, lecz w istocie swej nie różniącą się od tego, czego niegdyś oczekiwałem od rodziny. Nie odczuwam już tego, co mnie podnosiło na duchu w pierwszym okresie, i mam wrażenie, jakbym znajdował się teraz w stanie hibernacji. Chcę z tego stanu wyjść. Ale to, co czeka mnie w świecie, nie kusi mnie. Kobieta, myślałem o tym. Wie ojciec, co zdarzyło się podczas wakacji w dniu zaręczyn jednej z moich kuzynek. Opowiadałem ojcu. Nie wyobrażam sobie, czym może być intymna więź serca i umysłu z kobietą, i nie mam w tym zakresie żadnych pragnień. W tej dziedzinie moja siostra Laurence może dać mi wszystko.

— Daje ci spokój?

— I tak, i nie. A jednak z nią nie narażam się na najmniejsze ryzyko. Po cóż zresztą o tym mówić? Problem kobiety dla mnie nie istnieje.

— To bardzo znamienne.

— Co ojciec chce powiedzieć?

— Odpowiedz mi raczej na takie pytanie. Podjąłeś decyzję, że nie zostaniesz księdzem?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Jeśli ojciec powie: „Powinieneś zostać księdzem”, nie będę się uchylał. Zostanę księdzem, ale księdzem dotkniętym oziębłością wiary tak samo, jak można być oziębłym w miłości. Dotychczas niczym szczególnym nie odznaczyłem się, jeśli chodzi o moje studia. Nie jestem również szaleńcem ani głupcem. Bez wątpienia nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi. Tym, czego obawiam się najbardziej, jest życie oczekujące mnie w małej, wiejskiej parafii: lekcje katechizmu, godziny spędzane w konfesjonale. W gruncie rzeczy chodzi o cały sposób życia, którego pożądałem, kiedy moje serce było uczulone na Boga i kiedy Bóg uwznioślał sprawy najskromniejsze. Teraz nie śmiem już przeżywać i obwieszczać paradoksu Ewangelii. Jeśli ojciec tego zażąda, zostanę księdzem uczciwym i poważnym. Nie mam upodobania do udzielania nauk, ale wzbudzę w sobie zapał do studiów. Ze świadomością, jaką daje rozpacz, zrobię wszystko, co należy, żeby osiągnąć pewien poziom intelektualny. Mówiłem już ojcu, co nie podoba mi się w mojej rodzinie, ale trzeba przyznać, że jesteśmy uczciwi, uczciwi do głębi. A jeśli ojciec sądzi, że Bóg chce, bym został księdzem, będę nim z całą uczciwością. Perspektywy, jakie się przede mną otwierają, nie wzbudzają mego entuzjazmu, ale będę miał przynajmniej poczucie, że nikogo nie zdradziłem.

— To wszystko jest interesujące. Przede wszystkim uspokoję cię. Nie żądam, byś został księdzem, i nigdy tego nie zażądam. Bóg wybiera swoich księży. Ten, który został wezwany, odpowiada „tak” lub „nie”. Żeby odpowiedzieć z całą

świadomością, musi rozumieć, o co chodzi. Zastanawiasz się, w jaki sposób ułożysz swoje życie księdza. Żadna cena nie wyda ci się za wysoka wśród radości, jaką daje wyczuwalna obecność Boga. Jeśli Bóg milczy — jak się zdaje, bierzesz pod uwagę, że Bóg zawsze będzie milczał — będziesz uczciwy w warunkach życia, które postarasz się uczynić możliwie najznośniejszymi. Czy wiesz chociaż, że ksiądz jest człowiekiem, przez którego Bóg przenika, by dotrzeć do innych ludzi? I z kolei ludzie przenikają księdza, by móc spotkać Boga. To rozdarcie całej istoty jest najczęściej bolesne, krwawiące. Również gorące i przewodzące radość. Każde słowo wypowiedziane przez księdza opłacone jest jego ciałem, jego sercem. Ważne jest nie to, co odczuwamy, lecz to, co dokonuje się poprzez nas.

Bóg przemawia nie na naszym poziomie, lecz w pewnej strefie czystości ponad naszymi głowami. Trzeba osiągnąć tę strefę, by zaczerpnąć tchu.

Przypomnij sobie znowu słowa Jana: „Nie zrozumieci uczniowie Jego, ale później przypomnieli sobie, że to powiedział”. Ksiądz musi pośodzić się z tym, iż będzie się poruszał w obrębie świata należącego do Boga. Czasem potrafi zrozumieć jedynie słowo „później”. Idziemy przez noc „szukając Boga po omacku”. Dzieci boją się nocy. Tylko silni mężczyźni mogą podjąć tę niebezpieczną podróż. A ty, Jerzy, jesteś jeszcze dzieckiem.

— Ojciec mnie odrzuca?

— No, no, nie dramatyzuj! Szczerze wierzę, że Bóg do ciebie przemówił. Używa wszystkich form. Język, którego użył mówiąc do ciebie, jest językiem istotnym, rdzeniem samym naszej wiary. „Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, jeśli nie mamy zmartwychwstać wraz z nim, próżna jest nasza wiara, próżne nasze kaznodziejstwo.” Jest to

prawdą dla wszystkich chrześcijan, ale dla księdza staje się doświadczeniem bez przerwy odnawianym. Oto fakt, ale poczucie zmartwychwstania, które bez wątpienia posiadasz, powinno by uczynić cię bardziej radosnym. Wysłuchałeś słów, które dotyczyły ciebie, i przyszedłeś do nas radośnie, wspaniałomyślnie. Teraz straciłeś odwagę. Zniechęcenie jest najcięższą próbą, jaką może przeżyć ksiądz. Zbyt często cierpi, gdyż niczego już nie rozumie, gdyż nie jest już rozumiany. Polityk, lekarz, profesor mogą także być zniechęceni; jednakże ich dziedziny mają realność nie podlegającą dyskusji. A realność tego, co robi ksiądz? Prawie zawsze jest dla innych, a często także we własnych oczach, tym, który walczy, chociaż ta walka nie jest na jego miarę. Cała jego energia poświęcona jest utrzymaniu się na powierzchni, ochronieniu tego, w co wierzy, tego, w co wierzył gorąco w świecie niczego już nie oczekującym. Jakżeby więc utrzymał się na poziomie swojego wyboru, gdyby nie miał sił mężczyzny, gdyby musiał walczyć również z własną niedojrzałością?

— Co mam robić? Co robić? — wykrzyknął Jerzy. — Ojciec przeraża mnie zamiast uspokoić. Oczekiwałem pomocy. Powiedziałem już, że chciałem opuścić seminarium, ale ojciec wie, że to nie było prawdą. Chciałem jedynie czuć siłę więzów, które przykuwają mnie do seminarium. Ojciec jest przecież tutaj po to, żeby mnie chronić, żeby bronić nawet przeciwko samemu sobie!

— To właśnie twój błąd. Seminarium, jak słusznie zauważyłeś przed chwilą, nie jest azylem. Chciałeś przyjść tu, żeby rozwiązać osobisty problem. To niezupełnie tak. Przyszedłeś, ponieważ wzywał cię Bóg, jestem tego pewien. Mogę gwarantować autentyczność twego powołania. Ale po-



wołanie zawiera często z początku pewne wieloznaczności. Wielu seminarzystów, u których stwierdzamy oznaki niedojrzałości, nabiera sił w ciągu pierwszych lat życia w seminarium. Niegdyś warunki życia kapłana pozwalały nam zgodzić się na pewną zwłokę. Dzisiaj to niemożliwe.

— Ale, czy ojciec pomyślał, co stanie się ze mną?

— Oczywiście. Sądzę, że zostaniesz dobrym księdzem. Ale w punkcie, w jakim się znalazłeś, lepiej, żebyś opuścił seminarium. Na rok, dwa... może więcej. Zrób licencjat z literatury lub filozofii, potem zobaczymy.

— Więc ojciec mnie odrzuca?

— Oczekiwałeś naprawdę, że skłonię cię do pozostania? Istnieje dysonans między wagą twojego powołania a twoimi obecnymi siłami. Pracuj, by stać się mężczyzną. Nie żądaj, byśmy dali ci schronienie. Byłby to zły sposób. Młode drzewa otacza się kratą, by chronić je, kiedy są zbyt wątłe, ale nadchodzi czas, kiedy muszą rosnać same.

— Więc ojciec wysyła mnie do Paryża? Istnieją pensjonaty, w których seminarzyści odbywają studia uniwersyteckie.

— Tak, ale to na nic. Musisz poluzować cumy. Wróć do życia rodzinnego. Możesz być dla swoich bliskich punktem oparcia. Zrób licencjat. Wolałbym, żebyś studiował na Sorbonie raczej niż na uniwersytecie katolickim, gdzie nie miałbyś uczucia całkowitego zerwania z seminarium. Zastanów się spokojnie nad tym wszystkim. Pomów z ojcem Cahuzac. Jest bardzo dobry, wiesz o tym. Wspólnie podejmiecie decyzję. Nie dopełniłbym w stosunku do ciebie swego obowiązku, gdybym nie wyłożył jasno mojego punktu widzenia. Nie oba-

wiaj się życia, wmieszania się między ludzi. Będziesz ich kochał i na pewno spotkasz Boga.

— Ale nie tak jak tutaj!

— Tu właśnie się mylisz. Niech upłynie trochę wody w rzekach. Nie popełniaj błędu wierząc, że Bóg przybywa na spotkanie, które wyznaczamy Mu w określonym miejscu. Nie będzie czekał na ciebie na przystanku autobusowym wymachując chusteczką. No, Jerzy, jeszcze się spotkamy! Człowiek nie pozbywa się tak łatwo wezwania, które otrzymał od Boga.

*Berluhec, 1 listopada 1966 roku*